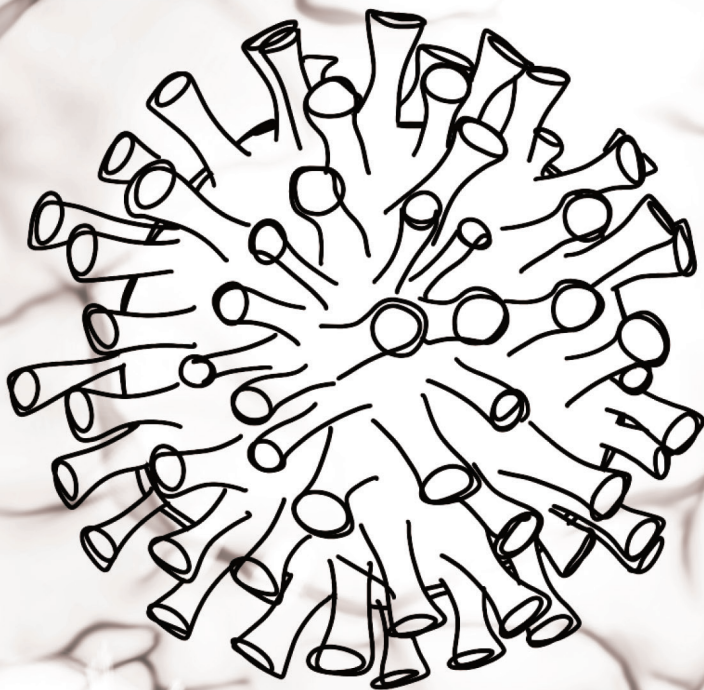


ROK 2020

I INNE OPOWIADANIA



Uniwersytet Zielonogórski

Rok 2020
i inne opowiadania

Rok 2020

i inne opowiadania



Maciej Bizukojć
Aleksandra Pruszyńska

Mateusz Kłudka

Nikodem Czyż

Emilia Czekajło

Anastazja Siwicka

Mikołaj Szoltek

Dawid Zawali

Franciszek Waga

Yevhenii Zotov

Gabriela Bogucka

Tanya Kravchenko

Hanna Konarska

Piotr Dalik

Karolina Waleńska

Martyna Pawlak

Julia Imbierska

Alina Jankowska

Julia Rogala

Maja Zawieja

Igor Wyszynski

Marta Zarębska

Antonina Kruk

Aleksandra Sokołowska

RADA WYDAWNICZA

Andrzej Pieczyński (przewodniczący), Andrzej Bisztyga,
Bogumiła Burda, Eugene Feldshtein, Beata Gabrys,
Magdalena Gibas-Dorna, Jacek Korentz,
Tatiana Rongińska, Franciszek Runiec (sekretarz)



RECENZJA

Katarzyna Cudzych-Budniak

REDAKCJA

Weronika Girys-Czagowiec

REDAKCJA TECHNICZNA

Arkadiusz Sroka

PROJEKT OKŁADKI

Joanna Nawlicka

© Copyright by Uniwersytet Zielonogórski
Zielona Góra 2024

ISBN 978-83-7842-554-0

DOI [https://doi.org/10.59444/2024\\$TUD_UZ_lit](https://doi.org/10.59444/2024$TUD_UZ_lit)

OFICyna WYDAWNICZA UNIWERSYTETU ZIELONOGÓRSKIEGO

65-246 Zielona Góra, ul. Podgórna 50, tel. (68) 328 78 64

www.ow.uz.zgora.pl, sekretariat@ow.uz.zgora.pl

Wszystko płynie

Nigdy nie uważałem swojego życia za ciekawe. Raczej dość płytko przeżywałem to, co działo się wokół mnie w czasach szkolnych. Ja, zwykły chłopak ze zwykłej miejscowości, ze zwyczajnymi zainteresowaniami. Co mogłem wiedzieć o głębi każdej chwili istnienia w tym świecie. Nie sądziłem, że moje postrzeganie rzeczywistości tak bardzo się zmieni pod wpływem tak niewielkiej cząstki zakaźnej, a właściwie zdarzeń spowodowanych przez nią. Tym bardziej nie spodziewałem się, iż będzie mi dane opisywać swoje przeżycia z czasu powszechnej izolacji. Jednego jestem jednak pewien – nic nie dzieje się przypadkiem.

Z pamiętnika niekiedy zagubionego studenta. Pandemia zastaje mnie pod koniec liceum, praktycznie przed egzaminami maturalnymi. Ciężki czas sobie wybrał ten wirus – myślę. Dla mnie jako mieszkańca internatu oznacza to szybką wyprowadzkę. Dowiaduję się od kogoś, że ponoć tego typu budynki mają być wykorzystywane jako miejsce izolacji dla osób zakażonych. Nie uważam się za najbardziej podatnego na niepokojące informacje, jednak news o pacjencie zero w zielonogórskim szpitalu i wszystko, co potem docierało do mnie z mediów, przyprawia mnie o dreszcze. Staram się nie panikować i stosuję się do zaleceń. Co innego mi pozostaje? Czas mija szybko. Nadchodzą matury, przełomowe tygodnie mojego życia. Jako uczniowie dojeżdżający z daleka, wracamy na ten czas do internatu. Tym razem jednak jesteśmy zakwaterowani w osobnych pokojach. Mimo to ja i koledzy nie izolujemy się faktycznie od siebie. Nikt tego nie sprawdza.

Kończą się egzaminy i nadchodzi okres czekania na wyniki. W tym czasie kończy się także ostatni rok szkolny i są rozdawane świadectwa. Rozdanie i zakończenie edukacji przebiega jednak bez szumu, bez uroczystego apelu.

Wszystko to rozplywa się w regulacjach wprost z ministerstwa zdrowia oraz w panującej epidemii. Wydaje mi się to przykre, jednak wiem, że nie ma sensu nic z tym robić. To wszystko przemienie, zostanie tylko świadectwo. Grzecznie czekam więc w kolejce i idę odebrać swój papierek.

Jakiś czas później, tego samego roku, siedzę w swoim pokoju, jak mam w zwyczaju spędzać czas wolny. Tylko że nie jest to czas wolny. „Nudy” – myślę, popijając łyk kawy, która wydaje się już prawie zimna. Owa kawa odzwierciedla mój zapal do robienia czegośkolwiek. Pandemia trwa w najlepszym i nie widać jej końca. „No ładnie, pierwszy rok studiów, a ja tkwię przed ekranem laptopa jak jakiś »piwniczak« – rzucam w myślach. W normalnych okolicznościach powinienem przebywać w Poznaniu, ale niestety wszyscy mają zdalne zajęcia. Wpatruję się bezmyślnie w anonimowe ikonki z imionami kolegów i koleżanek z roku. Pomyśleć można, że taka formuła zajęć jest atrakcyjniejsza, bo nie trzeba czasem nawet się ruszać z łóżka. Nic bardziej mylnego, jeśli ma się kilka godzin zajęć z rzędu i bez dłuższej przerwy, nie sposób powiedzieć, by było to przyjemne. To prawda, że wszystko odbywa się szybciej niż na uczelni, a studenci mają więcej swobody i czasu na inne czynności, lecz ten pośpiech jest jednocześnie udręką. Sprawia, że dni rozmijają się i zlewają w jedno. Przyprawia o uczucie tożsame z niepokojem, zdenerwowaniem i bezsilnością równocześnie. Coś okropnego. Coraz częściej miewam stany depresyjne. Uczęszczanie do psychologa, choć nieregularne, pomaga poznawać siebie. Dawne problemy mijają, lecz wiem, że w miejsce pojawiają się kolejne, a następne czekają już w kolejce na horyzoncie. Obserwuję przez okno spadające z drzew liście. Uspokajam się.

Mijają tygodnie. Mimo ciągłej obecności rodziny i czasem mojej ówczesnej dziewczyny czuję w sobie jakąś pustkę. Tak jakby życie przelatywało mi między palcami. „Kurczę, przecież każdego ranka budzę się i robię dokładnie to samo, co poprzedniego dnia” – uświadamiam sobie. Wpadłem w rutynę. To najgorsze, co mogło mi się przytrafić, gdy jestem zamknięty w domu. Co dzień tylko pobudka, włącz komputer, wypij kawę, wypij herbatę, zjedz śniadanie, to wszystko nad klawiaturą, tak jakbyś zupełnie nie martwił się stanem komputera. Potem siedzenie w jednej pozycji przez ładnych parę

godzin, obiad, kolacja i spać. Można oszaleć. Wszystko przemija, odlatuje gdzieś w siną dal, a ja zatracam siebie. Już prawie mnie nie ma. W głębi siebie czuję, że nadchodzą wielkie zmiany, nie tylko we mnie, lecz także w moim otoczeniu. Odwracam wzrok od monitora chociaż na chwilę i notuję wersy w notatniku na moim telefonie. Tylko to po mnie zostanie – stwierdzam po cichu, po czym wracam do obowiązków studenckich.

Mijają miesiące zimowe, czyli najgorszy okres dla podatnych na melancholijne myśli. Odkryłem w sobie pasję do poezji. Nie pokazuję jej nikomu. Piszę do szuflady, czekając, aż przyjdzie odpowiedni czas na podzielenie się. Boję się krytyki, zawsze się bałem, ale może muszę to po prostu przepracować, jakoś się przełamać. Atmosfera w domu sprzyja refleksjom na temat życia, więc daję się nim ponieść.

Nadeszła wiosna i coś we mnie pękło. Moje przewidywania okazały się trafne. Zakończyło się coś, co przez długi czas mogłoby mi się wydawać jedyną drogą ucieczki z tego zamglonego snu o śmiertelnie niebezpiecznym wirusie. Prysnęła jak mydlana bańka moja pierwsza miłość. Phi, miłość. Tamtemu mnie chętnie już wcześniej przemówiłbym do rozsądku, żeby oszczędził mi cierpienia. Zrywaliśmy na dwa razy, aż trudno w to uwierzyć. Za pierwszym razem upodliłem się na tyle i sprowadziłem do roli jedyne go winnego, że udało mi się przekonać ją, by mnie nie opuszczała. Naiwny ja. Za drugim razem, gdy zaczęły się pojawiać kolejne oskarżenia, po prostu odpuszcilem. Moja psychika poddała tę relację. Przeminięło uczucie i przywiązanie.

Nadchodzą wakacje, a ja oczyszczony z brzemienia toksycznego związku mam nadzieję w końcu odetchnąć i „odpocząć za wszelką cenę”, jak by to określił pewien fikcyjny, a jakże prawdziwy w każdym z nas Adaś. Wszystko zdaje się iść już w stronę lepszego. Słoneczna pogoda sprzyja poprawie samopoczucia. Oczywiście musi minąć jeszcze wiele więcej czasu, bym całkowicie pogodził się z zakończeniem relacji, która trwała niespełna rok, ale mam w sobie wyjątkowo dużo nadziei. Czuję jednak, że życie szykuje dla mnie kolejne ponure niespodzianki.

Już wcześniej pojawiały się niepokojące objawy dotyczące zdrowia mego dziadka, lecz długo nie miałem czasu, by je przyswoić, i, mówiąc szczerze,

trochę bagatelizowałem sytuację, za co po dziś dzień mam do siebie żal. Podobnie sytuację bagatelizowali zresztą badający go lekarze, o co z kolei mam żal do nich. Zaczęło się od gwałtownego chudnięcia, potem doszły drganie rąk i niedowład. Potem miała być wizyta na badaniach w szpitalu. Nigdy z niej nie wrócił. Nie zdążyłem się pożegnać. Siedzę na dworze, ciepły front z południa sprawia, że przyjemniej jest przebywać na świeżym powietrzu. Patrząc w chmury sunące po niebie, myślę o dziadku. Ściemnia się, czas wracać do domu.

Mimo wszechobecnych obostrzeń lato daje więcej swobody. Wyjeżdżam częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Często w celu udania się na koncerty, w ten sposób po raz drugi zwiedzam Gdańsk. Nie mam zamiaru trwać w długiej żałobie, szybko godzę się ze śmiercią dziadka i ze śmiercią w ogóle. Śmierć i przemijanie są wszechobecne, nie mamy na to wpływu. Pomaga mi takie podejście, pozwala uwolnić się od zmartwień, zarówno codziennych, błahych, jak i tych większych, jak śmierć bliskiej osoby. Na pogrzebie nie płaczę, choć jestem wzruszony. W końcu bardzo się zżyłem z dziadkiem, mieszkając z nim w jednym domu przez niespełna dwadzieścia lat. Po wszystkich podchodzę sam do grobu i rzuca krótkie „saluto”. Dziadek często tak właśnie witał i żegnał się ze mną, moim bratem czy kuzynami. Spoglądam jeszcze raz na mogiłę, po czym odchodzę spokojnym krokiem w kierunku bramy cmentarza. „Coś się kończy, coś się zaczyna” – myślę.

Mijają wakacje, zaczyna się kolejny rok akademicki. Tym razem jest inaczej, niektóre zajęcia, takie jak WF, mamy w bezpośrednim kontakcie. A więc wracam do Poznania, będę mieszkał z kumplami z liceum. Myślę, że będzie fajnie, w końcu mieszkałem już z nimi 3 lata w internacie. Zaczynam poznawać ludzi z kierunku. Są w porządku. Większość czasu spędzam jednak w mieszkaniu, z kolegami. Powoli poznaję, co to znaczy być studentem, jednocześnie żalując, że dzieje się to z rocznym opóźnieniem. Czas mija szybko, nim mrugnę okiem, zaczynam powtarzać materiał przed sesją egzaminacyjną, a za oknem pada śnieg. Pierwsze święta bez dziadka nie były warte mojej uwagi na tyle, bym coś z nich zapamiętał. Było poprawnie, ale atmosfera nie była najcieplejsza. Sylwestra i Nowy Rok na szczęście udaje się

spędzić w gronie znajomych. To ratuje mnie psychicznie, w końcu nie czuję się sam, a dni nie uciekają mi tak raptownie i nie zlewają się w ciągnący się psychologiczny spektakl. Teraz siedzę w środku nocy nad zeszytem, myślami będąc jedynie przy notatkach z wykładów. Wiem, że pewnie większość z tych rzeczy wyparuje z mojej głowy równie szybko, jak się tam znalazła. Wzdycham. Para z moich ust osadza się na oknie i znika tuż po chwili.

Nadeszła sesja, czas stresujący dla wszystkich studentów. Jednak kolejny raz wszystko odbyło się zdalnie, więc nie było problemów z zaliczeniem. Świątuję ulotność wiedzy przekazywanej przez belfrów, pijąc piwo. „Ehhhh – wzdycham po cichu, mówiąc do siebie pod nosem. – Chyba nikt nigdy nie pochylił się nad tym groteskowym systemem”. Zastanawiając się, gdzie jest zapowiadana na horyzoncie słynna Edukacja 2.0, wpatruję się w prążki piany osadzone wewnątrz kufla. Mój to problem, że wiedza wpada i wypada przez ucho studenta jak jakaś nieistotna plotka? Nie, bezpośrednio nie, ale mimo to martwię się. Martwię się o naszą przyszłość w tym świecie, wiedząc, iż marny mój wpływ jako jednostki. Dopijam złoty trunek i wstaję z zamiarem udania się do baru po więcej. W końcu koledzy czekają. Co mi pozostaje? Tylko stworzyć dobre wspomnienia, bo ich z pewnością nikt nam nie zabierze. Piję więc dalej, za ulotność zawartości sylabusów i za trwałość naszych wspomnień.

Czwarty semestr przynosi kolejne wyzwania. Wracając do domu, co jakiś czas zaczynam zauważać niebezpieczną tendencję mojego ojca do nagminnego upijania się do nieprzytomności. Wybiegając w przyszłość, będzie to ostatecznie przyczyną rozpadu małżeństwa moich rodziców. Wówczas jednak nie traktuję tego na tyle poważnie, by przewidzieć przebieg zdarzeń już po pandemii. Wręcz przeciwnie, uzależnienie taty udziela się wszystkim domownikom. Pijemy wraz z nim. Do czasu.

Jeden z piątkowych wieczorów, wracam z Poznania, zmęczony po tygodniu zajęć. Wchodząc do domu, już w drzwiach słyszę dźwięk otwieranej puszki. Idąc dalej, na stole widzę świeżo kupiony dwunastopak piwa Kasztelan. Ojciec wita się ze mną i częstuje jedną z puszek. Nie uśmiecham się. Moją twarz pokrywa grymas zażenowania, wstydu i smutku. W tym momencie

przelewa się we mnie czara goryczy. Autorytet z dzieciństwa już całkowicie wyparowuje, choć wcześniej także nie było go zbyt wiele. Zaczynam również zauważać, jak w alkoholu rozpuszcza się resztki uczucia, jakim moja matka darzyła ojca. Chwytam za puszkę, otwieram i piję. Już mi wszystko jedno. Chcę się wymazać z rodziny. Odkładam te myśli na potem. Przyjdzie jeszcze czas.

W końcu nadchodzi ten moment. Koniec stanu epidemii. Doczekałem się. Z jednej strony radość z całkowitego końca izolacji społecznej, z drugiej zaś niepewność i strach przed dostosowaniem się ponownie do normalnego funkcjonowania. Przechodzę jednak do tej tzw. nowej rzeczywistości popandemicznej i staram się w niej odnaleźć. Z pewnością nie jest to łatwe, ale korzystam z tego, czego paradoksalnie nauczyła mnie izolacja – akceptacji losu oraz większej otwartości na ludzi i ich problemy.

Wszystko przemija prędzej czy później. Coraz mniej dręczy mnie nie-trwałość, otaczająca nas wszystkich, godzę się na nią i jestem gotów także przeminąć, lecz... w swoim czasie. Nie potrzebuję do tego wsparcia siły wyższej, nawet jeśli takowa istnieje i ma moc sprawczą. Jestem sam. Sam wybieram taki światopogląd. Przepuszczając nic swojego życia przez dłonie, „łapię chwile ulotne jak ulotka”.

Pandemiczna miłość

Przed pandemią COVID-19 moje życie wyglądało tak jak w przypadku większości przeciętnych nastolatków. Chodziłem do szkoły, miałem dobre oceny i śliczną dziewczynę, którą kochałem i byłem z nią bardzo szczęśliwy. Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu, przychodziliśmy do siebie praktycznie codziennie, a kiedy nie było to możliwe, potrafiliśmy godzinami rozmawiać przez telefon. Mieszkaliśmy we Wrocławiu, więc zawsze mieliśmy coś ciekawego do zrobienia i nie było czasu na nudę podczas naszych wyjść ze wspólnymi znajomymi lub tylko we dwoje. Moje życie było idealne jak z filmu, ale to wszystko trwało tylko do pewnego czasu... Wraz z nadejściem pandemii wszystko powoli, małymi krokami zaczęło się walić, a moje życie z bajki zmieniło się w istny horror.

Na samym początku, gdy doszły nas pierwsze słuchy i plotki na temat covidu, wszystko było tak samo jak wcześniej i nikt za bardzo nie przejmował się wirusem, wręcz przeciwnie. Bardzo często zdarzało nam się robić z tego żarty i po prostu śmiać się, bo przecież nas to nie dotyczy, jesteśmy młodzi, zdrowi, no i oczywiście – bardzo daleko od Chin. Wszystko u nas w kraju funkcjonowało normalnie, w szkołach odbywały się zajęcia, w sklepach nie brakowało przeróżnych produktów i można było zrobić normalnie zakupy, były miejsca, które zapewniały rozrywkę (bary, kina, knajpy, kluby), wszystko działało jakby bez śladu pandemii. Nasze spotkania oczywiście też wyglądały niezmiennie. Sprawy zaczęły się mocno komplikować, gdy ten nieszczesny wirus przedostał się do pierwszych europejskich państw. Wtedy problem wirusa stał się najgłośniejszą sprawą w mediach – codzienne informacje na temat liczby nowych zakażeń covidem były najbardziej rozchwytywaną informacją. Wtedy już na ulicach w Polsce można było dostrzec pierwsze osoby,

które zakładały maseczki lub rękawiczki ochronne, co uważaliśmy za dosyć absurdałne i groteskowe. Ludzie robili zakupy, jakby szykowali się na apokalipsę, wykupowali ogromne ilości rzeczy z długim terminem przydatności oraz duże ilości środków higienicznych. Muszę przyznać, że niejednokrotnie mocno mnie to irytowało, ponieważ gdy raz na jakiś czas naszła mnie ochota zrobić sobie na obiad spaghetti, okazywało się to niemożliwe, bo w sklepach brakowało makaronu.

Z biegiem czasu niegroźny początkowo wirus coraz bardziej stawał się dla nas realnym zagrożeniem i coraz częściej słyszeliśmy plotki o tym, że to właśnie ktoś z naszych znajomych został zakażony covidem. W tym czasie zaczęły też pojawiać się pierwsze obostrzenia dotyczące tego, jak trzeba funkcjonować w pandemicznej przestrzeni, aby zminimalizować ryzyko zakażenia wirusem COVID-19. Jednak wciąż szkoły, sklepy oraz nasze ulubione miejsca spotkań funkcjonowały bez większych zmian. Jedynie w sklepach zostały wprowadzone godziny dla seniorów, co wyprowadzało ludzi z równowagi. Jak można się nie zdenerwować, kiedy widzi się, że nikogo nie ma w sklepie, a ja nie mogę zostać obsłużony, bo nie jestem seniorem. Absurdałne sytuacje, można by pomyśleć...

Moje przeżycia pandemiczne objęły również problemy w związku z Julią. Zaczęły się one wtedy, kiedy jej wujek został zakażony wirusem i ciężko przechodził przez ten stan. Już wcześniej bardzo dobrze wiedziałem, jakie jest jej podejście i jak panicznie boi się różnego rodzaju bakterii, wirusów, zarasków itd. Nie spodziewałem się jednak tego, jak bardzo wpłynie na nią pandemia covida i jak bardzo zmieni się przez to zachowanie mojej ówczesnej dziewczyny. Julka z biegiem dni zaczęła coraz rzadziej widywać się ze mną czy też z naszymi znajomymi, gdy proponowaliśmy spotkania po zajęciach w naszych ulubionych miejscach. Za każdym razem odmawiała i zalecała nam, abyśmy też tak dużo czasu nie spędzali na dworze w skupiskach ludzkich. A gdy zdarzyło jej się z nami spotkać, zawsze miała dokładnie założoną maseczkę, którą ściągała tylko w momencie, gdy zaczynała coś jeść lub pić. Na zakupach zawsze miała założone foliowe rękawiczki, żeby nie dotykać gołymi dłońmi artykułów leżących na sklepowych półkach.

Każdy z nas jest inny. Wszyscy mamy chociaż w pewnym stopniu zdanie odmienne od pozostałych, ale moje podejście do różnego rodzaju zakażeń było całkowicie różne od podejścia Julii. Oczywiście nie byłem brudasem, po prostu nie przeszkadzało mi, kiedy ktoś kichnął lub kaszlnął, nie zasłaniając buzi, co według niej było nie do pomyślenia, bo przecież wtedy rozprzestrzenia się tyle zarazków. Jak już wspomniałem, moje nastawienie do tego typu spraw jest całkowicie inne, przez co bardzo często zdarzało mi się zażartować z tego typu rzeczy. Napięcie między nami potęgowała sytuacja z jej wujkiem, a moja pewnego rodzaju niefrasobliwość dość mocno jej się nie podobała. Ten stan doprowadził do pierwszej poważnej sprzeczki między nami. Według Julki za bardzo bagatelizowałem sprawę i za mocno starałem się obrócić całą sytuację w żart. Argumentowała, że nie mam pojęcia, jak straszna jest to choroba. Żartując z sytuacji pandemicznej, nie miałem oczywiście na myśli czegoś złego ani broń Boże nie było moją intencją wyśmiewanie się z jej wujka. Moje wesołe komentarze miały być formą pocieszenia jej i odpędzenia złych myśli. Im bardziej starałem się ją wspierać, tym bardziej udowadniała, że moje żarty są niestosowne.

Aby nabrać innego spojrzenia na pandemiczną rzeczywistość, napisałem do mojego przyjaciela. Spotkaliśmy się w naszym ulubionym shisha barze. Opowiedziałem mu o moich nieporozumieniach z Julią. Jego reakcja trochę mnie zdziwiła. Wiedziałem, że moje żarty nie były do końca stosowne, jednak moim zdaniem nie powinny aż tak drastycznie zmienić relacji z Julią. Stał on całkowicie po jej stronie i powiedział, że moje żarty są co najmniej nie na miejscu i zbyt bagatelizują całą sprawę, która z dnia na dzień robi się coraz bardziej dramatyczna. Zaskoczyła mnie postawa kolegi. Myślałam, że potwierdzi moje przypuszczenia, że Julia zbyt poważnie podchodzi do całej pandemicznej rzeczywistości. Nasza rozmowa dała mi jednak bardzo dużo do myślenia. Po powrocie do domu jeszcze raz przeanalizowałem moje zachowanie. Postanowiłem udać się do swojej dziewczyny, porozmawiać i przede wszystkim przeprosić za moje nieodpowiednie zachowanie, za całkowicie złe i zbyt proste podejście do tak ciężkiej sprawy, jaką był covid u niej w rodzinie.

W dzień naszego umówionego spotkania uprzedziła mnie, żebym przyszedł w maseczce. Odpowiedziałem, że to dla mnie żaden problem, przyjdę nawet z czymś więcej. Oczywiście chodziło mi o kwiaty, bo jednak głównym celem mojej wizyty u niej były przeprosiny i wyjaśnienie całej sytuacji. Wracając do maseczki... Byłem całkowicie przekonany, że będzie mi ona potrzebna tylko na czas drogi do jej domu, którą będę musiał odbyć tramwajem. Gdy dotarłem na miejsce, Julia otworzyła mi drzwi. Zobaczyła mnie z dużym bukietem czerwonych róż, które były jej ulubionymi kwiatami. Mimo że miała na twarzy maseczkę, udało mi się dostrzec, że uśmiecha się pod nią, co od razu sprawiło, iż radość pojawiła się również na mojej twarzy. Julia to zauważyła. Po wymienieniu skrytych pod maseczką uśmiechów zaprosiła mnie do środka. Poprosiła, bym miał maseczkę na twarzy. Zrobiłem, jak chciała. Gdy weszliśmy do jej pokoju, postanowiłem zacząć od przeprosin za moje lekceważące zachowanie oraz za frywolne podejście do sytuacji. Julka sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej przeprosinami i wszystko zdawało się iść w dobrym kierunku. Wieczór spędzaliśmy tak, jak mieliśmy w zwyczaju – włączyliśmy sobie film, graliśmy w różne zabawne gry, aby umilić sobie czas. Jednak spokoju nie dawała mi maseczka, którą stale miałem na twarzy. Jedyne momenty, w których mogłem ją zdejmować, były wtedy, gdy potrzebowałem się czegoś napić lub coś zjeść. Z czysto fizjologicznych powodów miałem częstą potrzebę jedzenia i picia, co skutkowało ściągnięciem maseczki. Ten stan ewidentnie nie podobał się Julce.

W szkole mieliśmy zwyczaj spotykania się podczas długiej przerwy obok sali gimnastycznej i rozmawiania o tym, jak spędziliśmy weekend. Jednak w poniedziałek spotkanie wyglądało zupełnie inaczej niż zazwyczaj... Pod salę gimnastyczną dotarłem jako ostatni z naszej paczki, ponieważ musiałem zostać w sali lekcyjnej troszkę dłużej. Nauczycielka przekazała mi ulotki na temat tego, jak zachowywać się bezpiecznie podczas pandemii covid, i poprosiła, abym na następnej lekcji rozdał je wszystkim kolegom i koleżankom z klasy. Gdy zjawiłem się już w naszym miejscu spotkań, coś bardzo mi nie pasowało. Cała nasza paczka stała w dużo większej odległości od siebie niż zawsze. Usłyszałem, abym poprawił maseczkę, bo miałem ją założoną w taki

sposób, że nos miałem na wierzchu. Postanowiłem się nie klócić, bo przecież zamierzałem zmienić swoje zachowanie i podchodzić do całej tej sprawy bardziej poważnie. Jednak odległość, która była między nami, i maseczki na twarzach – to wszystko strasznie przeszkadzało mi w dokładnym usłyszeniu i zrozumieniu, o czym była rozmowa. Ponieważ jestem osobą, która dość szybko potrafi się zdenerwować i zawsze głośno wyraża swoje zdanie, postanowiłem zapytać moich znajomych, czy aż tak bardzo potrzebujemy dystansu i maseczki. Ponownie górę wzięło moje naiwne przekonanie, że znamy się już tyle lat i spędzamy razem tyle czasu, że taka normalna rozmowa w naszym małym, hermetycznym gronie nikomu z nas nie zaszkodzi, a nawet łatwiej nam będzie się zrozumieć. Po wypowiedzeniu swoich myśli czułem paraliżujący wzrok stojących tam osób i ciężar ciszy, która nas otaczała. Konsternacja między nami była tak silna, że wymówiłem się koniecznością rozdania ulotek i oddaliłem się od grupy.

Do końca dnia już nie miałem nastroju, a czas dłużył się i dłużył. Każdy następny dzień ciągnął się w nieskończoność, a wszystkie wyglądały tak samo, były monotonne i takie jednostajne, a ja bardzo nie lubię rutyny i potrzebuję w życiu sporo rozrywki. W końcu ciągle jeszcze jesteśmy młodzi i czasu na monotonne życie będziemy mieć wystarczająco, gdy będziemy starszymi ludźmi. Czekałem już tylko na upragniony piątek, gdy po zajęciach wszyscy razem spotkamy się na mieście. Tak zazwyczaj wyglądały nasze dotychczasowe piątki. Głęboko wierzyłem w to, że nic się nie zmieni i będzie tak, jak było. Zadzwoiłem do mojej paczki przyjaciół, aby umówić się na spotkanie na mieście i dobrze spędzić czas. Szybko się jednak okazało, że moi znajomi mieli całkowicie inne plany na ten piątkowy wieczór. Nikt z nich nie miał ochoty na wyjście w miasto. Zaproponowali, aby w ten weekend nie wychodzić z domu i niepotrzebnie nie narażać się na zakażenie covidem, a zamiast tego spotkać się online. Wszyscy przystali na ten pomysł. Połączyliśmy się zdalnie. Spędziliśmy w ten sposób kilka godzin, oglądając filmy, rozmawiając. Mieliśmy włączone kamery, w końcu mogliśmy się zobaczyć normalnie, bez maseczek. Tak mijały kolejne godziny. Zastanowiło mnie to, że stopniowo przywykałem do naszych online'owych spotkań.

Mijały kolejne weekendy i wszystko zaczęło stawać się rutyną. Stopniowo wieczorami zaczynały mnie boleć oczy i głowa od takiej ilości czasu spędzanego przed ekranem komputera. Zrozumiałem, że człowiek nie jest w stanie oszukać swojej natury, swoich naturalnych potrzeb. Coraz usilniej przeszkadzał mi brak fizycznego kontaktu z moimi znajomymi. Delikatnie sugerowałem, żebyśmy spotkali się w normalnych warunkach. Czulem, że zaczynamy wpadać w chory tryb życia. Jednak mimo moich propozycji znajomi nie byli zainteresowani spotkaniami poza światem cyfrowym. Mnie tego rodzaju spotkania bardzo męczyły i nudziły. Ile można grać w tę samą grę?! Potrzebowałem spotkań z drugą osobą w prawdziwym, realnym życiu. Brak normalnych interakcji mocno mi przeszkadzał. W końcu postanowiłem, że wyjdę z domu sam, bez znajomych.

Wrocław to duże miasto, które wieczorami tętni życiem, a nowe znajomości nawiązuje się w sposób naturalny w miejscach, gdzie przebywają młodzi ludzie. Czulem nieodpartą potrzebę wyjścia z domu. Stwierdziłem, że świetnym pomysłem będzie udanie się na miasto w celu poznania nowych osób, z którymi mógłbym spędzać najbliższe wieczory. Żeby nie być samemu, zadzwoniłem do Pawła, mojego kolegi. Razem udaliśmy się w bardzo popularne miejsce, gdzie wieczorami przebywa i bawi się młodzież. Gdy patrzyłem na tych wszystkich ludzi, którzy tak świetnie się bawią, dopadły mnie swego rodzaju smutek i nostalgia za wyjściami z moją grupą przyjaciół. Zapytałem retorycznie Pawła, dlaczego nie możemy jak dawniej spotykać się z naszą paczką. Obaj rozumieliśmy się bez słów: trzeba dostosować się do zmieniającej się rzeczywistości, nie ryzykować zdrowia naszego i naszych bliskich.

W pewnym momencie dostrzegłem grupkę ludzi składającą się tak na oko z piętnastu osób. Powiedziałem Pawłowi, żebyśmy do nich podeszli i razem z nimi spędzili czas. Widziałem po jego wyrazie twarzy, że jest dosyć niechętny. Kiedy podeszliśmy do nich, bardzo ciepło nas przyjęli i zachęcali do dalszej zabawy z nimi. Wtedy poznałem Kubę. Dużo czasu rozmawiałem i bawiłem się z nim, przy czym odstawiałem Pawła na bok. Moje zachowanie go zirytowało i powiedział, że zamawia taksówkę i wraca do domu. Świetnie

się bawiąc, odpowiedziałem, że skoro tak bardzo chce, niech wraca. Resztę wieczoru spędziłem z nowo poznanymi ludźmi.

Gdy nastał kolejny weekend, zapytałem starych znajomych, czy mają ochotę się spotkać. Odpowiedź była do przewidzenia. W wiadomościach mogłem zauważyć, że ewidentnie coś nie gra między nami i są wobec mnie zdystansowani. Napisałem do Julki, czy moglibyśmy się spotkać. Odpowiedziała bardzo stanowczo, że nie. Po chwili napisał do mnie Kuba. Zaproponował, żebyśmy pojechali na imprezę do jego bardzo dobrego kumpla. Oczywiście się zgodziłem i uznałem to za świetny pomysł, w końcu lepiej gdzieś pojechać, niż siedzieć przed nudnym komputerem i grać w te same gry. Wszyscy świetnie się bawili i była tam pewna dziewczyna, z którą zlapałem bardzo dobry kontakt. Przetanńczyliśmy i przegadaliśmy razem całą imprezę. Pododawaliśmy się wzajemnie na różnych social mediach.

Któregoś dnia w końcu ponownie spotkałem się z Julią u mnie w domu i świetnie spędzaliśmy razem czas. Ten dzień wyglądał tak, jak te dni, których właśnie mi brakowało i za którymi tęskniłem. Pod wieczór, już przed samym powrotem do domu, oglądaliśmy tiktoki w moim telefonie i wtedy napisała ona... dziewczyna z imprezy u kolegi Kuby. Zapytała, czy mam ochotę się spotkać na rynku. Oczywiście Julia zobaczyła tę wiadomość i zapytała, kto to jest. Odpowiedziałem, że jest to koleżanka, którą poznałem na imprezie u kumpla Kuby, mojego nowego kolegi. Wywiązała się z tego niemała kłótnia, ale wytłumaczyłem jej, że to tylko koleżanka... Julia wróciła do domu, a ja stwierdziłem, że spotkam się z nowo poznaną dziewczyną.

Świetnie się razem bawiliśmy. Przyszła pora na powrót do domu. W domu rozmyślałem, czy jednak nie powinienem poinformować mojej dziewczyny, że byłem z nową koleżanką na mieście. Jednak stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli nic nie powiem... Mimo napiętej sytuacji między nami Julia nerwowo dopytywała się o moją nową koleżankę. Za każdym razem odpowiadałem jej to samo, że to tylko koleżanka i nikt więcej. Jednak czułem się z tym faktem źle. Zaniedbałem Julię, ale przecież ona nie chce się ze mną spotykać, bo boi się zarażenia wirusem.

Mijały kolejne tygodnie. Ze znajomymi Pawła i nową koleżanką regularnie wychodziliśmy na miasto, na różnego rodzaju imprezy. Zacząłem coraz bardziej zbliżać się do nowo poznanej dziewczyny. Pewnego wieczoru, gdy udaliśmy się wszyscy razem do klubu, wypiliśmy dość dużo alkoholu i wtedy właśnie zdradziłem swoją dziewczynę. Rano, kiedy wstałem, czułem się z tym faktem okropnie. Postanowiłem napisać do Julii i spytać, czy możemy się spotkać. Niespodziewanie zgodziła się. W drodze do niej kupiłem bukiet pięknych czerwonych róż. Gdy otworzyła mi drzwi, widząc mnie z bukietem kwiatów w ręce, nie uśmiechnęła się. Powiedziała, żebym wszedł do środka. Przeszliśmy do jej pokoju. Zapytała, z jakiej okazji kupiłem te kwiaty, czy coś się stało. Odparłem, okłamując nas oboje, że nic się nie stało... Kwiaty kupiłem jej bez okazji. Jednak ona wyglądała, jakby coś przeczuwała, podejrzewała. Ponieważ wątek nowo poznanej stale był obecny w naszych relacjach, zapytała, gdzie byłem zeszłej nocy i z kim, Odpowiedziałem, nie wymieniając jednej osoby – dziewczyny, z którą zdradziłem tej nocy Julię. Usilnie dopytywała, czy na pewno mówię jej całą prawdę. Za każdym razem odpowiadałem, że oczywiście i po co miałbym coś ukrywać i nie mówić zgodnie z faktami. Ona jednak nie dawała za wygraną i ciągle mi nie wierzyła, była wobec mnie podejrzliwa. Tego dnia nie miała ochoty nawet się przytulić, co dla mnie było dość zastanawiające. Potem z całą siłą w głosie oznajmiła mi wprost, że kłamię. Wypomniała mi, że tamtego dnia była jeszcze osoba, o której nie wspomniałem. Odpowiedziałem, że być może tam była, ale nie pamiętam lub jej nie widziałem... Ponownie usłyszałem szorstkie słowa, że jestem kłamcą. Wtedy zamarłem. Powiedziała to z taką powagą i stanowczością, jakby faktycznie tam była i obserwowała wszystko z boku. Opowiedziała wszystko, co zrobiłem zeszłej nocy, z najmniejszymi szczegółami. Dodała, że tej nocy była tam wraz z przyjaciółką. Podejrzewały, że coś jest nie tak, i wszystko obserwowały. Wtedy zamarłem. Czułem, jakbym dostał w twarz. Julia ostrym tonem przerwała martwą ciszę i powiedziała, żebym zabrał, co przyniosłem, i wyszedł.

I w ten właśnie sposób z braku chęci zrozumienia moich bliskich straciłem wszystkich, którzy byli dla mnie ważni: dziewczynę, przyjaciół. W oczach rodziny stałem się kimś innym. Właśnie w taki sposób ja, który potrzebowałem bliskości, zostałem sam i bez twarzy.

Strata

Choroba. Wirus. Zamknięcie szkół. Puste półki w sklepach. Kolejki do lekarzy. Zamknięcie granic. Brak możliwości wyjścia z domu.

Głowa nie przestawała mnie boleć od całoniedzielnego oglądania wiadomości, jednak nie mogłam przestać, było to jak uzależnienie, którego nie umiałam się pozbyć. Każda stacja telewizyjna i radiowa czy portale plotkarskie ścigały się, kto szybciej opublikuje wiadomości o tragedii kolejnego człowieka. Kto szybciej zawiadomi resztę kraju, że czyjeś życie jest niszczone. Kto szybciej przypieczętuje czyjeś nieszczęście. Wyścig, który nie powinien mieć miejsca, a mimo to każdy z nas przypatruje mu się, czeka na nowe informacje z myślą, aby to nie on pojawił się w następnym wydaniu. Życie innych interesuje nas dużo bardziej niż własne, nie możemy się doczekać, aż omówimy z kimś nowe wydarzenie, które nie dotyczy nas w żadnym stopniu, aby ocenić drugiego człowieka, tak jak my nie chcemy, żeby nas oceniano. Jesteśmy chodzącymi hipokrytami, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, i obrażamy się nawet o najdrobniejszą krytykę skierowaną w naszą stronę.

Dźwięki w tle wcale mnie nie uspokajały, a tylko potęgowały mój ponury nastrój. Potrzebowałam obejść pokój dookoła siedem razy, aby uwolnić się od tych myśli, a one tylko wracały wzmocnione. Wyłączyłam telewizor i zasłoniłam rolety, chciałam schować się przed całym światem, złem i chorobami, które się na nim znajdują. Jako dziecko myślałam, że jeśli schowam się pod czymś w ciemnym miejscu, to wszystko, czego się bałam, zniknie. Kiedy dorosłam, odkryłam, że to każdy z nas jest odpowiedzialny za swoje czyny i największymi potworami możemy okazać się my sami. Zakryłam się kołdrą i liczyłam w głowie, dopóki mój oddech się nie uspokoił, dusiłam się. Nurtowało mnie pytanie: ile zakażeń wykryli w tym czasie? Ile? Włączyłam

telewizor, aby upewnić się, że jest to możliwie jak najmniejsza liczba. Nie mogłam wytrzymać dłużej niż kilka minut bez sprawdzania tych informacji. Odetchnęłam z ulgą, nie było aż tak źle, jak się spodziewałam. Powinnam zmienić maseczkę, nie robiłam tego od godziny. Głos z tyłu głowy podpowiadał mi, że noszenie maseczki w domu jest bez sensu, mimo to umyłam i odkażiłam ręce, a potem wzięłam nową. Obeszłam cały dom dookoła i płynem antybakteryjnym przetrarłam każdy mebel i zakątek. W każdym pomieszczeniu było czuć silny alkoholowy zapach, który próbowałam zamaskować cynamonowymi świeczkami. Nie mogłam wytrzymać myśli o zarazkach zbierających się wszędzie. Liceum miało być najlepszym czasem w moim życiu, nowa szkoła, znajomi i imprezy, a może nawet zagraniczne wyjazdy, które miałam już tak szczegółowo zaplanowane z wyprzedzeniem. Niestety globalna pandemia pokrzyżowała wszystkie moje plany, od ponad roku jestem zamknięta we własnym pokoju i nie zapowiada się, żebym szybko z niego wyszła. Od tego czasu nie opuściłam domu ani razu. Wirus opanował już cały świat, łącznie z moją głową. Odwiedzało mnie kilku psychiatrów, a każdy mówił to samo – nerwica, paranoja i zachowania kompulsywne. Moje zdanie na ten temat jest jednak trochę inne. Nie uważam, żeby do epidemii ludzie podchodzili odpowiednio ostrożnie, a nawet momentami postępują lekko-myślnie. Sami wystawiają swoje zdrowie na spotkanie z chorobą i spędzają czas w zatłoczonych miejscach, przytulają się i całują, jakby ich ten problem miał nie dotyczyć, jakby nie miało być kolejnego wydania „Wiadomości”.

Sama unikam kontaktu fizycznego, jak tylko mogę, co nie do końca podobna się Frankowi, który jest moim chłopakiem już od kilku lat. Jako że jest ekstrawertykiem, jego ulubione zajęcie stanowi spędzanie czasu z ludźmi, czego ja w obecnej sytuacji nie pochwalam. Należy do osób, które ryzykują życie nie tylko swoje, lecz także swoich bliskich dla chwilowego spotkania, które w tych czasach może kosztować czyjeś życie. Nie jestem w stanie zapamiętać nawet połowy imion jego znajomych, co nigdy szczególnie mi nie przeszkadzało, do momentu, w którym zaczął widywać się z nimi znacznie częściej niż ze mną. Wprawdzie nie jestem teraz szczególnie chętna do wyjść, ale i ja mam swoje potrzeby. Od zeszłego tygodnia nie widziałam się z nim

ani razu i mam wrażenie, że celowo mnie unika, miał do mnie przyjść już godzinę temu, a jego dalej nie ma. Ostatnio ciągle odwołuje spotkania i je przekłada, jeśli tylko znajdzie do tego okazję, nawet z najbardziej blących powodów, ciągle szuka wymówek. Zachowuje się, jakby fakt, że boję się choroby, eliminował mnie kompletnie z jego życia towarzyskiego i jakbym nie była warta poświęcenia nawet 2 godzin na obejrzenie razem filmu czy zwykłą wspólną rozmowę. Mieszkamy we Wrocławiu, przez co zawsze mieliśmy do wyboru dużo atrakcji, z których często korzystaliśmy. Naszymi ulubionymi były minigolf i mecze koszykówki, które nie tylko były emocjonujące, lecz także dawały nam nieskończenie wiele tematów do rozmów. To właśnie tam się poznaliśmy i kontynuowaliśmy tę tradycję długi czas, nie ominęliśmy żadnego meczu. Zawsze wydawało mi się, że byliśmy nie tylko parą, ale przede wszystkim przyjaciółmi, którzy mówili sobie bezwzględnie wszystko, nawet jeśli miała to być najgłupsza rzecz na świecie. Nie ocenialiśmy się i po wysłuchaniu staraliśmy się jak najlepiej rozwiązać problem. Rozmawialiśmy godzinami, a tematy same napływały, przez to często spędzaliśmy całe noce na dyskusowaniu o wszystkim. Mimo znaczących różnic między nami zawsze dochodziliśmy do porozumienia, a każda sprzeczka dosyć szybko się kończyła. Ostatnio bardzo się od siebie oddaliliśmy i mam wrażenie, że granica między najlepszymi przyjaciółmi a nieznajomymi zaczyna się powoli zacierać. Kiedyś nie potrafiliśmy zasnąć bez rozmowy przed snem, a każdy problem szczegółowo omawialiśmy, teraz potrafimy nie rozmawiać ze sobą kilka dni. Czy jest możliwe, żeby po prostu przestać kogoś kochać? Jak to możliwe, że z osobą, którą kochałeś bardziej niż wszystko inne, nie umiesz porozmawiać w ciągu dnia? Nie wierzę w to, że ludzie po prostu przestają się kochać. Stają się sobie obcy, tak nagle. Czy można wtedy powiedzieć, że naprawdę łączyła ich tak silna więź?

Zadzwoiłam do niego kilka razy, jednak nie odebrał, cały czas włączała się poczta głosowa. Zaczynałam się naprawdę niecierpliwić. A jak coś mu się stało? Może zachorował i źle się czuje, a nie chciał mnie tym martwić? Ale dlaczego miałby mi wtedy nie odpisywać? Wpatrywałam się w ekran telewizora, na którym wciąż rosła liczba osób zakażonych. Czułam przerażenie,

codziennie przynajmniej dwa razy brałam garść witamin, które według producentów miały wspomóc mój układ odpornościowy i zmniejszyć ryzyko zachorowania na wirusa. Ze stresu zaczęłam krążyć po pokoju i rwać włosy z głowy, co pewnie trwałoby w nieskończoność, gdybym nie usłyszała cichego pukania do drzwi do mojego pokoju. Spojrzałam w tym kierunku i kiedy miałam do nich podejść, stanął w nich Franek z ogromnym bukietem piwonii, które były moimi ulubionymi kwiatami. Momentalnie zamarłam i tak jak wcześniej stres zjadał mnie od środka, tak teraz pochłaniał mnie całą. Uwielbiałam dostawać kwiaty, jednak w takim przypadku nigdy nie znaczyły nic dobrego. Franek miał zwyczaj dawać mi je, tylko jeśli wiedział, że stało się coś złego albo byliśmy mocno skłóceni. Gdy zobaczyłam jego wyraz twarzy, od razu wiedziałam, że coś się musiało wydarzyć. Nie umiem tego wyjaśnić, ale takie rzeczy się po prostu wyczuwa, może to intuicja, a może coś innego. W tamtym momencie nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia.

– Co się stało? – zapytałam drżącym głosem. Uśmiech, który Franek tak usilnie starał się przywołać na twarz, od razu przybladł, a ja już byłam pewna, że się nie myliłam. – Od kiedy kupujesz mi tak drogie kwiaty? I jak udało ci się je dostać o tej porze roku? To graniczy z cudem.

– Czy to coś złego? Chciałem ci nimi sprawić przyjemność.

Nie słyszałam jednak przekonania w jego głosie. Widziałam wahanie w jego oczach i wiedziałam, że on czuje moje napięcie.

– Odkaziłeś ręce? – Licznik na ekranie telewizora dalej rósł, a ja mimo stresu związanego z tą rozmową nie mogłam przestać o nim myśleć. Franek głośno westchnął i opuścił rękę, w której trzymał kwiaty. Na jego twarzy pojawił się niekontrolowany grymas i czułam, że wracamy do punktu wyjścia. – Wiesz, że to dla mnie ważne.

– A ty wiesz, że zawsze to robię, nie musisz mi o tym ciągle przypominać. Nie mam już siły prowadzić z tobą rozmów na ten temat, cały czas to samo, wiesz, jakie to jest męczące?

Spojrzałam na niego i nie wiedziałam, co mogłabym na to odpowiedzieć. Czy wiedziałam? Oczywiście, że tak, nie jestem głupia, problem polegał na tym, że mimo to nie mogłam tego powstrzymać, nawet teraz całą siłą woli

staralam się nie wspomnieć o tym, że po wejściu nie założył czystej maseczki. Te odruchy były silniejsze ode mnie. Odwróciłam się do niego plecami i bez słowa skierowałam w stronę łóżka.

– Przepraszam, Julia. Słuchaj, miałem naprawdę słaby tydzień i nie chce się dodatkowo klócić, ale wiesz, że tak nie da się żyć? Musimy w końcu o tym porozmawiać! – uniósł głos, ale od razu się zreflektował, opuścił ramiona w geście zrezygnowania i pokręcił lekko głową. – Co ja mam robić?

– Wiesz, że to nie o ciebie chodzi. To walka z demonami, które siedzą we mnie i nie dają mi spokoju, a ja nie potrafię z nimi wygrać. – Usiadłam na łóżku i starałam się nie myśleć o ilości bakterii, które prawdopodobnie pojawiły się teraz w moim pokoju. Czułam potrzebę zdezynfekowania wszystkiego, czego dotknął. – Nie oczekuję, że zrozumiesz.

– To, co robisz, nie jest normalne. Wiesz o tym, co się z tobą stało? Nie możemy już nawet wyjść na spacer, bo za bardzo się boisz. Przecież to jest jakaś paranoja, znajomi pytają, kiedy wreszcie zostawisz tę wariatkę.

– Twoi koledzy nigdy mnie nie lubili i dobrze o tym wiesz, a mimo to starałam się, jak tylko mogłam, żeby chociaż trochę przychylniej na mnie spojrzeli, ale ciebie to nigdy nie interesowało. Kiedy tylko pojawiał się ten temat, wolałeś udawać, że nie słyszysz albo nie widzisz żadnego problemu! – krzyknęłam, tracąc siły do dalszej kłótni, której końca nie mogłam wy czuć, tym razem była jakby mocniejsza, bardziej ostateczna. – Nigdy nie pokazywałeś, że przeszkadzało ci to, jak mnie traktowali. Wiesz, jak bolesne to dla mnie było? Za każdym razem musiałam się powstrzymywać, żeby się nie rozpłakać.

– Nie wiedziałem, że było aż tak źle.

– Oczywiście, że nie, jak tylko pojawia się jakiś problem, to go nie widzisz. – Odwróciłam wzrok, łzy ciekły po moich policzkach coraz intensywniej, nie mogłam ich zatrzymać, a po nastawieniu Franka widziałam, że nie jest w tym momencie skory do pocieszania mnie. Przegrywałam bitwę, o której nie wiedziałam, że będę musiała ją toczyć. – Co się stało?

– Co masz na myśli?

– Nie rób ze mnie idiotki, przyniosłeś mi kwiaty.

Franek podrapał się po karku i usiadł obok mnie na łóżku.

– Po prostu to powiedz. Im dłużej zwlekasz, tym jest gorzej. Nie sądzisz, że zasługuję na to, żeby znać prawdę? – Z każdą minutą czułam, jak bakterie i wirusy rozprzestrzeniają się w powietrzu. W telewizji pojawiały się obrazy pełnych szpitali i zasłoniętych białymi prześcieradłami ciał, z których życie w ten krótki moment zdążyło ulecieć. Obawa przed tym, że i ja znajdę się na jednym z tych łóżek, nie dawała mi spokoju, czułam, jak żołądek mi się zaciska, a ciało zaczyna drżeć.

– Wyszedłem wczoraj z chłopakami.

– To miała być ta straszna wiadomość? Przecież wiem. – Przewróciłam oczami w geście irytacji, a Franek zaczął pocierać nerwowo ręce.

– To nie koniec, poznałem tam kogoś. Dziewczynę. Nie znałem jej wcześniej ani nie planowałem tego. – Między zdaniami zatrzymywał się na kilka sekund, co tylko potęgowało moje zdenerwowanie, ale kiedy dotarło do mnie, co usłyszałam, znałam już odpowiedź na moje następne pytanie. – Tak bardzo mi przykro.

Głucha cisza, która nastąpiła po tych kilku krótkich zdaniach, była wymowniejsza niż cokolwiek, co byłabym w stanie teraz powiedzieć. Uklucie to była pierwsza rzecz, którą poczułam. Tak straszliwie bolesne, że musiałam pochylić się i przytrzymać, żeby jakkolwiek je uśmierzyć. Zamknęłam oczy, żeby mroczki przed nimi zniknęły, i momentalnie zakręciło mi się w głowie, a śniadanie podeszło do gardła.

– Powiesz coś, Julio? – zająknął się. Nawet nie spojrzał w moją stronę, mówił do mnie, ale czułam się, jakbym była niewidzialna. – To był tylko jeden raz i przysięgam, że to nic nie znaczyło, wiesz, że kocham tylko ciebie. Jesteś dla mnie wszystkim i tak bardzo żałuję.

Minuty mijały, a moje usta były jak zaszyte, nie mogłam wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Ucisk rozchodził się po całym moim ciele, czułam go w każdej jego części i paraliżował mnie od środka.

– Dlaczego nic nie mówisz? Błagam, odezwi się...

Chciałam coś powiedzieć, naprawdę tak bardzo chciałam zrobić cokolwiek, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Co można powiedzieć osobie,

która tak bardzo cię zawiodła, zraniła w najgorszy możliwy sposób? Siedziałam i patrzyłam przed siebie, słyszałam, że Franek coś do mnie mówi, ale głos był jakby przytłumiony, niewyraźny. Pierwszy raz czułam się tak, jakby wszystkie moje myśli nagle wyparowały, zniknęły. Nie rozumiałam tego, co do mnie mówi, a tym bardziej konsekwencji tych słów. Tak jakby moje ciało i umysł rozdzieliły się i nie potrafiły ze sobą połączyć. Byłam pewna, że niewiele zapamiętam z tej rozmowy. Lekkie dotknięcie, które poczułam na udzie, wyrwało mnie z letargu, odsunęłam rękę Franka i gwałtownie wstałam z łóżka. Prawo, lewo, prawo, lewo, chodziłam od ściany do ściany, starając się znaleźć balans między ogarniającymi mnie uczuciami.

– Kochanie, proszę cię, dlaczego milczysz? Powiedz coś, mogę ci wszystko wytłumaczyć.

– Jak ona wyglądała? – To proste, ale jednocześnie tak trudne pytanie jako pierwsze nasunęło mi się na myśl. – Była ładna?

– Co? – Szok na jego twarzy doprowadzał mnie do furii.

– Zadałam pytanie. Jak ona wyglądała? – Uraza w moim głosie była tak wyraźna, że zastanawiałam się, czy to na pewno ja wypowiedziałam to zdanie.

– Jakie to ma znaczenie?

– Dla mnie ogromne, więc jeśli byłbyś tak łaskawy, żeby odpowiedzieć, to byłabym wdzięczna. Jak ona wyglądała?

– Nie wiem. Normalnie. Nie przyglądałem się, było ciemno, a poza tym nie miało to dla mnie większego znaczenia.

Osoba, która nie została zdradzona, nigdy nie zrozumie, jak istotna jest odpowiedź na to pytanie. Pytanie, które nie będzie ci dawało spać w nocy, które będzie podstawą do zakwestionowania tego, jak postrzegasz samego siebie.

Podeszłam do lustra i spojrzałam na siebie. Włosy jakby zmatowiały, cera stała się bardziej ziemista, w oczach brakowało blasku, a sylwetka jakby nagle w ciągu chwili stała się większa. Wszystko wydawało się nie na swoim miejscu. Franek patrzył na mnie z obawą, ale nie ruszył się ani o centymetr. Odraza. Wstręt. Pogarda. To czułam, patrząc na swoje odbicie, miałam ochotę schować wszystkie lustra i nigdy więcej na siebie nie patrzeć.

– Potrzebowałem bliskości, a wiem, jak ciężko ci pokonać ten strach, starałem się to akceptować, jak tylko mogłem, ale zaczęło mnie to już przerastać.

– Nie wierzę, czy ty właśnie zwalasz całą winę na mnie?

– Oczywiście, że nie. Nie chcę, żebyś tak to odebrała, po prostu sam nie wiem, co się stało, byłem pijany.

– Czyli alkohol to jest dla ciebie usprawiedliwienie?

– Jasne, że nie, chcę to jakoś wytłumaczyć. Możemy to naprawić, obiecuję, że to się nigdy więcej nie powtórzy, naprawdę zrobię wszystko, co tylko będziesz chciała, przestanę widywać się z chłopakami, będziemy spędzać więcej czasu razem.

Zastanawiałam się, jak dużą rolę odgrywa w tym czynnik losu. Czy gdyby pandemia nigdy nie nadeszła, nie musielibyśmy prowadzić tej rozmowy? Na ten krótki moment zapomniałam o liczniku na ekranie, o strachu i zarażkach. Bo co mogło być gorszego od utraty samego siebie? Oprócz Franka winiłam wszystko inne, ale przede wszystkim wirusa, który roznosił się po całym świecie.

Nie mogłam znieść widoku lustra i z całej siły uderzyłam w nie pięścią. W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się moja twarz, teraz była pajęczyna ze szkła. Nie czułam nic. Dopiero kiedy Franek złapał mnie za rękę i zaczął wyjmować odłamki, które w niej zostały, odwróciłam się w jego stronę i spojrzałam mu w oczy.

– Nie zmieniłeś maseczki na nową.

– Naprawdę to jest teraz dla ciebie najważniejsze? Nie rozumiesz tego, co powiedziałem?

– Słyszałam.

– Nic to dla ciebie nie znaczy?

– Oczywiście, że znaczy. – To on nie rozumiał. Czułam się, jakby ktoś położył mi na sercu ciężką cegłę, która powoli zabierała mi oddech, a ja nie wiedziałam, jak ją zdjąć. – Nie wiem, czy jest cokolwiek odpowiedniego, co mogłabym powiedzieć w tej sytuacji.

– Mam wrażenie, że nawet ci już nie zależy, jakby to, co powiedziałem, cię nie obchodziło, a może nawet było dla ciebie wygodnym rozwiązaniem, skoro nie musisz sama podejmować decyzji.

– Jak możesz tak mówić? Nie masz pojęcia, przez co teraz przechodzę.

– To mi powiedz. Nie chcesz już w ogóle ze mną rozmawiać. Naprawdę znam cię bardzo dobrze, ale nie jestem w stanie wszystkiego się sam domyślić.

– Zapadła głucha i bolesna cisza, którą zakłócały jedynie moje pociąganie nosem i delikatne krople deszczu, które uderzały o szyby.

– Wyjdź. Po prostu zniknij mi z oczu.

– Naprawdę chcesz, żebym teraz wyszedł? Nie chcę zostawiać cię samej.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Ciągłe spędzam czas tylko sama ze sobą.

– Przepraszam, że o to nie zadbałem, powinienem o tym pomyśleć wcześniej.

– Nie uważasz, że za późno na przeprosiny? O matko, jak mogłeś mi to zrobić, po prostu w to nie wierzę. – Schowałam głowę w dłoniach i szlochałam. Pozwoliłam Frankowi otulić się kocem i objąć, byłam pewna, że to są nasze ostatnie wspólne chwile i chciałam wykorzystać je najlepiej, jak mogłam. – Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

– Wiem, naprawdę wiem, skarbie.

– Masz chociaż wyrzuty sumienia?

– Nie spałam całą noc, myśląc o tym, jak bardzo cię skrzywdziłem, wiem, że to może tak dla ciebie nie wyglądać, ale żałuję tego bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Zdaję sobie sprawę z tego, że pewnie mi już nie zaufasz, i nie dziwię się, pozbawiłem cię bezpieczeństwa, które zawsze obiecywałem, ale chcę żebyś wiedziała, że to nie miało nic wspólnego z tym, co czuję do ciebie.

– Właśnie dlatego zawsze mówiłam, że byłoby lepiej, gdybyśmy zostali przyjaciółmi.

– Wiem, że tak nie myślisz.

– Skąd możesz wiedzieć, co o tobie myślę?

– Domyślam się, jak bardzo przeklinasz mnie teraz w swojej głowie.

Spędziliśmy w tej pozycji jeszcze kilka minut, po czym postanowiliśmy ten ostatni raz obejrzeć razem film. Zgodziłam się tylko ze względu na to, że samotność doskwierała mi od początku naszego związku, a teraz czułam ją jeszcze bardziej. Tak ciężko jest mi wyobrazić sobie życie bez niego. Nie było w tym ani krzty romantyzmu, tylko dwie osoby, które kiedyś były dla siebie wszystkim, a teraz były sobie praktycznie obce. Zeszłam do kuchni po herbatę i popcorn, w obecnych czasach półki w sklepach były praktycznie puste. Ludzie w obawie przed zamknięciem w domach kupowali spore zapasy żywności i nawet zwykły cukier momentami można było uznać za rarytas. Sama wcale nie byłam lepsza, gdy tylko pandemia się rozpoczęła, ublażałam rodziców, żeby wykupili wszystkie moje ulubione przekąski. Nie wynikało to ze strachu przed totalnymi pustkami, których teraz doświadczamy, ale z przerażenia na samą myśl o opuszczeniu domu nawet na chwilę po drobne słodczyce.

Kiedy wróciłam do pokoju, Franek siedział przed telewizorem i wybierał pomiędzy moimi ulubionymi filmami. Nigdy nie mogliśmy się zdecydować, na co w danej chwili mamy ochotę, więc przeważnie stawalo na kilku tych samych filmach. Dokładnie tak było też tym razem, usiedliśmy wygodnie w stosownej od siebie odległości, ze zmienionymi maseczkami, i zatraciliśmy się nie tylko w filmie, ale przede wszystkim w złudnej nadziei, że kiedy nadejdzie koniec, wszystko będzie takie samo.

– Myślę, że powinieneś już iść – powiedziałam na widok napisów końcowych, które znałam praktycznie na pamięć. Nie byłam gotowa, żeby się rozstać, ale przeciąganie tego jeszcze bardziej również nie wydawało mi się dobrą perspektywą.

– Jesteś tego pewna? – Przygnębienie na jego twarzy wskazywało, że miał nadzieję, iż uda nam się to przegadać, a ja zmienię zdanie. Nie nalegał na dłuższe spędzanie czasu razem, ale nie umknęło mi to, że ociągał się z wyjściem.

– Tak – moja twarda odpowiedź była jednoznaczna, mimo że głos w mojej głowie tak bardzo chciał zaprzeczyć. Musiałam ratować siebie, najbardziej, jak tylko mogłam.

Pożegnania nigdy nie należą do najłatwiejszych, szczególnie jeśli ludzie nie rozstają się do końca w zgodzie, ale dzięki temu miałam czas, żeby zrobić to na swój własny sposób.

– Julia, mam nadzieję, że w życiu doświadczysz wielu przepięknych i wspaniałych rzeczy, a kiedy to już się stanie, to uwierzysz, że zasługujesz na każdą z nich. Jesteś wyjątkowa i nie pozwól, żeby ktokolwiek zabrał twój blask, szczególnie ktoś, kto na ciebie nie zasługuje. Strata ciebie była najgłępszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem, i zawsze będę o tym pamiętał.

Zamknęłam drzwi, ale nie mogłam od razu od nich odejść. Wpatrywałam się w nie bez większego celu i ludziłam się, że może Franek zawróci. To było jak zamknięcie rozdziału, którego jeszcze nie skończyłam czytać, a mimo to nie chciałam znać ostatniego zdania.

Obawa. Rozdrażnienie. Żal. Żaloba.

To właśnie te uczucia będą towarzyszyły mi w następnych dniach. Gorycz w ustach, której nie potrafiłam się pozbyć, ciągle przypominała mi o tym, co straciłam i co mnie zawiodło. Chociaż może to nie była prawda, może chciała mi dać znać, że coś zyskałam i czeka mnie coś innego, lepszego?

Wróciłam do pokoju i usiadłam na podłodze, zastanawiając się, co mam zrobić, i naprawdę chciałam być jak ta wściekła dziewczyna z filmów, która spaliłaby wszystkie jego ubrania, ale prawda była taka, że wzięłam flakonik jego ulubionych perfum, które kiedyś zostawił mi w prezencie, i rozpyliłam je po całym pokoju, żeby poczuć chociaż trochę obecność osoby, która kiedyś była mi tak bliska, że mogłaby wyrwać moje serce z klatki piersiowej, wyrzucić jego odłamki do oceanu, a ja dalej bym ją kochała. Ale czy nie to właściwie zrobił Franek?

Oglądając wieczorne wiadomości, straciłam poczucie czasu i ominęłam kolację, tak samo następnego dnia śniadanie i obiad, i znowu kolację, i tak w kółko. Trwało to kilka dni, a woda z cytryną i gumy do żucia na zabicie głodu stały się moimi najlepszymi przyjaciółmi. Wiedziałam, że moja odporność z każdym takim dniem spada i nawet garść witamin nie zastąpi mi normalnego posiłku. Straciłam cały apetyt. Czułam, że muszę być piękniejsza,

żeby móc być kochaną, czego cienie pod oczami, szary kolor skóry i garście wypadających włosów były kompletnym zaprzeczeniem. Każdy dzień wyglądał dokładnie tak samo, a samotność dobijała mnie coraz bardziej, lekcje zdalne nie były w stanie zastąpić interakcji z drugim człowiekiem i miałam wrażenie, jakbym cofała się do momentu, w którym jeszcze nie umiałam mówić, bo tak rzadko z kimś rozmawiałam. Wypowiedzenie chociaż jednego zdania było dla mnie sporym wyzwaniem. Mój umysł zamykał się coraz bardziej na otaczający mnie świat, czułam się obco nawet we własnym domu, a jednocześnie było to moje jedyne schronienie. Z Frankiem nie rozmawialiśmy, nie wymieniliśmy nawet krótkiej wiadomości, co było dla mnie istną katorgą. Wiele razy chciałam do niego zadzwonić, chociaż na chwilę, ale za każdym razem, kiedy tylko usłyszałam dźwięk sygnału, szybko się rozłączałam. Wirus był bezlitosny i rozprzestrzeniał się coraz szybciej, a nowe obostrzenia były jeszcze bardziej rygorystyczne. Z tego powodu nie musiałam już szukać wymówek, żeby siedzieć w zamknięciu. Byłam tak załamana, że z biegiem czasu przestałam nosić maseczkę w domu, po kilku tygodniach nie szorowałam mebli silnie alkoholowymi płynami, które miały odkazić je z wszelkich zarazków. Dla innych mogłoby się wydawać to dosyć normalnym zachowaniem, a ja się po prostu poddawałam. Skoro nie miałam z życia praktycznie nic, co napawałoby mnie radością, nie żałowałam, że je tracę.

Po paru miesiącach zaczęłam wychodzić na krótkie spacerunki do pobliskiego lasu, co pomogło mi nie zwariować do końca i przewietrzyć umysł. Jedyną atrakcją moich monotonnych dni było codzienne oglądanie wiadomości, które sprawiały, że byłam jeszcze bardziej osowiała. Dopiero widok znajomego bloku na ekranie przykuł moją uwagę, podgłośliłam dźwięk i wsłuchałam się w informacje o tragicznym samobójstwie dziewiętnastoletniego chłopaka z okolic Wrocławia.

Droga do odkupienia

Pandemia zbiera żniwo. Setki tysięcy ludzi cierpi katusze w szpitalach, na świecie panuje chaos, a ja? Przede wszystkim odpoczywam. Nie pozwalają nam wychodzić z domu. Znajdujemy się w środku lockdownu. Zapewne dla większości osób, tym bardziej tych o bogatym życiu towarzyskim, jest to niezwykle krzywdzące, ale ja znajomych i tak nie miałam wielu. W szkole otoczona byłam ludźmi, z którymi zupełnie nie miałam o czym rozmawiać, więc niechętnie się z nimi spotykałam. Mój chłopak? Lepiej, jeśli zniknie z mojego życia. Dzięki pandemii w końcu mogę chwilowo odciąć się od niego, odechnąć i zastanowić się, czy chcę tkwić w toksycznej, wyniszczającej relacji.

Czuję chwilowy pokój.

Nie oglądam wiadomości, w przeciwieństwie do mojej mamy, która każdy dzień zaczyna od sprawdzenia pandemicznych nowinek na jednym z popularnych kanałów informacyjnych.

– K, widziałas dzisiejsze statystyki? Ile osób umarło? A co, jeśli następni będziemy my? – takie słowa wypowiada moja matka.

Słyszę to codziennie.

Nie wiem, ile dni minęło od wybuchu pandemii. Zaczęłam się przyzwyczajać. Teraz w pełni mogę skupić się na sobie, na przemyśleniach. Długo nie wiedziałam, kim jestem, byłam zagubiona, ale nie miało to żadnego związku z panującą chorobą i obecnie obowiązującymi normami. Całe życie zakładałam tysiące fikcyjnych masek, które pozwalały mi zmienić osobowość w zależności od towarzystwa. Bo kto nie chciałby się dopasować? Kto nie chciałby czuć się akceptowanym? Niestety niemalże każda jednostka musi dostosowywać się do norm społecznych. Czasem mam wrażenie, że młodzież uczęszcza do szkół na paradę masek, a tak naprawdę nikt nie jest sobą,

w strachu przed ukazaniem swojego personalnego „ja” i wyśmianiem przez rówieśników. Ba, sama wiele razy wyśmiewałam kogoś innego tylko po to, żeby poczuć się lepsza, silniejsza.

Liceum.

To miał być najpiękniejszy okres mojego życia, tak słyszałam. Obietnica nowych przyjaźni, pierwszych miłości, fascynujących wyzwań, oraz nieskończona ilość niezapomnianych chwil. Jednak dla mnie to okres, który okazał się prawdziwym koszmarem – zupełnie inaczej niż to, co przewidywano. Kiedy w moim życiu rozpoczął się etap szkoły średniej, byłam pełna nadziei i optymizmu, głodna nauki, gotowa na nowe przygody i pozytywne doświadczenia. Jednak szybko okazało się, że rzeczywistość była zupełnie inna. Nieoczekiwane wyzwania społeczne i edukacyjne zaczęły mnie przytłaczać. Okres odkrywania swojej tożsamości był dla mnie areną walki o przetrwanie społeczne.

Zamiast tworzyć trwałe przyjaźnie, otoczyłam się ludźmi, z którymi zupełnie nie miałam wspólnego języka. Kultura szkolna i presja społeczna sprawiły, że musiałam ukrywać swoją prawdziwą osobowość, bojąc się wyśmiania i odrzucenia.

Zamiast budować relacje, starałam się dopasować do określonych standardów i oczekiwań innych osób. Było to wyjątkowo ciężkie, a codzienna walka o akceptację zaczęła wpływać na moje samopoczucie. Czułam, że jestem częścią tej parady masek. Musiałam stawić czoło presji bycia taką jak wszyscy. Często byłam świadkiem sytuacji, w których osoby odbiegające od norm społecznych były narażane na wykluczenie z grupy. Nie chciałam stać się jedną z nich. Czułam emocjonalne obciążenie i samotność, którą trudno było mi wyrazić słowami. Walka o akceptację sprawiała, że popadałam w depresję. Cierpiałam psychicznie, a to, co kiedyś sprawiało mi przyjemność, powoli znikало z mojego życia. Codzienna rutyna stawiała się nie do zniesienia. Uczucie, że mój czas upływa bez sensu, a życie przecieka między palcami, sprawiało, że byłam zagubiona.

Jednak niespodziewanie, kiedy pandemia objęła cały świat, poczułam, że coś się zmienia. Choć początkowo było to przerażające i trudne do zaakceptowania, z czasem odkryłam, że izolacja zmusza mnie do spojrzenia w głąb

siebie. Uznałam, że to jedyna szansa na skonfrontowanie się z własnymi demonami i pozytywne przewartościowanie życia. Mój stan psychiczny stopniowo zaczął się poprawiać, a objawy depresji stawały się mniej uciążliwe. W końcu miałam czas na refleksje. Teraz staram się słuchać siebie i kierować swoim życiem według własnych wartości, skupić na marzeniach, które cho-
wałam w głębi serca. No cóż, lepiej późno niż wcale.

Poniedziałek.

Musiałam się upewnić, czy to na pewno pierwszy dzień tygodnia, bo miałam wrażenie, że wszystkie dni zaczęły zlewać się w jednolitą całość. Obudziłam się w południe. Nigdzie mi się nie spieszyło. Zajęcia zdalne? Oczywiście, zdarzało mi się je opuszczać. Zjadłam śniadanie, ignorując pandemiczny szum telewizora. Dzień spędziłam, robiąc wszystko i nic. Na początku pandemii podjęłam się rysowania na zamówienie, więc kończę zlecenia i wracam do łóżka. Co ciekawe, klientów nie brakuje, gdyż z powodu aktualnej sytuacji na świecie coraz więcej osób ma czas, aby przebywać w internecie. Jest to dla mnie łatwy sposób zarobku i tak naprawdę pierwsza poważna praca. Codziennie staram się poświęcać kilka godzin na wykonywanie zleceń. Wiele lat temu wpadłam na pomysł, aby publikować swoje prace w sieci, jednak nauka pochłaniała cały mój czas wolny. Teraz mam go aż nadmiar. Po zakończonej pracy praktycznie każdego dnia oglądam kolejny serial, czytam książkę, nadrabiam zaległości i myślę. Dużo myślę. O straconym czasie, o nieszczęśliwym związku, o sensie życia i przyszłości. I przeszłości. Niekoniecznie o teraźniejszości.

Mijają kolejne dni, a ja może i myślę dużo, ale dlaczego nie próbuję nic zmienić? Jeśli zostałby ogłoszony koniec lockdownu, wróciłabym do tej samej toksycznej społeczności. Nie chcę tego. Nie mogę leżeć beczynn timer. Moja mobilność jest ograniczona w aktualnej sytuacji, jednak muszę w końcu podjąć jakieś realne kroki ku lepszej przyszłości.

Zostawię Z.

Ta myśl wraca do mnie codziennie. Toksyczny związek mnie pożarł, doszczętnie, i jest głównym powodem mojego przytłaczającego zagubienia. Jednak świadomość, że ten człowiek jednym kliknięciem na ekranie telefonu

może zniszczyć całe moje życie, jest przerażająca. Ale tak naprawdę nie mam już nic do stracenia. Podczas pandemii się nie widujemy, mamy ograniczony kontakt, nie jesteśmy zmuszeni siedzieć w tej samej ławce szkolnej ani widywać się na licealnym korytarzu. Czyżbym w końcu mogła zebrać się na odwagę? Może mam tę idealną okazję, aby coś zmienić? Aby w końcu poczuć się wolna, i przede wszystkim – poczuć się sobą? Dopiero przerwa mi to uświadomiła. Odkryłam siłę, by zakończyć relację z człowiekiem, który mnie kontrolował i nieustannie porównywał z innymi.

Naprawdę potrzebuję tej zmiany. Chcę odzyskać pewność siebie, którą utraciłam w miarę, jak toksyczny związek odcinał mnie zarówno od przyjaciół z klasy, jak i najbliższych mi osób. Nie jestem sama na tej drodze ku nowej przyszłości, mam wsparcie rodziny. Zresztą teraz większe niż kiedykolwiek. W końcu tylko z członkami rodziny mam możliwość widywać się na co dzień.

Pierwsza wiadomość wysłana.

Właściwie nie pierwsza, już wiele razy próbowałam to zakończyć, ale nie miałam odwagi. Nie byłam wystarczająco stanowcza, ulegałam mu. To była niezwykle burzliwa relacja. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe rozstanie. Po dwóch latach związku nie było już ratunku. W ogóle się nie dogadywaliśmy, krytykował mnie i porównywał z innymi kobietami, co miało ogromny wpływ na spadek mojej samooceny.

Odpisał.

Oczywiście nie odebrał mnie poważnie. Aczkolwiek to jedyna okazja, aby się uwolnić. Nie mogę dłużej ulegać jego wpływom.

Ten wieczór był długi, pełen łez. Wiedziałam, że spróbuje zatrzymać mnie przy sobie. Usiłował mnie zmanipulować. To był dla niego szok. Myślał, że ma mnie pod kontrolą. Nie miałam już siły, postanowiłam, że powiem o wszystkim mamie. Ona nie była świadoma tego, jak traktował mnie Z. Wszyscy myśleli, że to ja go krzywdzę. Mama szybko zdała sobie sprawę, iż przez lata ukrywałam swoje cierpienie. Dopiero teraz, kiedy zaczęłam opowiadać o tym, co działo się w prywatności, jej oczy napęłniły się zrozumieniem i współczuciem. Jednocześnie była w szoku, że nie zakończyłam tej relacji wcześniej. Cóż, nikt nie zrozumie, dopóki sam nie doświadczy takiej sytuacji. Mimo

wszystko był to moment, w którym poczułam, że nie jestem już sama, że nie muszę dłużej udawać przed światem, że jestem szczęśliwa, gdy tak naprawdę toksyczny związek wyssał ze mnie życiową energię.

Wraz z mamą zaczęłyśmy planować, jak najlepiej wyjść z tej sytuacji i zapewnić mi bezpieczeństwo. To był pierwszy krok ku odzyskaniu mojej wolności i tożsamości, którą utraciłam w toksycznym związku. Wiedziałam, że droga do wyzwolenia nie będzie łatwa, ale ze wsparciem rodzicielki i prawdą po swojej stronie czułam, że jestem gotowa, aby to zakończyć. Szkoda, że jeszcze wtedy nie byłam świadoma, iż pełną wolność osiągnę dopiero po trzech długich miesiącach. Chłopak nie chciał dać za wygraną, ranił mnie słowami, obiecywał poprawę, nawet groził samobójstwem, ale dla mnie było już za późno na zmiany.

Razem z partnerem odeszły również toksyczne przyjaźnie. Niestety zmuszona byłam otaczać się jego kolegami, o podobnych do niego poglądach. Na szczęście nie były to trwale znajomości, nie łączyły mnie z tymi ludźmi wspólne zainteresowania, a jedynie sprawy szkolne. Wiedziałam, że zostałam sama, ale świadomość, iż w końcu byłam wolna i nie musiałam już dostosowywać się do innych ludzi, była niezwykle pocieszająca. W końcu mogłam skupić się na pasjach, za które zawsze byłam wyśmiewana. Miałam więcej czasu niż kiedykolwiek.

To był pierwszy krok na mojej drodze odkupienia.

Po paru miesiącach od wybuchu pandemii dowiedziałam się, że w końcu odwiedzi nas moja starsza siostra, która parę lat temu przeprowadziła się do jednej z brytyjskich metropolii w celu dalszej edukacji. Niestety okazało się, że będzie musiała przejść okres kwarantanny, jako że przebywała za granicą. Aby uniknąć bezpośredniego kontaktu i ewentualnej możliwości zachorowania, wszyscy wspólnie zadecydowaliśmy, żeby zamieszkała w domku letniskowym nad jeziorem, czyli w naszej przytulnej oazie. Spędzaliśmy tam wakacje od wielu lat, miejsce to stało się dla mnie drugim domem i ucieczką od codzienności. Niezwykle się ucieszyłam na wieść, że my również, całą rodziną, zamieszkamy tam na bliżej nieokreślony okres trwania pandemii. Pomyślałam, że prawdopodobnie miesiące spędzone nad jeziorem pomogą mi odnaleźć spokój wewnętrzny w tej trudnej sytuacji.

Nie myliłam się.

Codzienne życie w okresie pandemii COVID-19 było wyzwaniem, jednak – jak się okazuje – otworzyło przed nami wiele nowych możliwości. Mogliśmy wzmacniać relacje rodzinne, spędzać czas w zupełnie nowy, nieznany do tej pory sposób. Jezioro N stało się moją małą strefą komfortu w tej burzliwej rzeczywistości.

Słoneczne dni były moją ucieczką od klaustrofobicznych zamkniętych przestrzeni i przytłaczających ograniczeń społecznych. Tu, nad brzegiem akwenu, w otoczeniu przyrody, odkrywałam prawdziwą siłę natury. Malownicze zakątki jeziora N od lat były moim ulubionym miejscem ucieczki od zgiełku codzienności. Zbliżając się do brzegu, odczuwałam ulgę. Zanurzając się w wodzie, czułam, jakby wszystkie moje problemy rozplywały się i szły na dno.

Każdego wieczoru wyruszałam na spacer, które stały się moją rutyną. Staralam się pozytywnie wykorzystać ten okres pełen obostrzeń. Gdy słońce powoli zachodziło za horyzontem, zaczynało odbijać się w spokojnej tafli jeziora, tworząc odbicia na jego powierzchni. To był widok, który zawsze zapierał dech w piersiach. Drzewa otaczające brzeg jeziora rozkwitały w pełnej okazałości. Widziałam soczyste zieloną roślinność i kwiaty rosnące bujnie na granicy plaży. Obserwowałam ptaki, które spędzały czas w koronach drzew, i dzikie zwierzęta wyglądające z głębi lasu w poszukiwaniu pożywienia. To je można było określić mianem lokalnej społeczności tej okolicy. Nie musiały przestrzegać żadnych obostrzeń, żyły skupione na sobie, a ich głównym celem było przetrwanie. Czasem im zazdrościłam.

To miejsce zdawało się być moim własnym życiem, a ja miałam okazję w spokoju obserwować ten spektakl przyrodniczy. Odizolowana od ludzi, czułam się, jakbym stawiała się jednością z naturą. Nad jeziorem N moje życie nabierało głębszego sensu. To tu odkrywałam w sobie spokój i harmonię, które pomagały mi znaleźć równowagę w tej niepewnej rzeczywistości.

To była również doskonała okazja do umacniania więzi z młodszymi siostrami. Stały się dla mnie prawdziwymi przyjaciółkami. Razem spędzałyśmy wieczory, oglądając seriale i grając w gry komputerowe. Był to kolejny

element mojej codziennej rutyny. Czułam, że mogę nadrobić zaległości, ponieważ do tej pory moje życie pochłaniała szkoła. Cieszę się, że w końcu mogłam stać się dla nich prawdziwym wsparciem i poznać je bliżej.

Sztuka stała się naszą wspólną pasją, którą zaraziłyśmy się nawzajem. Niemalże każdego dnia poświęcałyśmy czas na plenerowe sesje rysunkowe, podczas których eksplorowałyśmy zakamarki naszej wyobraźni. Nigdy nie zapomnę tych chwil, kiedy siadałyśmy razem na trawie, z blokiem rysunkowym i najróżniejszymi przyborami malarskimi, zapatrzone w przyrodę, a następnie czerpałyśmy inspirację z otaczającego nas piękna. Te wspólne aktywności stawały się uczcą dla naszej kreatywności. Próbowaliśmy różnych technik, odkrywaliśmy nowe style, a jednocześnie dzieliliśmy się swoimi pomysłami i wspierałyśmy się nawzajem w twórczym procesie. To był dla mnie przełomowy moment, poświęcony nie tylko na szlifowanie umiejętności artystycznych, lecz także na budowanie więzi opartej na wspólnych pasjach i wzajemnym szacunku dla naszej twórczości.

Jednak nie tylko sztuka nas zbliżyła. To był również czas, kiedy bawiłyśmy się jak małe dzieci. Wydaje się, że nie ma rzeczy, których byśmy nie wypróbowały. Szukałyśmy żab, zbierałyśmy owady, grałyśmy w siatkówkę, chodziłyśmy na wspólne kąpiele w jeziorze. Przekonałyśmy się, że to właśnie te chwile, w których jesteśmy razem, tworzą niezapomniane wspomnienia. Niezwykle cieszyło mnie, że w okresie pełnym trudności mogłam być ogromnym wsparciem dla młodszych siostr. Nie chciałam, aby wspominały ten rozdział życia negatywnie.

Nad jeziorem spędzałam również czas z moją cztery lata starszą siostrą – R. Całe dzieciństwo byłyśmy blisko, wiele mnie nauczyła, jednak po jej wyjeździe do Wielkiej Brytanii w wieku zaledwie osiemnastu lat nasz kontakt szybko się urwał, gdyż obie musiałyśmy skupić się na własnym życiu i obowiązkach. R. rzadko nas odwiedzała, więc dopiero teraz nadarzyła się okazja, abyśmy odnowiły kontakt i porozmawiały od serca. Mogę śmiało przyznać, że pandemia zupełnie odmieniła naszą relację, a między nami znów pojawiła się prawdziwa siostrzana więź. Często wybierałyśmy się na sesje zdjęciowe w plenerze, które później R. wykorzystwała w swoim projekcie fotograficznym

na studiach opowiadającym o jej życiu w trakcie pandemii. Kiedy nadszedł czas jej powrotu do Anglii, trudno było nam się pożegnać. Niestety już nigdy nie nadarzyła się okazja, żebyśmy przebywały ze sobą przez tak długi czas.

Gdy politycy ogłosili powrót do szkół, a zarazem koniec lockdownu, w moich oczach pojawiły się łzy. Było to słodkie-gorzko uczucie, którego nie zapomnę do końca życia. Wiedziałam, że oznacza to powrót do Zielonej Góry i pożegnanie z moją małą strefą komfortu.

Nie byłam już tą samą osobą. Odkryłam w sobie siłę, o której przez dwadzieścia lat życia w cieniu innych nie miałam pojęcia. Pomimo zwątpienia byłam gotowa, aby zmierzyć się z bolesną rzeczywistością.

Mimo że odkrycie samej siebie podczas pandemii było dla mnie przełomowe, towarzyszyło mu także silne poczucie winy. Dlaczego? Ponieważ w przeciwieństwie do wielu innych osób nie chciałam, żeby pandemia się kończyła. To była sprzeczność, która mnie gnębiła. Właśnie w tym czasie, kiedy ja czerpałam radość z odkrywania swoich pasji i wzmacniania swojego personalnego „ja”, setki tysięcy ludzi na całym świecie cierpiały i umierały z powodu zarażenia wirusem.

To poczucie winy było silne. Targał mną wewnętrzny konflikt, ponieważ to, co dla mnie było okresem odkrywania siebie, dla innych było czasem trudności. Nie chciałam, żeby pandemia się kończyła, bo pozwoliła mi na osobisty wzrost, ale jednocześnie pragnęłam końca tej globalnej tragedii. Ważne było dla mnie wsparcie tych, którzy cierpieli. To była dla mnie ważna lekcja, że życie może być pełne paradoksów i sprzeczności. Nauczyłam się, że nawet w trudnych czasach możemy znaleźć sposób, by rozwijać się jako indywidualne jednostki. Właśnie ta sprzeczność sprawiła, że był to okres, który na zawsze we mnie pozostanie.

To, co zdawało się rzucać cień na moje życie, zaczęło je rozjaśniać. Pandemia dała mi czas na refleksję, odkrywanie pasji i rozwijanie nowych umiejętności. Powoli znajdowałam sens i cel w codzienności, a mój stan psychiczny stopniowo się poprawiał. Odkryłam, że jestem silniejsza, niż myślałam, i że istnieje światelko na końcu tunelu.

Człowiek myśli, Pan Bóg kreśli

Nawet nie pamiętam, jak to się wszystko zaczęło. Najpierw były tylko wiadomości. Wuchan, a potem całe Chiny objęła dziwna choroba, podobna do grypy, ale z bardzo ciężkimi powikłaniami. Spróbuję odtworzyć wydarzenia tamtych dni.

Wszyscy mówią o COVID-19, czyli wirusie, którego budowa jest podobna do korony. Ojciec mówi, że wkrótce ten COVID będzie i u nas, w Ukrainie. Miał rację. 3 marca rząd kraju oficjalnie opublikował informację, z której dowiedzieliśmy się, że jest pierwszy chory na koronawirusa mężczyzna. Bliżej końca miesiąca już była pierwsza chora osoba w moim rodzinnym mieście, Charkowie.

Chodzimy jeszcze do szkoły, chociaż w niektórych obwodach już jest wprowadzona kwarantanna. Jestem w ósmej klasie. Pamiętam, jak czekaliśmy na ten lockdown, bo nikt nie chciał chodzić do szkoły, tylko spacerować z kolegami.

Nareszcie jest powiadomienie od wychowawczynie na grupie naszej klasy, że w następnym tygodniu będziemy uczyć się zdalnie. W rzeczywistości nie było tak dobrze, jak tego chcieliśmy. Większości z nas rodzice zabraniali iść na spacer, więc marzenia moje i kolegów zostały zdmuchnięte niby wiatrem. W sklepie bez maseczki nic nie sprzedadzą, transport jest nieuruchomiony, ludzie nie mogą dojechać do pracy. Wygląda na to, że ta kwarantanna nie ma prawie żadnych zalet. Tak, nie chodzimy do szkoły, tego właśnie chcieliśmy. Jednak jaki jest w tym sens, jeżeli nie można wychodzić na spacer? Lepiej

pójść do szkoły, być na lekcjach, spędzać czas z kolegami z klasy, niż siedzieć w samotności w domu.

Kiedy minął pierwszy tydzień lockdownu i zdalnego uczenia się, zrozumiałem, że chcę do szkoły, chcę, żeby było tak, jak wcześniej. Niestety chorych z każdą dobą było coraz więcej i o powrocie do szkoły oraz w ogóle do normalnego życia nawet nie było mowy.

Nie tylko ja zacząłem marzyć o powrocie do wcześniejszych, pięknych czasów. Co dziwne, ci, którzy najbardziej nie mogli się doczekać kwarantanny, pragnęli powrotu do szkoły najbardziej ze wszystkich. Często pisaliśmy do siebie online, głównym tematem naszych rozmów były oczywiście wspomnienia naszych spacerów. Przypominaliśmy sobie absolutnie wszystko: nasze lasy, wieczory, rzekę, most, biegnące nad nim rury ciepłownicze oraz nas, siedzących na tych rurach, z lemoniadą i frytkami, a trochę dalej – piękny widok – licealistów z piwem i papierosami.

(Uwaga! Dalej w tekście występuje refleksja z odrobiną nostalgii). Przypomniałem sobie stół na podwórku kolegi, przy którym tyle godzin graliśmy w karty, ulice, którymi szwendałem się bez celu, sklep, do którego chodziliśmy po szkole, samą szkołę ze starą drewnianą, skrzypiącą podłogą, połamanymi krzesłami, porysowanymi ławkami. Nagle z pamięci wypłynęły duże statki, napełnione wspomnieniami, emocjami i bezgraniczną zabawą, która towarzyszyła nam przed pandemią. W tej sytuacji jedyne, co możemy zrobić, to pamiętać o tym, co się wydarzyło, i marzyć o tym, co się stanie.

Kiedy wreszcie skończy się ten lockdown! Jak wtedy będziemy się bawić! Nikt na całym świecie nie będzie się bawił tak, jak ja z moimi ziomkami. Właśnie o to cały czas się kłóciliśmy. Pół godziny, godzinę, dwie – i nic z tego nie było, dyskusja przeciągała się na następny dzień. Jej temat był bardzo prosty: co będzie pierwszą rzeczą, którą należy zrobić, gdy wszystko wróci do normy? Każdy z nas miał inny pogląd na tę kwestię. Ktoś zaproponował, żeby pójść prosto nad rzekę i popływać, ktoś chciał posiedzieć na moście, jak za starych, dobrych czasów, ktoś zaproponował wyjście do jakiejś kawiarni lub do centrum miasta, ktoś pomyślał, że wystarczy pospacerować po okolicy, nic nie robiąc.

Jednak dzień mijał, zaczynał się następny i nic się nie zmieniało. Dni zaczynały się zamieniać w tygodnie, a tygodnie w miesiące. Tylko nikt o tym jeszcze nie wiedział. Wstawałem z łóżka z nadzieją, że dzisiaj będzie lepiej niż wczoraj. Wszystko się powtarzało: budziłem się rano, jadłem śniadanie, potem były lekcje online, po lekcjach miałem czas na odpoczynek, później odrabiałem zadania domowe, wieczorem trzy albo cztery razy w tygodniu odbywały się treningi z karate, też tylko i wyłącznie online. Nauka nie była trudna, był luz, bo nie jest problemem ściągać z internetu, a jeżeli nic tam nie mogłem znaleźć, na szczęście zawsze byłem w kontakcie z kolegami, którzy dobrze kumali fizykę albo matematykę. Oczywiście w takiej sytuacji nie uczyłem się niczego nowego. Można powiedzieć, że w tym okresie, kiedy uczyłem się zdalnie, nie opanowałem programu końca ósmej klasy i całej dziewiątej, bo wszystko ściągałem albo od kolegów, albo z netu. Byłem naprawdę mistrzem w tej kwestii, nigdy mnie na tym nie złapano. Zawsze byłem na lekcjach, ale nigdy nie słuchałem, co mówią nauczyciele. Nie słuchałem ważnych i potrzebnych informacji.

Kwarantanna jednak była cały czas przedłużana. Najpierw do połowy kwietnia, potem do początku maja, później do końca maja. Liczba zachorowań rosła dalej, każdego nowego dnia mieliśmy nowy antyrekord. Było już kilka tysięcy chorych i końca pandemii jeszcze nie było widać.

Na samym początku rodzice nie wypuszczali mnie na dwór, ale wszystkim wiadomo, że jeżeli siedzi się w domu bez możliwości wyjścia i bez świeżego powietrza, to nic dobrego z tego nie wyniknie. Dlatego może po dziesięciu dniach albo dwóch tygodniach siedzenia w domu, dokładnie nie pamiętam, zaczęliśmy z tatą wychodzić na spacer do lasu albo na pola, dobrze, że były koło nas. Nie były to jakieś długie spacer, ale byłem niesamowicie szczęśliwy, bo zawsze lubiłem spędzać dużo czasu w otoczeniu przyrody.

Przez kilka miesięcy wychodziliśmy tak we dwóch. Wtedy dowiedziałem się o różnych ciekawych miejscach w mojej okolicy, chodziliśmy w takie rejony, w których stronę nawet nigdy nie patrzyłem, nie mówiąc o tym, że nigdy tam nie byłem. Z ojcem rozmawialiśmy o bardzo różnych sprawach związanych z funkcjonowaniem świata. Nigdy nie myślałem, że jest taki in-

teligentny i zna tyle rzeczy, nawet takich, które nie są związane bezpośrednio z jego wykształceniem i zawodem. Może nie uczyłem się w szkole normalnie, ale te spacery naprawdę dużo mi dały. Otrzymywałem wiedzę, która realnie mogłaby mi się w życiu przydać. W szkole uczą nas ogólnie wszystkiego, ze wszystkich tematów i wszystkich przedmiotów. Większość tych informacji i umiejętności nie przyda nam się w życiu, więcej, 90 procent jest absolutnie niepotrzebnych. Mój ojciec opowiadał mi o tym, co jest ważne. O zachowaniu, wychowywaniu, edukacji, biznesie, zdrowiu, sporcie. Zapamiętałem większość i korzystam z tego również dziś. To był dla mnie dobry czas.

Co prawda ojciec nie mógł zastąpić mi moich kolegów. Oczywiście moi ziomkowie nie nauczą mnie tego, co zdobyłem w rozmowie z tatą, ale mimo to nie przestałem czekać na nasze kumplowskie spotkania po pandemii.

Trwało to aż do lata. W tym okresie koronawirus już tak nie szalał. Ludzie chorowali, ale nie masowo. Zaczęły się wakacje, więc zaczęliśmy z przyjaciółmi raz po raz się spotykać. Nie powiem dokładnie, co zrobiliśmy najpierw, ale spacerowaliśmy dużo, długo i bawiliśmy się całą duszą. Bardzo na to czekaliśmy i w końcu to się stało. Oczywiście było mnóstwo ograniczeń, maseczek i tak dalej, ale udało nam się popływać w rzece, aż usta nam zsiniały, wyjść do miasta na spacer i po prostu przejść się po okolicach, bez żadnego interesu i celu. Czuliśmy, że wraca życie, normalne życie. Docenialiśmy zwyczajność życia.

Nadeszła jesień i coraz więcej osób chorowało. Wróciliśmy do zdalnej nauki. Ministerstwo edukacji przygotowało dla nas program nauczania i multimedialne pomoce do nauki przedmiotów.

Nadszedł czas, by pomyśleć o innych rzeczach. Miałem swoje plany na przyszłość. Myślałem o tym, że trzeba skończyć szkołę, zdać egzaminy i pójść na studia. Na Ukrainie mamy dwa egzaminy. Jeden nazywa się DPA, drugi ZNO. DPA pisze się dwukrotnie, po klasie czwartej i dziewiątej. Pierwszy egzamin zawiera zagadnienia z klas jeden-cztery, drugi z klas pięć-dziewięć. Natomiast ZNO jest pisany na zakończenie szkoły, jak matura, a egzamin ten zawiera wiedzę od klasy piątej do jedenastej.

Rozpocząłem naukę w dziewiątej klasie i dopiero po jej skończeniu czekał mnie DPA. Była jednak nadzieja, że egzaminu tego nie będziemy pisać, bo w zeszłym roku nikt do nie przystępował ze względu na koronawirusa. W tamtym momencie nic nie było wiadomo. Trwaliśmy w monotonii dnia codziennego, z męczącą niepewnością.

Jednak przygotowywałem się do egzaminu – mama pomagała mi w nauce języka i zagadnieniach z literatury, a ojciec w matematyce. Mimo wszystko miałem nadzieję, że z tym DPA będziemy mieli szczęście i egzamin się nie odbędzie, bo choroba rozszalała się na dobre, znowu zaczęła się izolacja. Zbliżał się termin egzaminu, nastała wiosna. Przyszedł marzec. Wszyscy byli zdenerwowani, nie było żadnej informacji na temat egzaminu. Nie było jasne, czy trzeba się jeszcze bardziej przygotować, bo będzie test, czy zostanie on odwołany i będzie można odpocząć, odetchnąć z ulgą i cieszyć się życiem. Wszystkie nasze niepewności zostały rozwiązane 17 marca, kiedy powiedziano nam, że egzaminu nie będzie.

Wybuchaliśmy radością. Potem był koniec dziewiątej klasy. Niektórzy poszli do technikum, inni zostali w liceum. Świątowaliśmy w domu przyjaciela ukończenie szkoły podstawowej. Najbardziej niesamowite było to, że po imprezie wszyscy byliśmy żywi i zdrowi, a dom nadawał się do zamieszkania.

Potem nastąpiło lato. Najlepsze lato w moim życiu. Dołączyłem do wesołej kompanii, w której byli wspaniali ludzie. To, co przeżyłem razem z nimi, zapamiętam na całe życie. Szkoda, że wakacje nie są wieczne, one też się kończą. Lato dobiegło końca. Poszedłem do klasy dziesiątej A o profilu historycznym. I wtedy zaczęła się apokalipsa.

Przecież moje plany były takie, że pójdę na uniwersytet. Żeby się tam dostać, trzeba dobrze zdać egzamin. Żeby dobrze zdać egzamin, trzeba się uczyć i wkładać w to dużo wysiłku. Jednak tak naprawdę nie chciało mi się uczyć się i pracować w pocie czoła. Przecież żeby się uczyć, trzeba słuchać nauczycieli, odrabiać zadania, być uważnym, interesować się tematem i... i w ogóle uczyć się. Rodzice chcieli, żebym wyjechał na studia do Polski. To naprawdę miało sens, bo w Polsce jest o wiele więcej szans na dobre ułożenie sobie życia.

Miałem bardzo sprytny i przemyślany plan, który polegał na tym, że będę się uczyć przez te dwa lata i zacząć przygotowywać się do ZNO. Z realizacją miałem jednak pewne problemy, ponieważ w dziesiątej klasie trzeba się dużo uczyć. Nie mieliśmy żadnego luzu, trzeba było dużo pracować. Systematycznej nauki nauczyła nas nasza nauczycielka historii Irina Nikołajewna. Dzięki niej naprawdę dowiedziałem się, czym jest uczenie się.

Tamte czasy były podobne do filmu „Dzień świstaka”, bo każdy kolejny dzień powtarzał się tak, jak poprzedni. Wstawiałem, karmiłem moje „świstaki”, czyli świnki morskie. One też często gwizdały, kiedy chciały jeść lub zwrócić na siebie uwagę. Karmiłem je, potem karmiłem się sam, zbierałem się do szkoły, 7-8 godzin siedziałem tam, wracałem, jadłem, wypuszczałem świnki na spacer, odrabiałem zadania domowe, potem szedłem na trening, na korepetycje albo na spacer, jeżeli miałem na to czas. Naprawdę było tak, jak w „Dniu świstaka”. Rozumiem, że trening czyni mistrza, ale nie tak to sobie wyobrażałem.

Żeby zająć głowę innymi myślami, zaplanowałem, że będę zdawać egzamin na czarny pas w karate, który powinien mieć miejsce wiosną 2022 roku. W tym czasie miały się odbyć mistrzostwa Europy. Chciałem pojechać i spróbować swoich sił na arenie międzynarodowej. Stosunkowo długo chodziłem na treningi sztuki walki, ale nigdy nie uczestniczyłem w wielkich międzynarodowych zawodach. Chciałem również zwiedzić Azję Środkową, zawsze przyciągała mnie jej kultura. Myślałem, że latem uda mi się tam pojechać, ale jak pokazał czas, moje plany zmieniły się tak mocno, że nawet się nie spodziewałem. Zauważyłem pewną ciekawą rzecz – życie nigdy nie toczy się według naszego planu i nigdy nie wiadomo, co jest dla nas lepsze. Zawsze coś będzie nie tak, coś się zmieni, źle pójdzie. Dlatego zawsze mam inny plan – Totalną Improwizację, z której korzystam. Wszystkiego w życiu przewidzieć nie można, dlatego trzeba mieć plan B, C, D, a jednocześnie siłę ducha, żeby zrezygnować nawet z opcji rezerwowej. Ile by się człowiek starał, nie wymyśli doskonałej strategii działania. Podstawowy plan będzie działał tylko do pewnego czasu. Wcześniej lub później trzeba będzie improwizować, inaczej się nie da. W moim życiu nigdy nie było momentu, żeby

mój podstawowy plan był idealny i nie trzeba było nic zmieniać. Nie znam również takiej osoby. Nawet mój ojciec w pewnych momentach zaczyna improwizować i robi to, czego od niego wymaga ta czy inna sytuacja. Ale wróćmy do opowieści.

Rozpoczęło się to, czego nikt się nie spodziewał. Rozpoczęła się wojna. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego dotknie mnie i mój kraj. Właściwie zawsze tak jest. Dopóki problem nie dotyczy ciebie bezpośrednio, jest tak, jakby w ogóle nie istniał. Ale kiedy dotyka, to dotyka. Na świecie zawsze były wojny, niektóre bardzo aktywne, inne mniej intensywne, ale zawsze istniały konflikty zbrojne. Tak, gdzieś ktoś z kimś walczy, ale to jest daleko i nie ma ze mną nic wspólnego. I nagle ten konflikt, niespodziewany, zaczyna mnie niepokoić. Oczywiście wtedy wszyscy zapomnieli o koronawirusie i już sobie o nim nie przypominali. Choć wiele osób było chorych, kwarantanna nadal istniała, nikt się tym nie przejmował, bo wojna zepchnęła wszystko na dalszy plan. Jeśli można tak powiedzieć, to moje plany również zeszły na dalszy plan. W ogóle nie wiadomo było, czy będzie możliwa ich realizacja. Nie było nawet pewne, czy przeżyjemy to wszystko, czy nie. Nie możesz uciec przed rakietą, bez względu na to, jak bardzo się starasz. Pamiętam, że siedziałem w domu oparty o szafę i gdzieś przeleciał samolot myśliwski. Jest bardzo głośny, nigdy nie myślałem, że wydaje aż tak straszny dźwięk, miałem wrażenie, że przeleciał nad domem, choć był kilka kilometrów od nas. Myśliwiec wystrzelił rakietę – wybuch. Szafa i podłoga się trzęsły, co było podobne do trzęsienia ziemi, może trzech-czterech stopni w skali Richtera. Bardzo dobrze pamiętam ten dźwięk i drżenie przedmiotów. Nic tu nie zależy ode mnie i nie mogę niczego zmienić. Plan jest tylko jeden i marzenie jest tylko jedno – przetrwać, nie ma innej opcji. Po dziesięciu dniach udało mi się dotrzeć do Polski, choć bardzo nie chciałem zostawiać rodziny i domu, ale tata stwierdził, że trzeba. Trzeba, znaczy trzeba. Ufam mu.

Tutaj, w Polsce, skończyłem zdalnie ukraińską szkołę, napisałem egzamin w Bydgoszczy, dostałem się na studia, gdzie właśnie piszę ten tekst. O koronawirusie nawet nie wspominam, poszedł w zapomnienie wraz z innymi „drobiazgami” w porównaniu z wojną. Tak niespodziewanie wszystko się

zmieniło. Nie wiem, czy w dobrą stronę, czy w złą, po prostu się zmieniło. W życiu zawsze tak jest. Wszystkie moje plany i marzenia zmieniły się błyskawicznie. Teraz mam inne. Nikt nie wie, co będzie jutro, w następnym tygodniu, za miesiąc, za rok. Trzeba być zawsze gotowym na różne momenty w życiu i odpowiednio reagować. Jak mówią u nas: „Хочешь жить – умей вертеться” („Chcesz żyć – umiej się kręcić”). Wszystko się kiedyś skończy: i wojna, i studia, i to zdanie, i ja. Doceniajcie więc to, co macie teraz, bo jutro już może tego nie być. Mniej narzekajmy, róbmy więcej dobrego.

Drogi pamiętniku

Nigdy nie czułam takiej euforii, jak w momencie, gdy dowiedziałam się o zamknięciu szkół z powodu pandemii. Miałam wtedy tylko 15 lat, byłam dopiero w pierwszej klasie liceum i jedyną rzeczą, o której myślałam, była przerwa od nauki. Szkoła średnia bardzo różniła się od tej, którą widziałam w każdym amerykańskim filmie. Cała klasa podzieliła się na grupki, które nie wchodziły ze sobą w żadne interakcje. Co prawda miałam kilka osób, które mogłam nazwać przyjaciółmi, ale jestem straszną ekstrawertyczką – chcę dogadywać się ze wszystkimi, złapać z nimi dobry kontakt lub od czasu do czasu posiedzieć razem na przerwie i porozmawiać. Nauczyciele nie byli zbyt mili, mieli swoich faworytów, co było widać na każdym kroku. Zadań domowych z dnia na dzień było coraz więcej i robiło się po prostu ciężko. Wiem, że może wydawać się to śmieszne, bo przecież pierwszy rok w liceum to dla większości łatwizna, ale w pewnych momentach cały natłok stresu, codziennego walczenia słowa „matura” co najmniej dziesięć razy i czytania lektur, z których nic nie rozumiałam, stawał się zbyt trudny do ogarnięcia. Dlatego też byłam odrobinę szczęśliwa, gdy pandemia rozpoczęła się akurat w moim mieście. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to strasznie egoistycznie, ale jako nastolatka, która najzwyczajniej w świecie potrzebowała chwili dla siebie, nie byłam w stanie wyobrazić sobie lepszego rozwiązania niż zamknięcie szkół i odrobina spokoju.

Pierwszy tydzień lekcji zdalnych był czymś nowym dla nas wszystkich – nauczycieli i uczniów. Większość mojej klasy robiła sobie żarty, udawała, że nie słyszy, że ekran się zacina – ja zresztą też. Na początku było naprawdę w porządku. Radziliśmy sobie, a lekcje były dosyć luźne. Z czasem jednak nauczyciele chyba zapomnieli, że jako nastolatkomie chcielibyśmy mieć chwilę

czasu wolnego, odpoczynku. Każdy z przedmiotów nagle stał się najważniejszy i z dnia na dzień był coraz większy natłok obowiązków, zadań domowych oraz sprawdzianów. Ciężko było pogodzić ze sobą naukę każdego z czternastu przedmiotów, życie towarzyskie, które przez lockdown wisiało na włosku, i dbanie o własne zdrowie psychiczne. Nieraz zdarzało się, że nauczycielka dzwoniła wieczorem do ucznia, ponieważ robiła sprawdzian, na którym go nie było. Powodem była wizyta u lekarza, o której uczeń nie uprzedził nauczycielki i z tego powodu traktowała go lekceważąco aż do matury. Wątpię, żeby taka sytuacja miała miejsce podczas nauczania stacjonarnego. Od tamtego momentu czuliśmy potrzebę tłumaczenia się z najmniej istotnych rzeczy, o które w innej sytuacji nauczyciele wcale by nie pytali, bo zwyczajnie by ich to nie interesowało.

Po pewnym czasie straciłam motywację do nauki. Większość nauczycieli nie podawała żadnych notatek, pokazywali prezentacje, których później nie wysyłali mimo wielu obietnic. Wymagali potem stanowczo za dużo na sprawdzianach – cała klasa powinna dostawać oceny celujące, „bo to przecież zdalne”. Ich stosunek do nas, uczniów, diametralnie się zmienił tylko i wyłącznie przez to, że nie widzieliśmy się twarzą w twarz. Przez takie nastawienie absolutnie odechciało mi się wszystkiego. Nie byłam w stanie usiąść do książek sama, nie mogłam się skupić na słowach wypowiedzianych w trakcie lekcji, przez co nic z nich nie wynosiłam. Zresztą nie byłam jedyną osobą, która się z tym spotkała. Osoby, z którymi się wtedy przyjaźniłam, miały ten sam problem. Muszę przyznać, że nigdy nie byliśmy molami książkowymi, nasze oceny były przeciętne, ale jednak nigdy nie czuliśmy takiego wypalenia.

Jedną z dobrych rzeczy, które zauważyłam dzięki pandemii, jest to, jak bardzo zbliżyła mnie ona do rodziny. Złapałam się na tym, że bardzo często zapominałam, jak ważne są relacje z moimi bliskimi. Gdyby nie pandemia, prawdopodobnie nigdy nie zdałabym sobie z tego sprawy. Jednak w momencie gdy byliśmy skazani na wspólne zamknięcie w czterech ścianach, mogliśmy polegać tylko na sobie nawzajem. Moja mama, która wcześniej pracowała wręcz cały czas, teraz miała więcej czasu dla mnie. Poprawiła się nasza komunikacja, częściej rozmawialiśmy o sprawach ważnych, o tym,

co mnie gryzło, ale też o rzeczach zupełnie błahych. Wspólnie gotowałyśmy, spacerowałyśmy, oglądałyśmy razem seriale i filmy. Te wszystkie głupie czynności bardzo poprawiły naszą więź. Może się zdawać, że mogłyśmy to robić, jeszcze zanim nastąpił wybuch pandemii, lecz wtedy naprawdę nikt nie zdawał sobie sprawy, jak ważny jest kontakt z rodzicami. Do dziś pamiętam pierwsze święta Bożego Narodzenia, gdy wirus lekko się uspokoił. Cała rodzina mogła się spotkać i spędzić wspólnie czas, położyć prezenty pod choinką, śpiewać kolędy i cieszyć się, że wszyscy jesteście cali i zdrowi. Szczerze mówiąc, nigdy tego nie zapomnę.

Mimo poprawy kontaktu z moją rodziną pandemia sprawiła, że moje wszystkie relacje przyjacielskie legły w gruzach. Wszyscy byliśmy zmęczeni przez szkołę. Praktycznie cały czas spędzaliśmy sami ze sobą we własnych pokojach, nie wychodząc z domów. Ciągłe rozmowy przez kameryki stawały się nudne. To nie było to samo co zwykłe spotkania w klasie, na mieście czy u siebie w domach na nocowaniach, które były cotygodniową tradycją przed lockdownem. Z dnia na dzień przestaliśmy się do siebie odzywać. Nie wiedziałam, co będzie, gdy wrócimy do szkoły i bardzo się tego obawiałam. Jednak zupełnie przypadkowo poznałam dwie osoby, które do dziś są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Nauczycielka języka francuskiego przydzieliła grupy do projektu i natrafiłam akurat na tę jedną dziewczynę, którą zawsze bardzo chciałam poznać. Spędzałyśmy razem bardzo dużo czasu, rozmawiałyśmy, grałyśmy w gry, oglądałyśmy coś. Po okresie izolacji wreszcie mogłyśmy spotkać się osobiście i zbudować jeszcze trwalszą przyjaźń. Przedstawiła mnie później swojemu przyjacielowi i bardzo szybko zaczęliśmy wychodzić w trójkę. Nigdy z nikim nie bawiłam się tak dobrze, jak z nimi. Pandemia nauczyła mnie, że życie zaskakuje i czasem to, co wydaje się stratą, może okazać się szansą na coś nowego, lepszego. Strata tamtych ludzi po czasie okazała się bardzo potrzebna, dopiero wiele miesięcy po całej sytuacji doszło do mnie, że byli bardzo toksyczni i trzymali mnie w jednym miejscu, bez możliwości rozwoju. Nie widziałam tego wcześniej, bo byłam w nich bardzo zapatrzona i nie dopuszczałam do siebie myśli, że oni kiedykolwiek mogliby źle mi życzyć. Dobrze się stało, że wirus nas podzielił. Ludzie, których

mam teraz przy sobie, są o wiele bardziej wyrozumiali i wspierający, za co jestem im do zgonnie wdzięczna. Wiem, że wszyscy nawzajem jesteśmy dla siebie ogromnym wsparciem i bez nich na pewno nie poradziłabym sobie w ciężkich sytuacjach.

W miarę mijających tygodni w zamknięciu zaczęłam odczuwać jeszcze większy stres i poczucie osamotnienia, mimo poznania nowych, wspaniałych ludzi. Czulałam się, jakbym dosłownie zniknęła, jakby nikt nie zauważał mojej obecności. Mimo nauczania zdalnego moje oceny spadały, a z każdym kolejnym testem czulałam się coraz bardziej niekompetentna. To, co kiedyś było zwykłym wyzwaniem, stało się teraz zupełnie niewykonalne. Odnosiłam wrażenie, że zawodzę samą siebie i innych. Były dni, kiedy nie wychodziłam z łóżka. Nie miałam siły nawet wstać i powiedzieć do telefonu zwykłego „jestem”, żeby odhaczyć sobie obecność na jakiejś lekcji. Byłam zatopiona w czarnej dziurze bez żadnej nadziei na wydostanie się. Oczywiście moi rodzice i przyjaciele byli okropnie zaniepokojeni, ale nie wiedzieli, jak mi pomóc. Z dnia na dzień przestałam być sobą, przestałam marzyć i wierzyć w siebie. Razem z moją mamą podjęłyśmy decyzję o terapii, która bardzo wyciągnęła mnie z dołka. To była trudna decyzja, ale okazała się kluczowa w moim życiu. Terapeutka pomogła mi zrozumieć, że jestem warta tyle, co każdy inny człowiek, i że wcale nie muszę być doskonała, by być kochana. Pracowałyśmy bardzo długo nad moją samooceną i strategiami radzenia sobie ze stresem. Była to ciężka, ale uzdrawiająca podróż. Z każdą wizytą odkrywałam siebie na nowo. Znalazłam w sobie marzenia z dzieciństwa, które dopiero po dziesięciu latach mogłam w końcu zrealizować. Poznałam siebie od zupełnie innej strony – byłam teraz najlepszą wersją siebie. Zrozumiałam też po wielu rozmowach z rówieśnikami, że nie jestem sama w swoich przeżyciach i że wielu z nich boryka się z podobnymi problemami. Po prostu nie chcą lub wstydzą się o tym mówić, mimo że naprawdę powinni. O wiele lepiej jest się przełamać i otworzyć, niż trzymać w sobie rzeczy, które prędzej czy później mogą nas przerosnąć.

Z czasem całe moje życie zaczęło się układać. Skupiłam się na nauce, bo bardzo obawiałam się matury. Znalazłam kierunek studiów, który bardzo

mi odpowiadał, i uczyłam się, ile tylko mogłam, żeby się na niego dostać. Zmniejszono rygor, jeśli chodzi o spotkania dużej liczby osób w miejscach publicznych, pootwierano restauracje, więc moje życie towarzyskie znów odżyło. Czułam się o wiele lepiej po terapii, częściej się uśmiechałam. Przerabowałam też włosy, żeby odciąć się od czasów pandemii, żeby w pewien sposób zamknąć tamten rozdział za sobą i już nigdy do niego nie wracać. Pandemia przyniosła wiele trudności, ale także wiele nauki i samorozwoju. Pozwoliła mi docenić rodzinę, znaleźć prawdziwych przyjaciół, pokochać siebie i odnaleźć sens w nauce. To były trudne czasy, ale też okres, który nauczył mnie, że nawet w najcięższych chwilach możemy odnaleźć światło i nadzieję, jeśli tylko dobrze poszukamy. Znalazłam szczęście w rzeczach, których wcześniej nie lubiałam, czyli w malowaniu, tańczeniu i śpiewie. Miałam przy sobie nowych, lepszych ludzi, z którymi mogłam robić, co tylko chciałam, bo wiedziałam, że nieważne, jak głupi pomysł bym zaproponowała, oni zrobiliby to ze mną. Czas, który wszyscy spędziliśmy w odosobnieniu, bardzo mi pomógł. Na pewno nie byłabym tą osobą, którą jestem teraz, gdyby nie izolacja.

Marzenia

Rozdział chciałbym zadedykować swojej ukochanej rodzinie, rodzicom, dziadkom, przyjaciółom, ale również dyrekcji, gronu pedagogicznemu Salezjańskiego Liceum im. św. Jana Bosko w Lubinie oraz wszystkim osobom, które wniosły wiele dobrego do mojego życia. Gdyby nie Wy, okazane wsparcie oraz wskazywanie odpowiedniej drogi, na pewno nie byłbym w miejscu, w którym jestem teraz. Z całego serca Wam dziękuję!

Grudzień, ostatni miesiąc 2019 roku. Nie ukrywam, jest to mój ulubiony miesiąc. Z jednej strony jest to czas, w którym nie panuje zbyt sprzyjająca aura pogodowa, z drugiej jednak jest wiele niesamowitych uroczystości, takich jak święta Bożego Narodzenia czy sylwester.

Trwały przygotowania do świąt. Wszyscy byli bardzo pogodni i radośni. Chyba każdy z nas lubi ten czas. Dosłownie na każdym kroku czuć było atmosferę zimy oraz zbliżających się wielkimi krokami świąt. Jedynie media coś tam zaczęły mówić o jakimś tajemniczym i ponoć niebezpiecznym wirusie w chińskiej miejscowości Wuhan. Myślę sobie: „Nikt i nic mi nie zepsuje tego, na co czekałem cały rok. Poza tym co mnie obchodzi jakaś lokalna zaraza, która ma miejsce na drugim końcu świata?”

24 grudnia – Wigilia Bożego Narodzenia. Mój ulubiony dzień w całym roku. Dzień, na który czekałem całe dwanaście miesięcy. Na dworze leżał biały, puszysty śnieg, balkony oraz domy przyozdobione były choinkami oraz różnego typu świecącymi ozdobami. Przecudowny widok. O godzinie 16 wraz z rodzicami udaliśmy się do dziadków na wieczerzę wigilijną. Razem z rodziną spożywaliśmy tradycyjne potrawy oraz dzieliliśmy się opłatkiem, składając sobie najrozmaitsze życzenia. Jeszcze wtedy nikt z nas nawet przez ułamek sekundy nie zdawał sobie sprawy z tego, co czeka nas w najbliższym

czasie. Najbliższe miesiące, a w zasadzie ich wydarzenia zmieniają nas raz na zawsze.

Nowy rok zaczął się całkowicie normalnie, jednak jakże przyjemnie. Styczeniowe ferie zimowe spędziłem, głównie odpoczywając w rodzinnej miejscowości, nie licząc chociażby jednodniowej rodzinnej wycieczki w góry do Karpacza. Wyjazd ten był naprawdę wspaniały. Podziwialiśmy pięknie ośnieżone góry. Do tego pogoda była naprawdę przyzwoita, a na ulicach obserwowaliśmy znaczną liczbę turystów korzystających z rozmaitych atrakcji.

Luty 2020 roku był pewnym przełomem, a dokładnie zwiastunem nadchodzącego zła. Wirus, który początkowo był tylko w Chinach, zaczął się prężnie rozprzestrzeniać nie tylko po Azji, lecz także po naszym kontynencie, czyli Europie. Od samego początku starałem się śledzić wszelkie informacje związane z koronawirusem. Zaraza ta stała się czołowym tematem nie tylko w naszych krajowych, ale również światowych mediach. Koronawirus rozprzestrzeniał się w błyskawicznym tempie. Już 11 marca 2020 roku na świecie potwierdzono ponad 124 000 przypadków zakażenia koronawirusem SARS-CoV-2 oraz ponad 4500 zgonów. Niemniej jednak najważniejsze wydarzyło się dzień później. 12 marca w pewnym sensie był dla mnie dniem przełomowym. Z samego rana wydawało się, że jest to zwykły roboczy dzień. Nic bardziej mylnego. Byliśmy w szkole, na zajęciach języka polskiego. Minęło 45 minut, po czym wraz z kolegami i koleżankami z klasy udaliśmy się na dziesięciominutową przerwę przed lekcją języka angielskiego. W pewnej chwili na korytarzu wybuchł straszliwy wrzask. Nikt z nas nie wiedział, o co chodzi. Nagle podszedł do nas znajomy z innej klasy i powiedział, że rząd ogłosił zamknięcie wszystkich szkół. Początkowo mu nie uwierziliśmy, byliśmy zdezorientowani i myśleliśmy, że to jakaś fałszywa informacja. Każdy z nas w jednym momencie złapał za telefon i włączył internet. Naszym oczom ukazał się film z konferencji premiera, który ogłaszał, że zajęcia we wszystkich placówkach dydaktycznych zostają tymczasowo zawieszone. Większość wpadła w ogromną euforię. Sam podzielałem ich entuzjazm, jednak jednocześnie czułem pewien niepokój, bałem się dalszego rozwoju sytuacji. Okazało się to uzasadnione. Samo zamknięcie placówek oświatowych nie rozwiązało

problemu. Już dzień później zostały wprowadzone pierwsze ograniczenia działalności gospodarczej, a pod koniec marca wprowadzono stan epidemii na terytorium całej Rzeczypospolitej Polskiej. Do tego doszły kolejne ograniczenia. Wszystko to brzmiało naprawdę przerażająco.

Z początkiem kwietnia sytuacja w dalszym ciągu się nie polepszała. Wręcz przeciwnie. Było jeszcze gorzej. Do tego stopnia, że wprowadzono nakaz zasłaniania nosa i ust. Tym samym przedłużono obowiązujące ograniczenia. Nasza szkoła postanowiła, że zajęcia lekcyjne będą się odbywały zdalnie na platformie Microsoft Teams. Nie ukrywam, że nie byłem tą informacją zbytnio zachwycony. Oznaczało to ponowną konieczność codziennego wstawania na godzinę 8 rano. Sama forma takiej edukacji była nowością. Zarówno dla nas, uczniów i uczennic, jak i nauczycieli. Początkowo każdy miał pewne problemy techniczne. Raczej nie było osoby, u której wszystko zawsze działało bezproblemowo. Nieraz wiele osób miało kłopoty chociażby z niedziałającym mikrofonem, internetem, kamerką internetową czy łączem internetowym. Po pewnym czasie nauczyliśmy się tego i potrafilśmy sprawnie rozwiązywać wiele problemów.

Bardzo szybko odnalazłem się w nowej rzeczywistości. Mało tego, sprawiała mi ona przyjemność. Czułem się znacznie lepiej niż zwykle. Co prawda byłem zobowiązany do spędzania czasu całymi dniami w domu, jednak w żadnym stopniu mi to nie przeszkadzało. Kolejnym małym mankamentem był fakt, że nie mogłem spotykać się ze znajomymi, jednak cały czas utrzymywaliśmy kontakt przez internet, między innymi poprzez media społecznościowe oraz komunikatory, więc nawet nie odczułem ich braku. Samej nauki było mniej, dzięki czemu miałem więcej wolnego czasu, który mogłem poświęcić na odpoczynek, granie w gry komputerowe oraz rozwijanie swoich pasji. Nie wiem, czy tak powinienem mówić, ale to było naprawdę niesamowite. Czułem się wyśmienicie, choć z tyłu głowy ciągle miałem pewną świadomość o trwającej światowej tragedii.

Nadszedł czas Świąt Wielkanocnych. Jest to dla mnie, jak również dla wszystkich chrześcijan najważniejsze religijne święto, które tym razem ze względu na sytuację musieliśmy obchodzić dość nietypowo. Spędziłem je

sam wraz rodzicami. Nie mogliśmy się spotkać, jak co roku, z całą rodziną ze względu na panującą zarazę. Pomimo całej tej pandemicznej otoczki nie mogę powiedzieć, że święta te były złe lub nieciekawe. Nic z tych rzeczy. Spędziliśmy kilka dni wolnego na wspólnym wypoczynku, rozmowach oraz spożywaniu świątecznych potraw.

Pod koniec miesiąca przedłużono zamknięcie szkół o kolejny miesiąc. Nie ukrywam, ucieszyła mnie ta informacja. Z drugiej strony obserwując rozwój sytuacji, nie spodziewałem się jakiegokolwiek innej decyzji.

W maju oraz czerwcu sytuacja w pewnym stopniu zaczęła się poprawiać, jednak dla naszego bezpieczeństwa szkoły dalej pozostawały zamknięte. Mnie natomiast nauka szła coraz lepiej. Co prawda obowiązki szkolne nigdy nie stanowiły dla mnie większego problemu, jednak czułem większy komfort. Skutkowało to naprawdę niezłymi ocenami. Może o tym świadczyć fakt, że rok szkolny zakończyłem z drugą najwyższą średnią w klasie, co było dla mnie naprawdę sporym, jak na pierwszą klasę liceum, osiągnięciem.

Wakacje rozpoczęły się dość spokojnie, przynosząc również znaczną poprawę sytuacji epidemicznej. Wiele osób uspokajało, że wirus jest w odwrocie i nie ma już się czego obawiać. Znaczna liczba obostrzeń została zniesiona. Miałem wrażenie, jakby wirus odszedł w całkowite zapomnienie, jakby faktycznie go z nami nie było. Co prawda w dalszym ciągu obowiązywał nakaz noszenia maseczek, między innymi w sklepach, jednak w rzeczywistości mało kto go przestrzegał.

Pod koniec lipca pojechałem z rodzicami wypocząć nad Morze Bałtyckie, a dokładnie do małej miejscowości Niechorze w pobliżu Rewala. Spędziliśmy tam łącznie dwa tygodnie. Pogodę mieliśmy wyjątkowo dobrą jak na nasze nadmorskie warunki. Codziennie około 25 stopni oraz ani jednego dnia opadów deszczu. Naprawdę trudno o taką pogodę. Co do samego miejsca to nie byliśmy tam pierwszy raz. Jest to co prawda mała wioska, jednak bardzo oblegana przez turystów, w której jest wiele różnych atrakcji, sklepów, restauracji oraz, co dla mnie bardzo istotne, boisko do piłki nożnej, na którym spędzałem po kilka godzin każdego wieczoru, grając oraz trenując z nowo poznanymi osobami.

Niestety wakacje bardzo szybko minęły. Tym samym potwierdziło się słynne powiedzenie: „Wszystko, co dobre, szybko się kończy”. Wraz z końcem wolnego przyszedł wrzesień, a tym samym początek nowego roku szkolnego. Rozpoczął się on w warunkach stacjonarnych, jednak z zachowaniem wszystkich norm bezpieczeństwa, takich jak odstępy, maski, na każdym kroku dostępne płyny do dezynfekcji itp. W pewnym stopniu można byłoby to porównać do warunków panujących w szpitalu, gdzie surowo przestrzegano się wszystkich reguł. Żartobliwie można powiedzieć, że jedyne, czego nam jeszcze brakowało, to charakterystyczne białe kombinezony. Poza wszystkimi ustalonymi normami można było odnieść wrażenie, że wróciliśmy już do zwykłej, tradycyjnej nauki. Wielu nauczycieli miało nadzieję, że koronawirus to już przeszłość oraz że nie grozi nam tym samym kolejny lockdown. Nie chcieli powrotu do nauczania przez komputer. Rozumiałem ich, jednak ja oraz większość uczniów i uczennic nie podzielaliśmy ich zdania.

W październiku kontynuowaliśmy zajęcia w placówce szkolnej. Przez pewien moment bałem się, że zdalne nauczanie przeszło do historii, która już naprawdę nigdy nie powróci. Nic bardziej mylnego. Po dwóch tygodniach wszystkie licea zostały ponownie zamknięte oraz zmuszone do przejścia na tryb zdalny. Większość nauczycieli była tym faktem rozczarowana, natomiast my – uczniowie, w tym oczywiście ja, wręcz przeciwnie. Ponownie ogarnęła nas niesamowita radość.

Przejście na ten w dalszym ciągu nietypowy tryb ponownie przyniosło mi sporo pozytywów. Początkowo mieliśmy przejść tylko na dwa tygodnie, jednak nikt się nie spodziewał, że pozostaniemy na nim aż... do połowy maja! Jednak to, co najważniejsze, dopiero było przede mną...

Na początku listopada Kacper Pisarski napisał do mnie oraz Igora Pikulskiego z pewną... propozycją. Nasza pani nauczycielka Barbara Kamińska, zajmująca się nauczaniem historii i geografii, usłyszała w mediach, że grupa młodzieży z pewnej szkoły w Polsce „przeniosła” swój szkolny budynek do wirtualnego świata, a dokładnie do gry komputerowej, jaką jest „Minecraft”. Akcja ta odbiła się szerokim echem na skalę kraju. Pani Barbara, która darzyła nas zaufaniem, wpadła na pomysł, abyśmy spróbowali zrobić coś podobnego,

ale z naszym liceum. Nie ukrywam, że koncepcja ta bardzo mnie zaskoczyła. Z jednej strony pomysł bardzo mi się spodobał, sam uwielbiam tę grę i gram w nią od wielu lat. Z drugiej strony pomyślałem sobie, że jest to zbyt skomplikowane, czasochłonne i że nie damy rady tego wykonać. Niemniej jednak podjęliśmy wyzwanie i przystąpiliśmy do pracy. Początki nie były łatwe. Kilka razy musieliśmy pewne elementy burzyć i rekonstruować od nowa. Staraliśmy się wykonać wszystko z jak największą precyzją, co nie było takie proste. Musieliśmy również pogodzić szkolną naukę z projektem, co również nie ułatwiało nam sprawy. Co istotne, mogliśmy zajmować się tym w czasie zdalnych zajęć, co znacznie przyspieszyło czas wykonania. Przecież nikt z nauczycieli nie widział, co mamy dokładnie wyświetlonego na ekranie. Z tych względów mogę śmiało powiedzieć, że gdyby nie czas pandemii oraz zdalnego nauczania, projekt ten nigdy by nie powstał. Samo wybudowanie szkoły zajęło nam około trzech tygodni. Byliśmy w ogromnym szoku, jak sprawnie wspólnymi siłami udało się nam tego dokonać. Następnie przystąpiliśmy do odwzorowywania terenów wokół szkoły, takich jak boisko, kościół, bursa czy nawet pobliskie sklepy.

W pierwszym tygodniu grudnia ogłosiliśmy pani Barbarze, że udało się zrealizować postawiony nam cel. Pani początkowo była zaskoczona, że tak szybko się z tym uporaliśmy. Pokazaliśmy jej zdjęcia z gry, które jeszcze bardziej ją zadziwiły. W połowie grudnia zostaliśmy zaproszeni na zdalne spotkanie, na którym nasze dzieło podziwiałło grono pedagogiczne. Zebrałiśmy wiele pochwał. Parę dni później zostaliśmy zaproszeni przez księdza dyrektora oraz wspomnianą powyżej panią Kamińską na spotkanie do szkoły w celu omówienia projektu. Dyrektor również był zachwycony. Zgodził się także, aby ze szkolnych środków opłacić serwer, dzięki któremu każdy z graczy mógł zwiedzić nasz obiekt o każdej porze dnia i nocy.

Przez następny tydzień zajęliśmy się ostatnimi poprawkami oraz dostosowywaliśmy serwer do publikacji. Aż w końcu dokładnie 22 grudnia 2020 roku nastąpiło oficjalne otwarcie. Już na samym starcie pojawiło się sporo graczy oraz słyszeliśmy kolejne komplementy. Naturalnie nie wszystko było idealnie. Na serwerze pojawiały się drobne błędy, które staraliśmy się

sukcesywnie naprawiać. Kilka dni później informacje o naszym dokonaniu zaczęły pojawiać się w internecie. To wszystko dawało nam sporo satysfakcji, ale również dodawało dalszej motywacji.

Końcówka grudnia tradycyjnie jest okresem świątecznym. Niestety, podobnie jak to miało miejsce w kwietniu, spędziliśmy ten czas bez spotkań w rodzinnym gronie w celu uniknięcia kontaktów i minimalizowania ryzyka zarażenia. Podobnie wyglądała również kwestia sylwestra. Były to niestety kolejne „wyjątkowe” święta, jednak na pewno niezapomniane. Zarówno ze względu na nietypowość, kwestię pandemiczną, jak i osiągnięty parę dni wcześniej pierwszy sukces.

Nowy rok 2021 rozpoczęliśmy od ferii zimowych. Czas ten spędziłem, odpoczywając w rodzinnym Lubinie, grając w gry komputerowe, spotykając się z młodszym kuzynem, przyjaciółmi z klasy, ale również, co może nieco zaskoczyć... ze znajomymi i nauczycielami w szkole. Na prośbę dyrekcji ja oraz kilku znajomych ze szkoły zostaliśmy poproszeni o przyjsię do placówki w celu nagrania krótkiego filmiku promującego nasze liceum. Było to dla mnie niezwykle ciekawe doświadczenie. Czułem się niemal jak aktor. Sama produkcja wyszła, mimo pewnych obaw, naprawdę niespodziewanie dobrze. Wywołała również wiele pozytywnych wrażeń wśród odbiorców.

Po feriach kontynuowaliśmy naukę zdalną. Moje oceny stawały się coraz lepsze. Przez ułamek sekundy nie pomyślałbym, że w szkole średniej będę zdobywał aż tak wysokie stopnie. Skłamałbym, gdybym powiedział, że przez ten czas nigdy nie ściągałem oraz nie przepisywałem zadań domowych. Przyznaję się, nieraz mi się to zdarzyło. Nie chcę pochopnie oceniać, jednak odnoszę wrażenie, że robiła to większość z nas. Samo spędzanie czasu w domu oraz zdalne nauczanie dawały mi wiele satysfakcji, jednak dalej zdawałem sobie sprawę, że wirus jest wśród nas, i obawiałem się o zdrowie własne oraz najbliższych. O dziwo, coraz więcej osób zaczęło łamać tzw. zasady covidowe, buntować się, a nawet podważać wiarygodność pandemii, nazywając ją prześmiewczo „plandemią”. Kompletnie nie byłem w stanie tego pojąć, jak można podważać tak oczywiste fakty. Z resztą okres pandemii był dla mnie czymś fantastycznym. Jednak wyglądało na to, że nie każdemu się on podobał.

W lutym kontynuowaliśmy prace związane z naszym projektem w grze „Minecraft”. Małymi krokami zbliżała się rekrutacja do szkół średnich, dlatego dodaliśmy budowle tematyczne, związane z planowanymi kierunkami w naszym liceum. Udało nam się również dodać minigry, w których gracze, poza zwiedzaniem, mogli ze sobą rywalizować.

Sytuacja pandemiczna może się nie polepszała, ale też jakoś drastycznie nie pogarszała, co pozwoliło spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu. Fakt ten postanowiła wykorzystać pani Izabela Korzec, która nauczала wychowania fizycznego oraz podstaw przedsiębiorczości. Zaproponowała zorganizowanie szkolnego konkursu z nagrodami polegającego na zebraniu jak największej liczby kroków w aplikacji Pacer. Organizację tego przedsięwzięcia powierzyła nam. Zebraliśmy dane o tej aplikacji oraz przystąpiliśmy do działania. Konkurs trwał dwa tygodnie, dokładnie od 14 do 28 lutego. Wbrew pozorom organizacja ta nie należała do najłatwiejszych ze względu na występujące problemy techniczne. Cieszyć natomiast może sam fakt sporej liczby osób biorących udział w tym turnieju.

Po zakończonych zawodach Kacper, Igor i ja zostaliśmy zaproszeni na spotkanie z księdzem dyrektorem, panią wicedyrektor oraz wspomnianą powyżej panią Izabelą na spotkanie w celu omówienia konkursu. Przy okazji podjęliśmy również rozmowy na temat dalszego promowania naszej szkoły. Efektem było chociażby utworzenie przez nas szkolnych mediów społecznościowych na portalach takich jak Instagram, TikTok oraz Twitter. Staraliśmy się na nich tworzyć najrozmaitsze posty oraz wypromować je, aby trafiły do jak najszerszego grona odbiorców, szczególnie ósmoklasistów. Ogromną rolę w tej kwestii odegrał również nasz katecheta br. Karol Kliszcz, który pomagał nam udostępniać różne rzeczy na szkolnym Facebooku oraz kanale na YouTube. Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, że pewne kwestie na pewno mogliśmy zrobić lepiej oraz inaczej. Nie mnie to oceniać, jednak uważam, że swoją pracę wykonaliśmy właściwie, o czym może świadczyć fakt przyciągnięcia kilkuset obserwujących w dość szybkim tempie.

Maj przyniósł znaczną poprawę pod względem epidemicznym. Spowodowało to niestety powrót do stacjonarnego nauczania. Nie byłem z tego faktu

zbytньо zadowolony, jednak nie miałem na to wpływu. W sumie okazało się, że nie było tak źle. Pierwszy raz od kilku miesięcy zobaczyłem swoją klasę na żywo. Było to wspaniałe uczucie spotkać się po tak długim czasie.

W następnym miesiącu już chyba każdy myślał o zbliżających się wakacjach. Natomiast ja dalej starałem się poświęcać czas nauce ze względu na wyniki osiągnięte podczas zdalnego nauczania, chciałem je utrzymać i dostać świadectwo z wyróżnieniem. Moje poświęcenie nie poszło na marne. Rok szkolny zakończyłem, podobnie jak w pierwszej klasie, z drugą najwyższą średnią w klasie i otrzymałem „czerwony pasek”. Choć można powiedzieć, że to tylko zwykły kawałek papieru, to nie mogę się z tym do końca zgodzić. To było podsumowanie mojej pracy, jak i pewnych wyrzeczeń. Sprawilo mi to ogromną radość. Uważam, że mogę być z siebie dumny.

Wakacje zaczęły się całkowicie normalnie. Część wolnego czasu spędzałem ze znajomymi oraz rodziną, a część grając w piłkę nożną na boisku. Większość obostrzeń, podobnie jak w poprzednim roku, została zniesiona, dzięki czemu można było odnieść wrażenie, że wirus odszedł w zapomnienie.

Pomimo przerwy wakacyjnej postanowiłem powrócić do tematu naszego szkolnego serwera. Jakiś czas temu, robiąc porządki na swoim dysku komputerowym, znalazłem pliki zawierające mapę z moim niedokończonym stadionem KGHM Zagłębia Lubin w grze „Minecraft”. Pomyślałem, że może warto byłoby go dokończyć i dodać do naszego wirtualnego świata. Mogłoby to zachęcić kolejne osoby do obejrzenia go, a przy okazji naszej wirtualnej placówki. Niezwłocznie porozmawiałem na ten temat z Igorem i Kacprem. Pomimo trwających wakacji także byli za i od razu wzięliśmy się do działania. Podobnie jak w przypadku budynku liceum, tak i teraz staraliśmy się odwzorować każdy szczegół najdokładniej, jak tylko potrafiliśmy. Przez cały okres tworzenia musieliśmy korzystać z wszelkiego rodzaju zdjęć oraz map znalezionych w internecie, aby wszystko wyszło jak najlepiej. Początkowo mieliśmy w planach zająć się odwzorowaniem samego stadionu, jednak po skończonej budowie czuliśmy pewien niedosyt. Dlatego pojawił się pomysł, aby odzwierciedlić również przylegające do niego tereny, czyli budynek oraz boiska Akademii. Po skończonej pracy udostępniliśmy możliwość zwiedzania

innym. Stwierdziliśmy, że warto również napisać do miejscowego klubu o naszej inicjatywie. Przesłaliśmy e-mail ze zdjęciami, filmem oraz całym opisem i historią przedsięwzięcia. Był to strzał w dziesiątkę. Jeszcze następnego dnia skontaktował się z nami ówczesny rzecznik prasowy i dyrektor ds. marketingu, ale również, co warto zaznaczyć, absolwent naszego liceum pan Marek Wachnik. Stwierdził, że podobnie jak inni pracownicy klubu jest pod ogromnym wrażeniem naszego wykonania. Oznajmił również, że bardzo by chciał udostępnić informacje w mediach społecznościowych oraz zaprezentować film przedstawiający nasze dzieło podczas najbliższego domowego meczu. Jego słowa się potwierdziły. Informacja ta trafiła na różne portale internetowe, a nawet do lokalnej gazety. Wszędzie widniały wizualizacje podpisane naszymi nazwiskami. Tydzień później, na zaproszenie klubu, spotkaliśmy się z panem Markiem na obiekcie domowym Zagłębia, gdzie mieliśmy okazję się poznać oraz zwiedzić cały budynek. Było to naprawdę niesamowite uczucie. Mogliśmy zwiedzić zakamarki, które dla zwykłego kibica nie są na co dzień dostępne. Nie ukrywam, że największe wrażenie zrobiło na mnie przejście tunelem, którym w dniu meczu piłkarze wychodzą na murawę. Każdy z naszej trójki otrzymał prezent w postaci oryginalnej koszulki meczowej oraz zaproszenia na najbliższy mecz. Zgodnie z obietnicą pana Wachnika na najbliższym meczu, a dokładnie w czasie przerwy, na telebimach pojawił się filmik prezentujący nasz słynny projekt. To wszystko sprawiało, że czuliśmy się zaszczytni. Widzieliśmy, że nasz wysiłek nie poszedł na marne i został doceniony w naprawdę wyjątkowy sposób. Są to chwile, które z pewnością zapamiętam do końca życia.

Reszta wakacji minęła już bez większych emocji. Połowa sierpnia to czas, w którym niestety pomału zaczyna się myśleć o powrocie do szkoły i konieczności przygotowania się do niej, a dokładnie o zakupie książek, zeszytów, przyborów itp.

Początek września, kolejnego roku szkolnego i nowych wyzwań. Rozpocząłem trzecią klasę i zdawałem sobie sprawę, że jest to już mój przedostatni rok w liceum, co przybliżyło mnie do egzaminu maturalnego. Staralem się jednak jeszcze nie zaprzątać sobie tym głowy.

W następnych tygodniach ponownie skontaktowaliśmy się z panem Wachnikiem, ale już w innej sprawie. Chcieliśmy go, jako byłego ucznia, zaprosić do odwiedzenia naszej szkoły. Bardzo się ucieszył i bez dłuższego zastanowienia przystał na naszą propozycję. Odwiedził liceum 17 września i wygłosił tzw. słówko oraz wręczył szkole pamiątkę w postaci oryginalnej koszulki Zagłębia wykonanej z okazji 75-lecia klubu. Pan Marek miał również okazję porozmawiać ze swoim byłym nauczycielem wychowania fizycznego panem Pawłem Tuszkiewiczem, który między innymi zaprosił go na nadchodzący szkolny turniej piłkarski z okazji Dnia Chłopaka. We trzech oprowadziliśmy go po całym naszym budynku. W trakcie spotkania opowiedział nam też wiele ciekawych historii z czasów, kiedy tu uczęszczał.

Podczas rozmowy nagle zadał nam dość nietypowe pytanie dotyczące naszej chęci dalszej współpracy z Zagłębiem w charakterze wolontariuszy. Niestety Kacper nie mógł się zgodzić ze względu na popołudniowe zajęcia w szkole muzycznej, a Igor z uwagi na dość problematyczne dojazdy. Natomiast ja zgodziłem się od razu, bez zawahania. Praca w klubie piłkarskim, szczególnie takim, któremu kibicuję od urodzenia, była dla mnie spełnieniem najskrytszych marzeń. Tak właśnie rozpoczęła się moja współpraca z Zagłębiem Lubin. Początkowo zajmowałem się wydawaniem akredytacji w wyznaczonym punkcie, a następnie pomagałem w organizacji dnia meczowego, stojąc niemal przy linii boiska. Było to dla mnie kolejne niezwykle doświadczenie. Zyskałem możliwość obejrzenia meczu z innej perspektywy oraz poznania wielu nowych ludzi, zarówno pracowników biurowych, jak i piłkarzy oraz członków sztabu szkoleniowego. Co było dla mnie jednak najbardziej istotne, mogłem na żywo podziwiać wyczyny swojego starszego kuzyna Bartłomieja Kłudki, który sukcesywnie stawiał swoje pierwsze kroki w pierwszej drużynie Zagłębia już jako profesjonalny piłkarz.

Następne tygodnie miały bez większych wrażeń. Zajęcia szkolne odbywały się od samego początku w formie stacjonarnej. Nie ukrywam, początkowo ciężko mi było przestawić się na ten tryb po zdalnym nauczaniu. Co do ocen, to nie otrzymywałem złych stopni, jednak nie były one aż tak dobre, jak jeszcze do niedawna.

Nadszedł 11 listopada, a więc Święto Niepodległości Polski. Jest to dla mnie szczególny dzień w roku. Związane to może być z moim szczerym zamięłowaniem do ojczyzny. W dniu tym corocznie odbywa się koncert pieśni patriotycznych w hali widowiskowo-sportowej RCS w Lubinie. Na scenie występuje zespół składający się z uzdolnionych muzycznie uczniów i uczennic liceum salezjańskiego. Mnie powierzono misję uwiecznienia tego wydarzenia w postaci zdjęć. Nie byłem profesjonalnym fotografem. Czasem lubię zrobić proste, zwykłe zdjęcia, jednak nigdy nie miałem okazji wykonywać fotografii podczas wydarzenia o tak dużej skali. Sam koncert był naprawdę przepiękny. Równie piękny był widok pełnego obiektu i osób śpiewających wraz z zespołem najrozmaitsze piosenki o tematyce patriotycznej. Co do samych zdjęć, to zrobiłem ich naprawdę sporo. W mojej opinii nie były idealne, jednak wyszły całkiem przyzwoicie. Spodobała mi się ta rola, co zmotywowało mnie do pogłębiania wiedzy w tej dziedzinie. Po koncercie dyrekcja powierzyła mi wykonywanie zdjęć również na innych uroczystościach szkolnych. Można powiedzieć, że tym oto sposobem zostałem szkolnym fotografem.

W grudniu jako liceum kontynuowaliśmy współpracę z miejscowym klubem piłkarskim, czego efektem może być włączenie się w akcję charytatywną pod tytułem „Miedziowy Mikołaj”. Akcja ta polegała na zbiorce słodczy dla dzieci z domów dziecka znajdujących się w naszym regionie. Początkowo zbiórkę prowadziliśmy w naszej placówce szkolnej, a w późniejszym czasie wolontariusze z naszej szkoły pomagali w zbieraniu słodczy przed meczem. Sam miałem okazję pomagać przy organizacji tej akcji, która cieszyła się naprawdę sporym zainteresowaniem, o czym świadczy ilość zebranych produktów.

Miesiąc ten jest również czasem świąt Bożego Narodzenia. Sytuacja epidemiczna pozwoliła nam na pierwsze od dwóch lat wspólne spotkanie przy wigilijnym stole, zarówno w gronie klasowym, jak i rodzinnym. Naturalnie głównym tematem były ostatnie miesiące ściśle związane z lockdownem oraz koronawirusem. Wszyscy życzyliśmy sobie nawzajem przede wszystkim dużo zdrowia, które w ostatnim czasie stało się kwestią priorytetową.

Nowy rok 2022 zaczął się względnie entuzjastycznie. Zdawałem sobie sprawę, że w maju stanę się dorosłą, pełnoletnią osobą. Spodziewałem się pewnych nadchodzących zmian, jednak nie przejmowałem się nimi zbyt. Wracając do tematu nowego roku, dodam, że tradycyjnie każdy miał związane z nim swoje nowe plany, obietnice, które będzie starał się zrealizować. Są to postanowienia noworoczne. Sam miałem ich kilka i liczyłem na to, że chociaż część z nich uda mi się urzeczywistnić.

Na przełomie stycznia i lutego sytuacja związana z wirusem COVID-19 ponownie zaczęła się pogarszać. Tym samym ponownie zostaliśmy przeniesieni na naukę zdalną, jednak już po raz ostatni. Można było uznać, że są to ostatnie podrygi pandemii. Był to również czas, którego wraz z rodzicami nie wspominamy najlepiej. Jest to spowodowane naszym zachorowaniem na tę zakaźną chorobę, jaką jest SARS-CoV-2. Osłabienie, bardzo wysoka gorączka oraz nasilający się, dość nietypowy kaszel. Na szczęście po około dwóch-trzech tygodniach udało nam się wyjść z tego cało i wróciliśmy do zdrowia i normalnego funkcjonowania.

Tak właśnie zakończył się ten ciężki, ale jakże wspaniały okres pandemii oraz zdalnego nauczania. Przez pewien moment czułem smutek oraz niepokój związany z przyszłością, a dokładnie z powrotem do normalnej, ale zarazem nowej rzeczywistości. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że choć zamyka się pewien rozdział, to za chwilę otworzy się kolejny, równie emocjonujący, jak poprzedni, a może nawet bardziej. Uświadomiłem sobie także, że nikt nie zabierze mi sukcesów oraz niesamowitych wspomnień z tamtego okresu. Wierzę jednak, że na tym nie poprzestanę. Czuję chęć dalszego działania oraz rozwijania się. Mam marzenia, które w najbliższej przyszłości będę sumiennie starał się zrealizować.

Podsumowując, chciałbym powiedzieć, że okres pandemii był to nietypowy oraz momentami również trudny dla mnie czas, ale jakże piękny i radosny. Nauczył mnie on wielu rzeczy. Chociażby takiej, że choć nie zdajemy sobie z tego sprawy na co dzień, to zdrowie jest niezwykle istotną kwestią, ponieważ mamy je tylko jedno. Inną kwestią może być współpraca, synergia

oraz bezinteresowne działanie, poprzez które możemy rozwijać samych siebie oraz swoje pasje, nie otrzymując za to wyłącznie korzyści materialnych oraz finansowych, ale coś zdecydowanie bardziej wartościowego. Osobiście czuję, że wykorzystałem ten jakże dziwny okres najlepiej, jak tylko potrafiłem, oraz mam głęboką nadzieję, że to, co najlepsze, jest dopiero przede mną...

Szereg zmian

Szczerze mówiąc, nie pamiętam wiele z okresu pandemii. Wielokrotnie pytano mnie już, co sędzę na temat samego wirusa, szczepień, wszelkiego rodzaju obostrzeń czy działań służby zdrowia. Nie lubiłam i nadal nie lubię odpowiadać na takie pytania. Czy jest to spowodowane moją niewiedzą? A może brakiem chęci wyrażania swojej opinii na tak obszerny temat? A może jedno i drugie? Nie jest to w każdym razie istotne. Od pierwszych objawów pandemii w moim otoczeniu minęły już trzy lata. Z codziennego życia nie utkwilo w mojej pamięci wiele. Wiem, że żyłam tak, jak wcześniej, tylko trochę inaczej... W szufladach moim wspomnień widnieją bowiem pojedyncze sytuacje, takie jak wyjście na zakupy czy fragmenty lekcji zdalnych. Niemniej jednak postaram się przytoczyć jak najwięcej takich właśnie fragmentów wspomnień.

Z pewnością okres, który najbardziej zapadł mi w pamięć, to początek drugiej klasy liceum. Był to wrzesień 2020 roku. Jednakże cofnijmy się nieco. Wiadomo przecież, że pierwsze obostrzenia wystąpiły już pół roku wcześniej.

Przenieśmy się teraz myślami do czasu, w którym, jako uczennica pierwszej klasy technikum w niewielkiej miejscowości nieopodal Lublina, usłyszałam na korytarzu powiadomienie o planowanym dwutygodniowym „wolnym od szkoły”. Jak to młodzież, większość osób na korytarzu zamiast się zmartwić, niezwykle cieszyła się na wieść o kolejnych „feriach” – jak to wtedy nazywaliśmy. To był bodajże marzec, tak więc kolejne tygodnie wolnego wywołały nie lada euforię wśród znudzonych szkolnymi obowiązkami uczniów. Tego dnia w szkole byłam, o ile się nie mylę, przedostatni raz.

Czas wolny minął błyskawicznie – jak to się mówi, wszystko, co dobre, szybko się kończy, prawda? Drugie ferie przerodziły się w zajęcia zdalne.

Na początku, przynajmniej w mojej szkole, nie miały one najmniejszego ład i składu. Nauczyciele nie byli przystosowani do pracy w warunkach domowych, nie prowadzili naszych lekcji przez rozmowy na platformach internetowych. Większość wysyłała nam karty pracy do wypełnienia, po czym mieliśmy za zadanie odesłać swoje zapiski drogą mailową do sprawdzenia. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby faktycznie wszystkie te prace zostały przyjęte, sprawdzone i sprawiedliwie ocenione. Nie wnioskuję w ten temat. Kwestia ocen za rebusy, rysunki i przepisywanie podręczników jest już dawno za mną.

Pamiętam sytuację, która rozgrywała się w moim pokoju. Sprawdzałam, co mam do zrobienia z przedmiotów zawodowych. Teraz nie pamiętam nawet ich nazw. Warto tylko wspomnieć, że w technikum wybrałam kierunek technik organizacji reklamy, jednakże po około dwóch miesiącach stwierdziłam, że chyba jednak lepiej odnajdę się na architekturze krajobrazu. Może nie byłam urodzonym przyrodnikiem, ale lubiłam rysować. Co za tym idzie, bardziej przekonywało mnie projektowanie i dobieranie roślin niż obrabianie graficzne reklam. Nie byłam w tym dobra, przyznaję. Choć w zasadzie nie miałam okazji, żeby bardziej zagłębić się w tego typu zadania, ale wiem po sobie, że nie jest mi bliska obsługa komputera i bardziej skomplikowanych programów. Nie przepadam za tym. Zdecydowanie wolałam rysunki i pielęgnowanie szkolnego ogrodu.

Ale wróćmy do zajęć zdalnych. Pod koniec roku szkolnego siedziałam w pokoju otoczona stertami wydruków. Zadania, karty pracy, rysunki, kserokopie książek i inne tego typu stosy makulatury... Wiem tylko, że nie lubiłam tej wersji „lekcji”. Jedyną zabawną sytuacją, jaką pamiętam z tych pierwszych miesięcy zamknięcia w domu, to pierwsza i ostatnia rozmowa przez internet z nauczycielką języka angielskiego – panią N. Była jedną z moich szkolnych ulubienic, dzięki temu, że miała w sobie ogrom pozytywnej energii. Oczywiście jak każdy nauczyciel miała swoje lepsze i gorsze dni, ale ja dogadywałam się w zasadzie ze wszystkimi prowadzącymi, więc ją także miło wspominam. Tylko pani N. odważyła się porozmawiać z uczniami przy użyciu kamerki internetowej. Była to dla nas niezła frajda. Osoby z mojej grupy również po

kolei witały się i pokazywały swoje roześmiane twarze na kamerkach. To było moje pierwsze doświadczenie z lekcją w formie wideorozmowy.

Oprócz tony kartek porozrzucanych po pokoju musiałam też mieć jakieś życie poza swoimi czterema ścianami. Szczercze mówiąc, niewiele się działo. Jedyne, co bardziej utknęło mi w pamięci, to długo wyczekiwane spotkanie z przyjacielem. Nie widzieliśmy się chyba dwa tygodnie. Dla niektórych nie ma nic nadzwyczajnego w dwutygodniowej przerwie od siebie, ale w tamtym czasie, kiedy byliśmy pozamykani w domach, każdy dzień bez kogoś bliskiego trwał wieki. W każdym razie po tych nieprawdopodobnie długich dwóch tygodniach przyjechał do mnie K. – tak go nazwę. Co tu dużo mówić. Spędziliśmy miło kilka godzin w swoim towarzystwie. Byliśmy na spacerze, posiedzieliśmy nad rzeką, zjedliśmy obiad. Nic wielkiego, a jednak biorąc pod uwagę długie oczekiwanie, nawet tak przeciętny dzień był niezwykle odskocznią od domowej nudy. Znacznie bardziej intrygujące były spotkania z moją przyjaciółką. Po mniej więcej miesiącu od początku przymusowego siedzenia w domu uznaliśmy, że najwyższy czas na spotkanie. Nawet jeśli nasi rodzice ze względu na pandemię na to nam nie pozwalali. Nic trudnego. Powiemy, że idziemy na spacer, i spotkamy się w umówionym miejscu na naszym osiedlu. Jednak, jak to młode kombinatorki, musiałyśmy się skierować w kierunku przeciwnym do miejsca zamieszkania drugiej. Nie pamiętam, jak to się stało, że nie miałam ze sobą telefonu. Zapewne musiałam zostawić go w domu, po sprzeczce z rodzicami. No cóż, nie można mieć wszystkiego, prawda? Było to kolejne utrudnienie, przez które ciągle towarzyszył nam stres. Nie miałyśmy dużo czasu. To miał być krótki spacer, tylko się przewietrzę i wracam. Dodatkowo było wtedy zimno. Wyszłyśmy w niezbyt ciepłych kurtkach, więc tym bardziej rodzice wiedzieli, że nie wyjdziemy na taki ziąb na długo. Byłyśmy zdenerwowane, obawa przed tym, że minimy się w innych alejkach i zaczniemy w panice się szukać, podnosiła nam obu ciśnienie. Wzrosło widocznie do takiego stopnia, że gdy wychodząc zza zakrętu, zobaczyłam moją J., obie ruszyłyśmy biegiem w swoim kierunku. Wpadłyśmy sobie w ramiona, szczęśliwe, że misja zakończyła się sukcesem. Spotkanie samo w sobie było już znacznie mniej ciekawe, prze-

szliśmy się razem w stronę domu, rozmawiając o tym, jak minął nam ten straszny miesiąc spędzony w naszych pokojach. Skoro czasu na rozmowę było mało, logiczne stało się dla nas, że nie jest to ostatnie takie tajne spotkanie. Kolejne nie były już tak precyzyjnie obmyślane. Wychodziłyśmy na spacer z naszymi psami i spotykałyśmy się mniej więcej w połowie drogi lub na rogu ulicy, przy ławeczce, na której przesiadywałyśmy kiedyś latem. Mieszkałyśmy naprawdę blisko siebie, a ten punkt był o tyle uniwersalny, że nie było go widać z okien naszych domów.

Blisko miałam także do sklepu, a jako że byłam najmłodsza w domu, z wyjątkiem mojej siostry, która była na to za mała, zazwyczaj wychodziłam na niewielkie zakupy. Produkty potrzebne „na już”. Wszyscy to znamy. Zabraknie cukru przy pieczeniu ciasta, marchewki do rosółu, który już się gotuje i tak dalej. To była moja misja kosmiczna. Dlaczego? A dlatego, że choć sklep miałam na wyciągnięcie ręki, to ta ręka zabezpieczona była rękawicą ze specjalnego tworzywa, która miała odpędzić ode mnie wirusa. Twarz również osłaniała maska, najnowocześniejszej znanej dotąd technologii. Ciało chronił skafander, a na nogach miałam kosmiczne obuwie. Tak przygotowana mogłam przystąpić do odliczania kroków do sklepu.

To mały krok dla człowieka, ale wielki krok dla ludzkości! – pomyślałam, przekraczając próg sklepu, ubrana w dresy, pierwsze lepsze trampki do biegania po ogrodzie, czapkę, materiałową maseczkę wyjętą z kieszeni kurtki oraz foliowe rękawiczki. Taki to profesjonalny sprzęt towarzyszył mi w kosmicznej misji – kupnie cukru czy bułek. Lista zakupów była tak zróżnicowana jak moje obuwie podczas spacerów do sklepu. Chyba każdy zna ten moment, kiedy mama lub inna osoba woła nas do pomocy przy wniesieniu siatek do domu. Czasem mamy na nogach kapcie, czasem kalosze, może klapki, nieraz zdarzy się łyżworolka w połączeniu z japonkami, za duże szpilki mamy czy robocze buty taty, w których moglibyśmy nocować, bo są tak duże. Tak mijał czas, każda kolejna misja, zakończona oczywiście sukcesem, przybliżała mnie do końca roku szkolnego.

Chociaż w domu było coraz nudniej, to zaczęło się robić ciepło, co oznaczało więcej czasu na dworze. Poza ostatnimi zaliczeniami przedmiotów,

mam tu na myśli ostatnie maile z zadaniami, odnowiłam wtedy kontakt z bliską przyjaciółką z podstawówki – A. Po kilku namowach udało mi się wyciągnąć ją na spotkanie. Umówiliśmy się na rolki. Jeździliśmy po centrum naszej miejscowości, jadliśmy kebab, siedzieliśmy w parku i naprawdę dużo rozmawialiśmy. To było bardzo miłe i wesołe spotkanie. Tego mi brakowało. Długo nie miałyśmy ze sobą kontaktu, po tym jak poszłyśmy do innych szkół. W końcu A. wyznała mi, dlaczego musiałam tyle przekonywać ją do spotkania. Okazało się, że jej rodzina, a dokładniej, o ile dobrze pamiętam, mama, była pierwszym odnotowanym przypadkiem zarażenia wirusem w naszym mieście. Nie widziałam w tym nic złego. Jeśli nie oni, to ktoś inny byłby pierwszy. Mam nadzieję, że teraz, z perspektywy czasu, już nikt się tym nie przejmie. Ważne było to, że w trakcie naszego spotkania A. i jej rodzina byli już całkiem zdrowi, czuli się dobrze i nie było powodu do obaw.

W połowie czerwca, przed samym zakończeniem roku szkolnego, spotkałam się jeszcze z przyjacielem K. – nie był to ten sam K., o którym była mowa wcześniej. Nazwijmy go może motocyklistą. W każdym razie spotkaliliśmy się obok naszej szkoły. Musiałam oddać książkę do biblioteki i zabrać z sekretariatu moją kartę zdrowia ucznia. Dlaczego? A dlatego, że wielkimi krokami zbliżała się moja przeprowadzka. Ale do tego wrócę za chwilę. Z K. omówiliśmy pewną sytuację, która w tamtym czasie bardzo mnie drażniła i martwiła zarazem. Chodziło o grupę znajomych, w którą próbował mnie włączyć pewien kolega – D. Niezwykle dobrze dogadywaliśmy się już od pierwszego spotkania. Niestety poprzez pewne konflikty, spowodowane zazdrością, musiałam w pewnym momencie odsunąć się od tej grupy. Stwierdziłam, że jest to dobre wyjście. Teraz wiem, że się myliłam. Powinnam zostać wtedy wierna większej liczbie osób, które tak dobrze i szybko przyjęły mnie do swojego grona, dobrze mnie traktowały, za których towarzystwem przepadałam. No cóż, błędy młodości są nam wszystkim znajome. K. w tym czasie bardzo mi pomagał. Nie jestem pewna, czy wtedy o tym wiedział, ale mam nadzieję, że zdawał sobie sprawę z tego, że samymi rozmowami i wspieraniem mnie naprawdę wiele zdziałał. Podczas spaceru złapał nas deszcz. Choć to nic ważnego, to zabawna jest ciekawostka, że tego dnia pierwszy i jak do

tej pory jedyny raz w życiu jechałam na kierownicy roweru. K. przyjechał na spotkanie rowerem. Podczas spaceru prowadził go obok, a gdy zaczęło padać, kazał mi wsiąść na ramę roweru. W zasadzie nie kazał, bardzo grzecznie proponował, że pojedziemy rowerem, żeby szybciej dojechać do domu i nie wyglądać jak zmokłe kury. Ku mojemu zdziwieniu nie miał bagażnika, na którym zamierzałam usiąść. Widząc moje zdziwienie i przerażenie w oczach, z uśmiechem wytłumaczył, jak mam wdrapać się na kierownicę dość dużego roweru.

Nigdy nie byłam i chyba już nie będę wysoka, przez co znajomi, szczególnie tak wysocy jak K., lubili czasem w zabawny sposób wytknąć mi mój wzrost. Nie złościłam się, lubię swój wzrost, a ich żarty nie sprawiały mi przykrości.

Jechaliśmy krótko, ale ile moich pisków i śmiechu było po drodze. Dobrze to wspominam. Przeczekałszy deszcz w mieszkaniu K. Poznałam jego pupili. Urocze świnki morskie wydawały niezwykle śmieszne dźwięki. Widziałam je pierwszy raz, bardzo mi się spodobały. Nie padało długo, więc szybko zebrałam się do wyjścia. Zdążyłam jeszcze podpisać się kredą na ścianie nad biurkiem. K., spoglądając za okno, zmarszczył brwi, po czym położył rękę na moim ramieniu, a właściwie wcisnął mi w rękę parasol. To było naprawdę miłe. Pożegnaliśmy się i wyszłam.

Chyba warto przejść teraz do przeprowadzki. Wiedziałam o niej od kilku miesięcy. Powodem nie była pandemia ani żaden podobny problem. Moja babcia spędziła na Dolnym Śląsku lata swojej młodości i zapragnęła wrócić w tamte strony. Reszta rodziny była pozytywnie nastawiona do przeprowadzki do miasta, w którym można być bardziej anonimowym i nie słuchać plotek sąsiadów. Nie miałam więc wyboru. Powoli nastawiałam się mentalnie na zmianę otoczenia i szkoły. Nie byłoby to nic wielkiego, gdybym przenosiła się do większego miasta w okolicy. Jednak była to, że tak to ujmę, przeprowadzka na koniec świata. To znaczy tak mi się wtedy wydawało. W zasadzie przenosiliśmy się na drugi koniec kraju. „Z dzikiego wschodu na dziki zachód” – lubiałam to powtarzać, mówiąc znajomym o nadchodzącej zmianie.

Przed wyjazdem chciałam spotkać się ze wszystkimi znajomymi. Wiedziałam, że nie zobaczę ich przez co najmniej pół roku. Podświadomie starałam się spędzić z nimi czas „na zapas”. Pandemia w fazie rozprzestrzeniania się z pewnością w tym nie pomagała. Jednakże nie mogę powiedzieć, że bardzo utrudniała nam spotkania. Oczywiście staraliśmy się widywać na dworze, w miejscach, gdzie nie było skupisk ludzi. Dzień wyjazdu zbliżał się wielkimi krokami.

20 czerwca na moim podwórku zorganizowałam z przyjaciółkami imprezę pożegnalną. Ze względu na pandemię, która wprawdzie nie była tak odczuwalna, kiedy na dworze robiło się ciepło, nie spotkaliśmy się w mieście. Myślę, że skromne przyjęcie za moim domem zapamiętaliśmy lepiej, niż zapamiętalibyśmy spotkanie w barze. Nie zabrakło nam przekąsek, napojów, ale przede wszystkim wieczór wypełniony był wspólnymi tańcami i śpiewem, co oczywiście zostało udokumentowane. Nagraniom i zdjęciom nie było końca. W imprezie z osób, które już przedstawiłam, brali udział K., J. i A., ale pojawili się też nowi bohaterowie: E. – przyjaciółka z technikum, N. – przyjaciółka poznana dzięki J. oraz kolejny K. – kolega ze szkoły sportowej. Mimo różnicowania środowisk, z jakich pochodzili moi przyjaciele, naprawdę dobrze się razem bawiliśmy. Tańczyliśmy nawet belgijkę i kankana. Śmiechu było co niemiara.

Niebawem, dokładnie 23 czerwca, udało mi się ponownie spotkać z A. i K. Z A. byliśmy na spacerze nad rzeką i zrobiliśmy pożegnalną sesję zdjęciową, natomiast z K. – motocyklistą przegadaliśmy w mieszkaniu kwestię wprowadzki i utrzymywania kontaktu.

W przeddzień wyjazdu widziałam się jeszcze z J. i całą jej rodziną oraz ponownie z K., obok sklepu niedaleko mojego domu, gdzie zrobiliśmy ostatnie zdjęcie przed przeprowadzką. W tle stał motocykl, a biedny K. musiał przykucnąć nieco, by objąć mnie do zdjęcia. Żadne z ostatnich spotkań nie obeszło się bez łez. Niezależnie od tego, czy żegnałam się z przyjacielem, czy z przyjaciółką, we wszystkich przypadkach wszyscy wypłakiwaliśmy się sobie nawzajem w ramiona. To był 24 czerwca. Tej nocy prawie nie spałam. Mnie i mamę pochłonęło pakowanie kuchennych przyborów. Spędziłyśmy

w kuchni kilka godzin, a wyszłam z niej po 3 nad ranem. Kiedy się obudziłam o 7 rano, pod domem stały już dwa prawie całkowicie załadowane samochody przewozowe. Gdy zapełniły się po dachy, nadszedł ten straszny moment. Wyjeżdżamy. Kilka godzin jazdy i z ukochanej Lubelszczyzny trafiłam na Dolny Śląsk. Weszłam do nowego domu. Cała w nerwach szukałam dobrego momentu, by ukryć się przed rodziną i była właścicielką, która nas oprowadzała. Kiedy tylko zostaliśmy same z moją małą siostrą, powiedziałam sama do siebie na głos: „Jesteśmy w domu...”, po czym załamam się łzami.

Z czasem zaczęłam się przyzwyczajać do nowego miejsca zamieszkania. Jednakże w tej części kraju znacznie bardziej odczułam obecność wirusa. Na ulicach miasta nie było wielu ludzi. W każdym razie nie przeszkadzało mi to. Byłam zła i zawzięta. Miałam żal do rodziny. Przeprowadzka wyrwała mnie z mojego środowiska. Nie miałam zamiaru zawierać nowych znajomości, wiedziałam, że ważne dla mnie osoby zostawiłam w mieście, w którym się wychowałam.

W lato pandemia niewiele zmieniała w codziennym funkcjonowaniu. Mimo tego prawie całe wakacje 2020 roku spędziłam w domu, z wyjątkiem kilkudniowego wyjazdu do Krakowa, gdzie odwiedziłam moją ciocię, i wyjazdu nad morze z rodzicami na cztery dni. Poza tym czasem zdarzało mi się przejść do centrum miasta. Samotnie. Jak już wspomniałam, nie szukałam towarzystwa. Nowych znajomych nie chciałam, a za „starymi” płakałam, przesiadując w domu.

Zmieniło się to dopiero, gdy zaczął się rok szkolny. Do mojego liceum trafiłam z przypadku. Okoliczne szkoły nie miały w ofercie mojego kierunku, przez co miałam dwa wyjścia: mogłam stracić rok i rozpocząć w technikum nowy kierunek lub przejść do drugiej klasy liceum ogólnokształcącego. Jak już wiadomo, wybrałam drugą opcję.

Pamiętam, jak to było. Nowa, obca dziewczyna w szarej sukience, z maszczką na twarzy, obserwowana przez kilkanaście osób. Rozpoczęcie roku szkolnego było dla mnie stresujące, ale wiedziałam, czego się spodziewać. W końcu było to drugie rozpoczęcie w nowym miejscu w ciągu dwóch lat. Na początku do nikogo się nie odzywałam. Wychowawczyni poprosiła jed-

ną z dziewczyn, by mnie oprowadziła. Sprawnie obeszlśmy najmniejszą szkołę, w jakiej byłam, po czym wyszlśmy na dwór, gdzie zaczęła mnie już większa grupa koleżanek.

Z każdym dniem nieco bardziej otwierałam się na znajomych z klasy. Nigdy nie miałam problemów z komunikacją. Udało mi się, powiedzmy, zaprzyjaźnić z kilkoma osobami. Nie poznałam ich jednak blisko. Nie było na to czasu. Ledwo miesiąc spędziłam w szkole, a już wylądowałam przed komputerem, na łóżku, w rogu mojego pokoju, otulona kocem i obawiająca się wyczytania mojego nazwiska. Niestety szkoły ponownie zostały zamknięte. Jeśli dobrze pamiętam, w październiku znów przeszliśmy na nauczanie zdalne. Zmusiło mnie ono do zgłaszania się po pomoc do osób, których w zasadzie nie znałam. W każdym razie nie tak dobrze, by nazwać ich przyjaciółmi.

Tym razem jednak zdalne wyglądały inaczej. Nauczyciele prowadzili lekcje z pomocą platform internetowych. W naszej szkole królował Teams. Będzie to chyba do końca życia moja znienawidzona aplikacja. Nie lubiłam zdalnych, ale przyznam, że dość szybko dostrzegłam ich plusy. W końcu kto nie wolałby siedzieć z herbatką pod kocykiem niż w szkolnej ławce? Nie ma chyba nic gorszego niż dojazdy do szkoły w zimę. Zamiast tego większość uczniów przesiadywała w domu przed komputerem czy ekranem telefonu.

Jak mogę opisać zdalne? Totalna samowolka. Szczerze, nic dodać nic ująć. Połowa grupy zazwyczaj grała w gry, spała, gotowała lub spacerowała podczas zajęć. Możliwość zalogowania się na lekcje przez telefon dla wielu była wybawieniem. Można próbować sobie wyobrazić, jak wiele się działo za wyciszonymi mikrofonami uczniów i nauczycieli. Zapewne nie wszyscy byli w domu, część robiła zakupy lub jechała autobusem czy autem.

Oczywiście nie zawsze było tak kolorowo. Część nauczycieli stosowała ciekawe metody prowadzenia lekcji, odpytywania czy sprawdzania wiedzy podczas testów. Przykładowo niemiecki. Moja grupa, muszę przyznać, miała więcej luzu. Jeśli chodzi o testy, dostawaliśmy dokument do wypełnienia i oddania w wyznaczonym czasie. Niejednokrotnie był to cały dzień, co znaczy, że termin odesłania prac mijał wieczorem. Natomiast druga grupa przechodziła pewnego rodzaju traumę podczas odpytywania. Tak samo jak

dawniej w szkole stali przy tablicy podczas ustnych odpowiedzi, tak teraz na zajęciach zdalnych siadali przed komputerem z włączoną kamerką, demonstrując swoją wiedzę z zamkniętymi oczami. Miało to zapobiec korzystaniu z pomocy internetu czy ściąg, którymi zazwyczaj zapełniali ekrany swoich urządzeń.

Inni nauczyciele wyrywkowo prosili podczas lekcji uczniów o przeczytanie fragmentu tekstu z podręcznika lub przytoczenie omawianego w danej chwili tematu, aby zorientować się, czy jesteśmy nie tylko obecni, lecz także uważni. Kolejnym sposobem kontrolowania pracy uczniów było robienie zadań pojedynczymi podpunktami. Każdy z podpunktów należał do innej osoby. Wyczytana osoba miała włączyć mikrofon, czasem nawet mikrofon i kamerę, choć było to rzadkością, po czym przeczytać już uzupełnione zdanie czy opracowane zagadnienie.

Niekiedy mieliśmy też czas na wykonanie kilku zadań. Następnie nauczyciel prosił osoby chętne, mniej lub bardziej, o odczytanie odpowiedzi. Były one oceniane stopniami lub plusami za aktywność. Gorzej, jeśli ktoś owych zadań nie zrobił lub nie zgłosił się po wyczytaniu. W takiej sytuacji trzeba było mieć dobre wytłumaczenie.

I choć wszystko to miało zapobiec swawoli, ściąganiu, uciekaniu lub spaniu na zajęciach, zdalne nauczanie, mimo iż wywoływało wiele stresu, bywało też zabawne.

Nieraz zdarzyło się, że ktoś zasnął podczas zajęć. Pewnego dnia moja koleżanka z klasy nie rozłączyła się po zakończeniu lekcji języka niemieckiego. Spotkanie online trwało ponad 3 godziny. Cała klasa siedziała już na innej lekcji, jeśli dobrze pamiętam, była to historia. Ja i dwie inne koleżanki próbowałyśmy dodzwonić się do śpiocha, który ani myślał dołączyć do zajęć. Przelączyłyśmy się na zajęcia z języka niemieckiego, żeby go obudzić. Zaczęłyśmy wykrzykiwać imię śpiącej koleżanki. Nie brakowało też tekstów typu „pobudka”, „wstawaj, śpiochu”, „obudź się”, „dawaj, lekcja już dawno się skończyła” i tak dalej. Po kilku minutach krzyków i rozmowy w małym gronie budzących usłyszałyśmy szmer, co oznaczało, że śpioch się przebudził i teraz kręci się pod kocem. Rozbawione sytuacją wróciłyśmy na historię

w doskonałych humorach. Straciłyśmy część lekcji na budzenie koleżanki, pośmiałyśmy się, porozmawiałyśmy o głupotach, a jakby tego było mało, nauczycielka podziękowała nam za sprowadzenie śpiocha na zajęcia. Same plusy, prawda? Nie była to jednorazowa sytuacja, takich śpiochów mieliśmy wielu.

Skłamałabym, mówiąc, że mnie nigdy nie zdarzyło się zaspać, zrobić sobie drzemki w przerwie pomiędzy zajęciami lub też po prostu zasnąć w trakcie lekcji. W końcu znacznie łatwiej jest zasnąć, słuchając nauczyciela podczas leżenia w łóżku niż siedzenia w ławce, na niewygodnym krzeselku. Zdarzało mi się to głównie na WOS-ie. Bardzo lubiłam naszego nauczyciela, ale był to ten typ lekcji, na której po sprawdzeniu listy obecności ze strony uczniów nie było żadnego zaangażowania w zajęcia. Przynajmniej nie było ono wymagane, czasem ktoś się odezwał, ja także się starałam. Nie lubiłam poczucia, że nauczyciel gada sam do siebie, wiedziałam, że jest to raczej nieprzyjemne, kiedy podczas mówienia podejrzewasz, że nikt nie słucha. Dlatego czasem warto było odpowiedzieć, rzucić jakiś żarcik, potwierdzić, że dobrze pana słychać, czy nawet dopytać, na której stronie jesteśmy. Wiedziałam, że nauczyciele doceniają takie niewielkie aktywności.

O ile starałam się być aktywna i podchodzić do zajęć z szacunkiem do prowadzących, o tyle oprócz spóźnień czy drzemek zdarzało mi się łączyć na zajęcia przez telefon, zakładać słuchawki i wykonywać przeróżne czynności, niezwiązane nijak z przedmiotami. Najczęściej wcielałam się w rolę finalisty „MasterChefa”. Uwielbiałam gotować podczas lekcji, podobnie jak wielu innych uczniów. Często podczas zgłaszania obecności w tle słychać było stukanie garnkiem, sztućce jeżdżące po talerzu i inne kuchenne odgłosy, takie jak: pikanie piekarnika, tostera lub innych urządzeń. Nie zawsze miałam jednak czas, ochotę czy niezbędne składniki do wykonania swoich ulubionych przysmaków, więc na obiad zdarzało mi się schodzić do babci czy biec szybko do swojej kuchni, by odebrać z rąk mamy talerz lub miskę z posiłkiem. W wyjątkowych przypadkach babcia i mama przynosiły mi jedzenie do pokoju. Działo się tak zazwyczaj podczas matematyki czy polskiego, ponieważ na tych lekcjach najbezpieczniej było uważnie słuchać lub przynajmniej orientować się, co robimy, czytamy albo kto ma teraz głos.

Takie zamieszania i zabawne sytuacje stały się codziennością już po pierwszych tygodniach zdalnego nauczania. Zamknięci w domach uczniowie musieli jakoś oderwać się od nudy. Zamknięte szkoły nie oznaczały jednak zakazu wychodzenia. Przynajmniej nie dla wszystkich. Dopóki wychodzenie z domu nie było zabronione, ludziom zwyczajnie nie chciało się wychodzić. Większy problem miały osoby, którym nie wolno było opuszczać domostw. Niestety moją rodzinę także dotknął taki zakaz. Stało się. Moja mama zachorowała na COVID-19. Źle się czuła, zmysły smaku i węchu nie funkcjonowały tak, jak powinny, była przemęczona i przechodziła coś w rodzaju grypy połączonej z zapaleniem płuc. Każdy domownik bardzo jej współczuł. Ku naszemu zdziwieniu chorobą nie został dotknięty nikt poza mamą, a w domu mieszka sześć osób. Mam wielopokoleniową rodzinę, przez co jeszcze bardziej baliśmy się skutków covidu. Głównie zamartwialiśmy się o babcię i prababcię. Ostatecznie objawy choroby dopadły tylko mamę, co nie zmienia faktu, że wszyscy podlegaliśmy kwarantannie. W ten oto sposób spędziłam cały listopad 2020 roku w domu, pod nadzorem policji.

Podczas pandemii służby miały obowiązek monitorować, czy osoby objęte kwarantanną przebywają w domach. Wprawdzie pamiętam tylko jeden przypadek, kiedy pod domem pojawił się radiowóz policyjny, ale mama opowiadała, że kilka razy nas sprawdzali. Dzwonili do niej nawet z prośbą o podejście do okna. Podczas kwarantanny trwały zdalne, więc od rana do popołudnia miałam lekcje, wieczorami zaś bywało niezmiernie nudno. Oglądałam filmy, seriale, a nawet grałam z kolegami z klasy w „Minecraft”. Ciekawostką jest, że trzech moich kolegów zbudowało naszą szkołę właśnie w tej grze. Z czasem oprócz szkoły powstały też okoliczne sklepiki, piekarnia, a nawet nasz miejski stadion. Ich projektem zachwycala się cała społeczność szkolna i nie tylko. Gotową miniaturę udostępnili uczniom i znajomym. Można było grać razem z nimi i obejrzeć ich dzieło od wewnątrz.

W tamtym czasie, kiedy nie mogłam wychodzić z domu, rozwinęłam też kontakty z klasą. Przynajmniej z jej częścią. Szczególnie dużo rozmawiałam z czwórką kolegów: I., K., M. i M., a także z dwiema koleżankami: I. oraz K. Często rozmawiałam przez telefon z M., z którym spotkałam się od razu po

zakończeniu kwarantanny. Długo wyczekiwałam wyjścia z domu, a kiedy to wreszcie nastąpiło, byłam przeszczęśliwa. Wychodziło się w масечkach, jednak nie było to dla mnie dużym utrudnieniem. Z czasem zaczęłam czuć się nawet pewniej ukryta za масечką, a dodatkowo było mi cieplej w nos, zwykle zimą wyglądałam jak Rudolf.

Pomimo iż zaczęłam sporadycznie wychodzić z domu, nadal trwało zdalne nauczanie. Ciągnęło się tak aż do maja 2021 roku. Jednak w styczniu nastąpił przełom. Pojawiłam się w szkole! Zostałam wybrana do nakręcenia reklamy naszej szkoły. To było dla mnie nowe wyzwanie i naprawdę twórcze doświadczenie. Niewielka grupa uczniów spotykała się w szkole przez kilka dni, towarzyszyło nam dwoje wynajętych montażyistów, którzy zajmowali się całym procesem powstawania reklamy oraz plakatów z ofertą naszego liceum. Podczas nagrywania pojedynczych scen mieliśmy okazję wykonać doświadczenie chemiczne, przyodziani w fartuchy laboratoryjne oraz okulary ochronne. Zaprezentowaliśmy również szkolne bluzy. W przerwach piliśmy herbatę, kawę i ogólnie rzecz biorąc, dobrze się bawiliśmy. Nagrania odbywały się w styczniu, ale wróciliśmy do szkoły ponownie w marcu, by sfilmować finalne ujęcie wyjścia z budynku i zrobić zdjęcia, które miały widnieć na plakatach. Muszę przyznać, że to miłe wspomnienia z liceum. Nastąpił jednak powrót do monotonnego życia w domu.

Ciąg dalszy zdalnego nauczania to ta sama historia. Nie będę tu opowiadać o nudnych lekcjach. Przytoczę jednak sytuację, podczas której w zabawny sposób zintegrowała się spora część klasy.

Razem z grupą znajomych wpadliśmy na pomysł, jak urozmaicić nieco lekcje. W internecie krążył wtedy trend polegający na przebieraniu się za duchy. Może nie była to halloweenowa sesja zdjęciowa na świeżym powietrzu, ale nasz żart dostarczył nam równie dużo radości i śmiechu. Postanowiliśmy przebrać się na godzinie wychowawczej. Nadeszła godzina duchów. W wyznaczonym momencie włączyliśmy kamery i na ekranach pojawiły się duchy w okularach przeciwsłonecznych, opaskach i innych zabawnych nakryciach głowy. Uwieczniliśmy tę chwilę, tworząc filmik zmontowany z naszych zdjęć. Żart udał się na tyle, że nawet nasza wychowawczyni dołączyła do trendu.

Może nie miała na sobie prześcieradła czy koca, ale założyła siwą perukę i okulary. Cieszyliśmy się, że w zabawny sposób udało nam się przerwać monotonny tryb zajęć.

Kiedy w maju wróciliśmy do szkoły, najpierw, przez bodajże dwa tygodnie, zajęcia odbywały się w trybie hybrydowym, co znaczy, że połowa klas miała zajęcia zdalne, a połowa stacjonarne. Potem wszystko wróciło do normy. Chociaż w zasadzie wiele się zmieniło. W szkole bardziej dbano o czystość i dezynfekcję. Chodziliśmy w масечkach, mierzono nam temperaturę, zwłaszcza wtedy, kiedy ktoś wyglądał na chorego. Osoby kichające lub kaszlące wysyłano do domu. Kiedy chciałeś wydmuchać nos, wychodziłeś do toalety, żeby tam umyć ręce. Dezynfekowaliśmy dłonie oraz ławki, nie wolno było nam wносить ubrań wierzchnich do sal lekcyjnych, aby nie przenosić na nich zarazków z komunikacji miejskiej itp. Z czasem wszystkie te zasady zaczęły zanikać, ale pierwsze tygodnie po powrocie do szkoły były bardzo dziwne.

Pod koniec maja, w celu zintegrowania się po tak długim odizolowaniu, zorganizowaliśmy wyjazd klasowy. Jechaliśmy około godziny autobusem, odbyliśmy pieszą wycieczkę i poszliśmy długim drewnianym pomostem do punktu widokowego. Z wysokiej wieży rozpościerał się piękny widok. Zrobiliśmy zdjęcia, po czym udaliśmy się na warsztaty lepienia z gliny. Kiedy nasze wytwory były gotowe, graliśmy w siatkówkę, jedliśmy kielbaski i śpiewaliśmy, siedząc wokół ogniska. Zabrałam ze sobą ukulele, na którym grałam, i w ten sposób stworzyła się przyjemna, wakacyjna atmosfera.

Ostatni miesiąc szkoły był już powrotem do uczniowskiej rzeczywistości. Omawianie zdalnych i zaliczanie przedmiotów przeplatało się z organizowaniem zakończenia roku szkolnego. Moja klasa przygotowywała apel, podczas którego miałam zagrać na ukulele dwie piosenki. To był mój pierwszy występ przed większą publicznością, nie licząc prób i wycieczki. Poza standardowym pożegnaniem szkoły zaśpiewaliśmy na koniec wspólnie piosenkę *Riptide*, która wypełniła szkolną aulę wakacyjnym klimatem.

Zakończył się rok szkolny, przyszła pora na wyrwanie się z domu. Szczególnie mówiąc, jedyne, co pamiętam z wakacji 2021, to mecze piłki nożnej oraz tygodniowy wyjazd na Lubelszczyznę. Jeździłam na mecze przyjaciela.

Na boisko najwidoczniej covid nie miał wstępu, zawodnicy nie biegaliby przecież w масечkach, jednakże część publiczności na trybunach jako tako przestrzegała obostrzeń. Siadało się dalej od nieznajomych, nieliczni nosili maski. Tak naprawdę covid wydawał się chorobą sezonową. Wyglądało to tak, jakby latem wyjeżdżał na wakacje i wracał, kiedy robiło się chłodniej. Jego obecność widoczna była w komunikacji miejskiej, w ośrodkach zdrowia, aptekach i większych sklepach, gdzie wymagane było noszenie масечek. Nie wszyscy stosowali się do takich nakazów, w końcu przez cały okres trwania pandemii część społeczeństwa uważała, że cały ten wirus nie istnieje. Oso- biście uważam, że covid, czyli najprawdopodobniej nowy rodzaj grypy czy inna dziwna choroba, istniał. Wpędził do grobu wiele osób, których organi- zmy nie obroniły się przed wirusem, jednakże nie bałam się zachorowania.

Ale wróć do wakacji. Zdecydowanie wydarzeniem, które najdokład- niej pamiętam i jak dotąd najlepiej wspominam, były odwiedziny u moich przyjaciół i rodziny. Powrót do byłego miejsca zamieszkania obudził wiele wspomnień. Odwiedziłam dziadków, ciotki, wujków, byłam nawet u zna- jomej fryzjerki, ale przede wszystkim spędziłam wspaniały tydzień z przy- jaciółmi, których przedstawiłam wcześniej. Nocowałam na wsi u dziadków A. i poznałam jej nowych znajomych, nocowałam też u J., z którą spędziłam całe dzieciństwo, widziałam się z koleżanką z podstawówki, plotkowałam z E. – przyjaciółką z technikum. Byłam też z grupą znajomych nad jeziorem, potem na grillu w altanie u kolegi i na czwartkowym zlocie motoryzacyjnym w Lublinie. Dzięki K. – motocykliście spełniłam swoje małe marzenie o jeź- dzie motocyklem i wzięciu udziału w tego typu imprezie. Będąc świadkiem zlotu tak wielu motocykli i aut, zarówno sportowych, jak i zabytkowych, nie mogłam odmówić sobie pamiątkowej sesji zdjęciowej. Zdecydowanie nigdy wcześniej nie przeżyłam tak intensywnego tygodnia. Nie miałam serca wyjeżdżać, ponownie żegnać się z przyjaciółmi. Dzielilo mnie od nich ponad siedem godzin podróży pociągami, doskonale wiedziałam, że nie zobaczę ich co najmniej przez następny rok, a kolejne pożegnania oznaczały kolejne ły. Niestety to, co dobre, szybko się kończy.

Resztę wakacji spędziłam już mniej efektownie. Widywałam się ze znajomymi z klasy, spędziłam weekend nad jeziorem, byłam na letnim seansie na świeżym powietrzu, a nawet bawiłam się ze znajomymi na koncertach z okazji rocznicy powstania naszego miasta, trwających trzy dni z rzędu. Krótko mówiąc, nie brakowało niewielkich aktywności i rekreacji. Mimo to nieustannie wspominałam najlepszy tydzień w życiu, dzieląc się ze znajomymi i rodziną historiami i zdjęciami z wyjazdu do Lublina.

Minęło lato, a wrzesień oznaczał powrót do szkoły. Ku mojemu zdziwieniu funkcjonowanie w szkole wróciło do normy. Pomimo tego, że covid prawie całkowicie wyparował z mojej codzienności, ostatnie oznaki pandemii zniknęły całkowicie dopiero pod koniec roku. W liceum wszystko toczyło się swoim rytmem. Zajęcia odbywały się w trybie stacjonarnym, mieliśmy nawet wycieczkę i nocowanie w szkole. Od września do końca sezonu byłam na trzech większych zlotach motocyklowych w okolicy, a w październiku zaczęłam swoją przygodę z siłownią oraz pracą w klubie sportowym w moim mieście. Chodziłam na mecze, nagrywałam relacje ze spotkań z poziomem murawy, a także uczestniczyłam w wywiadzie. Natomiast w listopadzie w miejskiej hali sportowej wraz ze szkolnym zespołem muzycznym poprowadziłam wspólne śpiewanie pieśni patriotycznych. To było naprawdę duże wydarzenie.

Wszystko wskazywało na to, że życie w mieście i okolicy wróciło do stanu sprzed pandemii.

Jedyną napotykaną przeze mnie oznaką ciągu dalszego pandemii był widok ludzi w maseczkach podczas podróżyowania pociągami. W tamtym czasie kilkakrotnie odwiedzałam znajomego, mieszkającego w sąsiednim województwie, co zmuszało mnie do zakładania maski. Nadal noszono maseczki w nielicznych miejscach, takich jak przychodnie, apteki czy sklepy. Mimo wcześniejszych większych wydarzeń, podczas których gromadziło się dużo ludzi, temat wirusa nadal budził nieprzyjemne skojarzenia. Jednak ostatni miesiąc roku 2021 spędziłam w wyjątkowym towarzystwie.

Dokładnie 6 grudnia, szkolny zespół miał kolejny występ. Tym razem nadaliśmy wyjątkowy nastrój otwarciu jarmarku bożonarodzeniowego,

który zdobił miejski rynek w okresie świątecznym. Śpiewając kolędy, uśmiechałam się do mamy i siostry, które uważnie obserwowały koncert. W pewnym momencie w tłumie dostrzegłam dwóch chłopaków, nieco starszych ode mnie, wpatrujących się w sam środek sceny. Tak się składa, że to akurat ja stałam właśnie w tym miejscu. Starając się unikać ich wzroku, skupiałam się na reszcie publiczności. Wieczorem po występie dostałam wiadomość, która w pewnym sensie zmieniła moje życie. Jeden z chłopaków spod sceny znalazł mój profil na Instagramie i zapytał, czy to ja śpiewałam na rynku. Okazało się, że chodziliśmy do jednego liceum. Nie przypominałam sobie jego twarzy, ale trudno się dziwić. Ledwo miesiąc spędziłam w szkole, potem ponad pół roku trwało zdalne nauczanie, a w maju jego rocznik pisał matury i kończył edukację. Po tygodniu obserwator zaprosił mnie na kawę. Zgodziłam się i w ten oto sposób poznałam J. Już w trakcie pierwszych spotkań nawiązaliśmy taki kontakt, jakbyśmy znali się od kilku lat. Świetnie czuliśmy się w swoim towarzystwie. Spotykaliśmy się niemal codziennie, przez co szybko stał mi się bardzo bliski.

Grudzień minął mi w szkole na uczestniczeniu w wolontariacie na stadionie oraz spędzaniu wolnych chwil ze znajomymi, głównie z J., który bardzo starał się o moją uwagę. Chodziliśmy do kawiarenek, restauracji, galerii i tak naprawdę dopiero wtedy, kiedy głowę miałam zajętą czymś innym, przestałam odczuwać skutki pandemii. Znacznie rzadziej jeździłam autobusem, ze względu na wolne od szkoły w czasie świąt, przez co nie widziałam już tak wielu osób w masceczkach jak dawniej. Kiedy chodziłam po mieście, miałam towarzystwo i moja uwaga skupiała się na mile spędzanym czasie.

Mogę powiedzieć, że dla mnie rozdział związany z wirusem zamknął się z końcem 2021 roku, kiedy byłam na pierwszej w życiu imprezie sylwestrowej, na którą zabrał mnie J. Ten wieczór pamiętam jako świetną zabawę, nijak niezwiązaną z pandemią, strachem czy maskami. Chociaż w pierwszych miesiącach 2022 roku głośno było o szczepieniach, nieliczni mieszkańcy nosili maski. Temat pandemii był aktualny, jednak dla mnie covid był już tylko wspomnieniem. Całą trzecią i czwartą klasę liceum spędziłam w szkole, nie było już zdalnych, nie nosiłam maski, dodatkowo nie zdziwi chyba nikogo

fakt, że towarzyszył mi J. – obserwator. W zasadzie towarzyszy mi do dziś jako osoba najbliższa mojemu sercu. Tak płyną nam już razem dwa lata.

Jeśli zdarzy się komuś przejmować pewnego rodzaju problemem, trudnościami czy przeszłością, radzę otoczyć się osobami, które odciągną go od takiego myślenia.

Pandemia była pewnym rozdziałem, który mimo iż wydawał się niezwykle monotonny i przygnębiający, wniósł do mojego życia szereg zmian. Wiele pożegnań, przeprowadzkę, zmianę otoczenia, nowe znajomości, nowe wyzwania, zainteresowania, ale także nowe uczucia i doświadczenia.

To wszystko, w mniejszym czy większym stopniu, wpłynęło na mnie i ukształtowało moją osobowość. Odizolowanie się od społeczeństwa z pewnością spowodowało, że stałam się osobą bardziej introwertyczną. Doceniałam czas, który spędzałam sama ze sobą. Z przykrością stwierdzam, że nieco zamknęłam się w sobie. Choć obecnie ludzie w moim otoczeniu tego nie dostrzegają, ponieważ uchodzę za osobę gadatliwą, zaradną i towarzyską, to tak naprawdę czuję, że wewnątrz mnie dzieje się znacznie więcej, niż widzą inni. Pandemia sama w sobie nie wpłynęła na moje zdrowie, jednak jej konsekwencje – zamknięcie w czterech ścianach, brak interakcji z drugim człowiekiem, zmieniły nastawienie nie tylko moje, lecz także społeczeństwa do kontaktów międzyludzkich, a nawet spotkań z bliskimi. Mam wrażenie, że obecnie ludzie szukają wszelkich sposobów, by unikać kontaktu. Widać to w codziennych sytuacjach, nawet tak prostych, jak zakupy. Większość ludzi korzysta z kas samoobsługowych, które nie wymagają interakcji. Wspomnienia związane z pandemią mogę podsumować jednym zdaniem. Niezależnie od tego, jak druzgocące, mroczne i trudne wydają się zmiany, zawsze należy szukać w nich choćby najmniejszych przeblysków światła.

Przyjaźń jako lekarstwo

W czasie pandemii trudno było mi się odnaleźć. Codziennie miałam tę samą rutynę: wstać rano, połączyć się na zajęcia, zrobić sobie jedzenie, obejrzeć serial i iść spać. Robiło się to coraz bardziej przytłaczające i często miałam wrażenie, że nie mam wirusa, ale czuję, że wyniszcza mnie brak kontaktu z ludźmi. Oczywiście widywałam się z moją mamą, babcią i czasami z moimi ciociami oraz wujkami, ale to nie było to samo. Czułam potrzebę wyjścia i porozmawiania z rówieśnikami.

Pandemia zaczęła się, kiedy byłam w połowie pierwszej klasy liceum. Wtedy jeszcze nie do końca znałam moją klasę, a rozwinięcie znajomości nie było możliwe przez nakaz siedzenia w domu. Jedynym moim przyjacielem był moja kotka – Perelka, która spała ze mną, jadła i siedziała ze mną na e-lekcjach. Często rozmawiałam z nią jak z przyjaciółką. Tak samo było z moją mamą, która jako jedyna wychodziła z domu i miała kontakt z innymi.

Chciałam wyjść z tej rutyny i znaleźć sobie nowe hobby bądź zajęcie na dłuższy czas. Próbowalam malować, śpiewać lub tańczyć, ale nic nie sprawiało mi dużej przyjemności i zaczynało mi się nudzić po krótkim czasie. Zaczęłam też grać w przeróżne gry, mając nadzieję, że znajdę tam wenę i poszukam innych sposobów na spędzenie czasu. Podczas grania poznawałam nowych ludzi, ale kontakt z nimi nigdy nie był zbyt trwały. Zawsze popisaaliśmy przez tydzień albo dwa i konwersacje się urywały albo brakowało nam tematu do rozmów.

Po pewnym czasie nadszedł wrzesień i miałam rozpocząć drugą klasę liceum. Okazało się, że wracamy do szkoły i zaczynamy znowu normalne funkcjonowanie. Pomyślałam, że będzie to idealna okazja na polepszenie kontaktów z klasą i zawarcie nowych przyjaźni. Chodziliśmy po korytarzach

w maseczkach i musieliśmy trzymać odstępy. Czasami słyszało się na korytarzach, że nie ma pewnej klasy, ponieważ okazało się, że ktoś był chory, więc cała klasa musiała iść na kwarantannę. Ja się tym za bardzo nie przejmowałam i korzystałam z możliwości wyjścia oraz rozmawiania z innymi.

Moja radość z wyjścia na powietrze nie trwała zbyt długo, ponieważ przed końcem października okazało się, że połowa mojego liceum idzie na kwarantannę, a po dwóch tygodniach – reszta. Pomyślałam, że po tym czasie wszystko wróci do normy, jednak tak się nie stało...

W poniedziałek miałam przyjść normalnie do szkoły, więc zaczęłam się pakować. Niespodziewanie mama weszła do mojego pokoju, była lekko przybita.

– Wszystko dobrze, mamu? Coś się stało? – spytałam, będąc ciekawa, czemu jej wyraz twarzy był taki smutny.

– Właśnie dostałam wiadomość od twojej wychowawczynie, w której napisała, że zostajecie w domu. Będziesz miała znowu lekcje online... – powiedziała spokojnie, a jej wzrok sprawiał wrażenie, jakby oczekiwała mojej reakcji.

Niestety nie byłam w stanie nic powiedzieć, więc jedynie skinęłam głową, a mama wyszła z pokoju. Położyłam się na łóżku i westchnęłam z bezradności, po czym postanowiłam pójść spać wraz z moją kotką, która patrzyła na moją konwersację z mamą.

Przez cały listopad i połowę grudnia moja rutyna z pierwszych zdalnych wróciła, ale była jeszcze bardziej przytłaczająca. Zaczynałam coraz częściej grać w gry, żeby nie myśleć o tym wszystkim, co się dzieje teraz na świecie. Nie zawierałam już zbyt często nowych znajomości, a bardziej preferowałam samotne granie w gry.

Święta Bożego Narodzenia zbliżały się coraz bardziej i musiałam pomagać mamie w porządkach i gotowaniu. Codzienne granie znudziło mnie, więc postanowiłam poszukać nowych piosenek do słuchania albo nowego serialu do obejrzenia.

Podczas pewnego wieczoru, gdy zaczynałam już oglądać trzeci sezon *The Walking Dead*, usłyszałam dźwięk powiadomienia z mojego telefonu. Wzię-

łam go do ręki i zobaczyłam imię, którego dawno nie widziałam i którego dawno nie słyszałam: Klara... Była moją przyjaciółką od dziecka i znałyśmy się całe życie. Jest młodsza ode mnie o dwa lata, ale nigdy nam to nie przeszkadzało w zadawaniu się czy spędzaniu razem czasu. Zawsze potrafiłyśmy znaleźć wspólny język i nigdy się razem nie nudziłyśmy. Nasz kontakt urwał się, kiedy poszłam do siódmej klasy, ponieważ miałam coraz więcej nauki i nie wychodziłam tak często ze znajomymi. Przestałyśmy wychodzić razem i nie pisałyśmy ze sobą wcale.

Na ekranie mojego telefonu widniała najzwyczajniejsza wiadomość, ale miała dla mnie duże znaczenie: „Hej”. Przez chwilę wpatrywałam się w telefon i zastanawiałam się, co mam odpisać. Ostatecznie jedyne, co odpisałam, to „Hejka”. Kilka sekund później odpisała mi wiadomością: „Grałaś może w VRChata?”. Zaśmiałam się pod nosem, ale odpisałam jej, że tak, po czym spytała mnie, czy mam może ochotę z nią zagrać. Po chwili zastanowienia zgodziłam się i usiadłam przy biurku, żeby włączyć komputer. Po uruchomieniu gry znalazłyśmy się na mapie i zaczęłyśmy grać z innymi ludźmi. Po kilku godzinach spędzonych na grze, śmianiu się i poznawaniu nowych osób postanowiłam, że pójdę już spać. Po krótkiej wymianie zdań z Klarą umówiłam się z nią na wspólne granie. Poszłam się umyć, przebrać w piżamę i położyłam się w łóżku. Zaczęłam sobie przypominać śmieszne sytuacje z Klarą. Jedną z naszych przygód, o której wcześniej zapomniałam, miała dla nas wielkie znaczenie. Był to dzień, w którym się poznałyśmy, i stało się to, jak miałam sześć lat, a Klara cztery...

Było zimowe popołudnie i patrzyłam przez okno na padający śnieg. Przed moim domem znajdowało się pole, które zamarzło i stworzyło dosyć spore lodowisko. Przyszło tam kilku moich nastoletnich sąsiadów i wszyscy razem dobrze się bawili. Postanowiłam spytać mamy, czy mogę wyjść, i się zgodziła, ale poprosiła, żebym dla bezpieczeństwa poszła tam z moim tatą. Ubrałam się dosyć ciepło i wyszłam na „moje lodowisko”. Zauważyłam dziewczynkę, która była trochę młodsza ode mnie i próbowała udawać, że jeździ na łyżwach, ale coś jej nie wychodziło. Chciałam do niej podejść, ale się poślizgnęłam i upadłam centralnie przed nią. Ona zaczęła się śmiać i straciła równowagę,

przez co sama upadła. Dalej się śmiała, a ja zaczęłam chichotać razem z nią. Nawzajem pomogłyśmy sobie wstać i powoli uspokoiłyśmy się. Po chwili wyciągnęła do mnie rękę i spojrzała mi w oczy z uśmiechem.

– Hejka, mam na imię Klara – jej głos był delikatny i nieco wyższy od mojego. Lekko złapałam jej rękę i potrząsnęłam nią.

– Hej, ja mam na imię Julia – uśmiechnęłam się lekko i cofnęłam rękę.

– Chcesz się może ze mną pobawić?

– Jasne, że chcę. Od teraz jesteś moją przyjaciółką! – powiedziała z entuzjazmem i zaśmiała się.

Zaśmiałam się razem z nią i skinęłam głową.

– Oczywiście, że tak! I to najlepszą! – Złapałam ją za rękę i zaczęłyśmy razem jeździć po lodzie, co chwilę się wywracając.

Bawiłyśmy się tak razem przez dobre kilka godzin, aż zaczęło się robić ciemno. Podczas jednego z napadów śmiechu dostrzegłam na śniegu długi cień i odwróciłam się. Zobaczyłam mojego tatę, który się lekko uśmiechał. Złapał mnie za rękę i spojrzał na Klarę.

– Przepraszam, Klaro, ale Julia musi już iść do domu. Jest bardzo późno i twoja siostra też na ciebie czeka. Możecie się spotkać jutro, jeśli będziecie chcieli. – Mój tato skinął głową w stronę kogoś stojącego za Klarą i obydwie tam spojrzałyśmy.

Przy drodze kilka metrów od nas stała Ania, siostra Klary, trzymając w jednej ręce łyżwy, na których wcześniej jeździła. Klara spojrzała na mnie i lekko mnie przytuliła.

– Spotkamy się jutro. Cześć, Julia! – powiedziała i pobiegła do swojej siostry.

Wstałam i zaczęłam iść w stronę domu, trzymając tatę za rękę.

Zaśmiałam się na to wspomnienie i westchnęłam, przypominając sobie, że tak zaczęła się nasza długa przyjaźń. Ułożyłam się wygodnie w łóżku i przykryłam kołdrą z zamiarem pójścia spać. Moja kotka miała jednak inne plany i wskoczyła na mnie, oczekując ode mnie głaskania. Uśmiechnęłam się i zrobiłam trochę miejsca, żeby Perelka położyła się ze mną. Ona chętnie

wtuliła się w moje ręce i po chwili zasnęła. Ja postanowiłam iść w jej ślady, lekko ją objęłam i kilka minut później spokojnie sobie spałyśmy.

~*~ Następnego dnia ~*~

W sobotę rano obudził mnie budzik, ponieważ zapomniałam go wyłączyć. Wzięłam telefon do ręki i na ekranie zobaczyłam wiadomość od Klary: „Hejkaa, chcesz może potem razem pograć albo coś??”. Zaśmiałam się pod nosem i szybko jej odpisałam: „Hejkaa!! Jasne, ale muszę się trochę ogarnąć i potem możemy w coś razem zagrać”. Odczytała wiadomość i wysłała mi serduszek. Odłożyłam telefon i poszłam zjeść śniadanie razem z Perełką. Zrobiłam sobie tosty i poszłam na górę lekko się umalować i przebrać. Podczas ogarniania się włączyłam muzykę, ponieważ mój stosunek do niej bardzo się zmienił przez pandemię i słuchanie piosenek stało się moją codzienną rutyną. Mogłabym słuchać jej godzinami, ale nie o tym rzecz... Kiedy byłam gotowa, włączyłam laptop i zadzwoniłam do Klary. Chwilę pogadałyśmy i zaczęła się nasza kolejna kilkugodzinna przerwa na granie i śmianie się ze wszystkiego.

W czasie szukania nowych dostępnych modułów gier Klara na chwilę zamilkła, po czym wypowiedziała słowa, które lekko mnie wzruszyły, ale też ucieszyły:

– Brakowało mi ciebie... – jej głos był niepewny, ale można było wyczuć, że słowa były szczere.

– Ja też za tobą tęskniłam, i to nawet bardzo – odpowiedziałam jej z uśmiechem na ustach, czego nie mogła dostrzec, bo nie miałyśmy włączonych kamerek.

Klara cicho się zaśmiała.

– Mam śmieszny pomysł, ale jest dosyć ryzykowny i nie wiadomo, jak skończymy – odezwała się z wyczuwalną w głosie tajemniczością. Skubana, dobrze mnie znała i wiedziała, że mnie tym jeszcze bardziej zaciekawi.

– Jeśli mi zaraz nie powiesz, to źle się to dla ciebie skończy – odezwałam się niskim głosem, żeby zabrzmieć groźnie, co mi się oczywiście nie udało, bo obie wybuchłyśmy głośnym śmiechem.

– Dobra, dobra... Co ty na to, żeby w nocy wymknąć się z domów i gdzieś się spotkać? Dawno się nie widziałyśmy i strasznie mam ochotę wyjść i porobić coś razem, jak kiedyś... – wykrztusiła w końcu po uspokojeniu się.

Propozycja Klary mnie zaciękała i potrzebowałam chwili, żeby wszystko przemyśleć. Spotkanie z nią bardzo by mi się przydało i chciałabym w końcu wyjść z domu, żeby nie musieć tu ciągle siedzieć, ale jednocześnie czułam lekką niepewność, czy ktoś nas nie przyłapie. Jednak po krótkim namyśle zgodziłam się i zaczęłyśmy planować, jak to będzie wyglądało i jakim cudem wymkniemy się z domów.

Nasz plan był dosyć prosty: postaramy się jak najciszej wyjść z pokoi i zejść na dół schodami. Otworzenie drzwi nie było trudne, więc żadna z nas nie miałaby z tym problemu. Miałśmy się spotkać na małym mostku, dokładnie w połowie drogi do siebie. Chciałyśmy pójść do pobliskiego sklepu, jeśli jeszcze byłby otwarty, i potem zrobić sobie spacer na plac zabaw, obok którego jest altanka z krzesłami i stołami. Myślałyśmy, żeby pobyc tam z godzinkę albo dwie i bezpiecznie wrócić do domu. Po ustaleniu jeszcze kilku detali pożegnaliśmy się i nasza rozmowa się skończyła. Spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że mam jeszcze około 4 godzin do umówionego spotkania, więc bez żadnego stresu czy pośpiechu włączyłam trzeci sezon *The Walking Dead* i kontynuowałam oglądanie, a potem zrobiłam sobie makaron ze szpinakiem i poszłam do pokoju trochę się zrelaksować.

Kiedy wybiła 20.30, po cichu zesłam na dół i szybko włożyłam kurtkę, buty, szalik i czapkę. Dla pewności, że nikt nie zauważy mojego wyjścia, chwilęostałam w bezruchu i gdy byłam pewna na 100 procent, że wszystko jest w porządku, wyszłam z domu i zamknęłam drzwi swoim kluczem. Poczułam ekscytację i zaczęłam iść w kierunku miejsca naszego spotkania. Padał lekki śnieg, a drogi były śliskie, przez co prawie się wywróciłam, ale moja równowaga była teraz o wiele lepsza niż wtedy, gdy byłam mała, więc kontynuowałam spacer w stronę mostku.

Kiedy byłam blisko, zobaczyłam, że Klara już na mnie czeka, więc lekko przyspieszyłam. Gdy podeszłam do niej, od razu mocno się przytuliłyśmy

i stałyśmy tak przez 2 minuty. Po uspokojeniu się spojrzaliśmy na siebie nawzajem i zaczęłyśmy się śmiać.

– No to co? Idziemy na soczek? – spytałam, sugestywnie poruszając brwiami, na co ona pokiwała głową i złapała mnie za rękę.

– Jasne, kochana. – Pociągnęła mnie w stronę sklepiku, w którym zamierzałyśmy kupić sobie przekąski na mały piknik.

Wyrównałam swoje tempo z Klarą i spojrzałam na nią.

– Masz ze sobą maseczkę? Bo idziemy do sklepu, więc żeby nie było żadnego przypału... – Wyciągnęłam maseczkę jednorazową z kieszeni i pomachałam Klarze przed twarzą. Ku mojemu zdziwieniu ona zrobiła to samo. Skinęłam jej głową i weszłyśmy razem do sklepiku.

Po wejściu szybko wzięłyśmy potrzebne nam rzeczy, czyli soki, żelki i chrupki. Podeszłyśmy do lady i próbowałyśmy udawać, że jesteśmy całkowicie normalne i nie uciekłyśmy właśnie z domów, co było niedozwolone. Szybko zapłaciłyśmy za nasze rzeczy i zanim pani kasjerka zdążyła zrozumieć, co się dzieje i kim jesteśmy, złapałyśmy nasze zakupy i wybiegłyśmy ze sklepu.

Przebiegłyśmy dwieście metrów i zatrzymałyśmy się, żeby się uspokoić i ustalić, dokąd chcemy iść: do lasu czy na plac. Ku mojej radości wybrałyśmy las i skierowałyśmy się w jego stronę.

Podczas kilku godzin tam spędzonych zjadłyśmy wszystko, co miałyśmy, pogadałyśmy sobie o wszystkim i włączyłyśmy latarki, żeby przejść się po lasu. W czasie naszej małej wycieczki rzucałyśmy się śnieżkami, biegałyśmy po całym lesie, turlałyśmy się z małych pagórków i oglądałyśmy gwiazdy.

Po kilku wspólnie spędzonych godzinach spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że jest 23.30, co oznaczało, że lepiej by było już wracać do domu. Spacerkiem ruszyłyśmy w drogę powrotną. Odprowadziłam Klarę pod dom i ją przytuliłam.

– Chcesz jeszcze potem pograć? Jak wrócę do domu, to się wykąpię i możemy znaleźć jakąś nową grę. – Uśmiechnęłam się lekko, wypowiadając te słowa.

Klara pokiwała kilka razy głową i przytuliła mnie jeszcze raz.

– Jasne, że pewnie. Z tobą zawsze, kochana... Ty to moja bogini i muszę z tobą zagrać, bo inaczej nie wytrzymam. – Klara westchnęła dramatycznie, a ja prześmiewczo przewróciłam oczami.

– No już, już... Nie płaszcz się, tylko idź się ogarnij i idziemy grać, stara. – Popchnęłam ją w stronę drzwi i zaczęłam się kierować w stronę własnego domu.

Słyszałam jeszcze, jak Klara coś mamrocze i śmieje się, ale nie zwracałam na to dużej uwagi. Włożyłam słuchawki do uszu, żeby umilić sobie czas muzyką, i wróciłam do domu. Kiedy otworzyłam drzwi, ostrożnie zdjęłam kurtkę i buty, szybko poszłam do łazienki, gdzie wzięłam szybki ciepły prysznic, a potem weszłam do pokoju, by włączyć laptopa i zacząć grę z Klarą, która wysłała mi wiadomość, że jest gotowa i żebym do niej dołączyła.

~~~ Kilka dni później ~~~

Obudziłam się rano i spojrzałam na telefon: 24 grudnia. Poderwałam się łóżka i szybko zbiegłam na dół. Wykonałam moją poranną rutynę w kilka minut i weszłam do kuchni. Moja mama i babcia już tam były, a Perelka weszła razem ze mną. Usiadłam przy stole i zaczęłam jeść szybkie śniadanie, kiedy usłyszałam głos mamy.

– Wiemy, że jest pandemia i nie można się spotykać, ale twój chrzestny z ciocią przyjedzie do nas. Nie chcą spędzać świąt w domu, więc będą u nas na kolacji – powiedziała z lekkim zmęczeniem, smażąc karpia.

Uśmiechnęłam się szeroko i przytaknęłam.

– Pomogę przy jedzeniu, nie bójcie się. – Odłożyłam talerz po śniadaniu do zlewu i umyłam ręce, gotowa do działania.

Przez cały ranek i południe pomagałam mamie i babci w kuchni. Zrobiliśmy razem pierogi, uszka, barszcz, ryby i salatkę. W czasie przygotowywania dań upiekły się pierniczki i uznałam, że nieco je ozdobię, żeby nie były takie nudne. Po przygotowaniu jedzenia poszłam do swojego pokoju, żeby się ubrać w miarę odświętnie, ułożyć włosy i zrobić lekki makijaż. Kiedy uznałam, że wyglądam dobrze, zeszłam na dół. Skierowałam się do salonu,

żeby porozkładać talerze, sztucce i szklanki. Mama zaczęła stawiać na stole ciepłe dania.

– Córku, idź, stań przy drzwiach i czekaj na wujka z ciocią. Zaraz powinni tu być.

Po jej słowach podeszłam do drzwi i oczekiwałam na gości, którzy niebawem przyszli.

Kolacja minęła nam w bardzo wesołej atmosferze: rozmawialiśmy, śmialiśmy się i jedliśmy. Spędziliśmy przy stole ze 3 godziny, a pod koniec otworzyliśmy swoje prezenty. Dostałam nowe perfumy, trochę kosmetyków, wymarzoną bluzę, pieniądze i dużo słodczy. Po wyjściu gości pomogłam mamie posprzątać naczynia, wzięłyśmy trochę ciasta i poszłyśmy włączyć w moim pokoju „Kevina samego w domu”, a potem „Holiday”. To już jest u nas klasyk...

Kiedy filmy się skończyły, moja mama poszła spać, a ja wzięłam Perelkę na ręce i usiadłam przy biurku. Spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że jest prawie północ. Uruchomiłam laptopa i włączyłam sobie „Grincha”. W czasie oglądania trochę popisałam z Klarą, która była teraz u rodziny w Poznaniu. Napisała mi, co dostała pod choinkę i jak minęła jej kolacja. Ja jej krótko opisałam swój dzień i kolację z wujostwem. Umówiliśmy się, że jak wróci z Poznania, to się spotkamy i zrobimy sobie nocowanie na sylwestra.

Po tej krótkiej wymianie zdań pożegnałyśmy się i rozłączyłam się z Klarą. Dokończyłam oglądać bajkę i zamknęłam laptopa. Podniosłam śpiącą już Perelkę i położyłam na łóżku, po czym wyłączyłam światelka i ułożyłam się obok niej, żeby chwilę potem zasnąć.

~\*~ W sylwestra ~\*~

W sylwestra Klara przyszła do mnie po południu i postanowiłyśmy zrobić jakieś jedzenie. Miałśmy ogromną ochotę na coś słodkiego, więc zrobiłyśmy babeczki czekoladowe, pizzę i sałatkę, po czym poszłyśmy do sklepu, żeby szybko kupić żelki i soki.

Potem zaczęłyśmy przygotowywać wszystko do imprezy. Udekorowałyśmy mój pokój kolorowymi balonami, serpentynami i lśniącymi girlandami.



Ustawiliśmy jedzenie na stoliku, wzięliśmy jeszcze nasze napoje, chrupki i szampana bezalkoholowego. Wieczorem włączyliśmy sobie jakieś filmy, pograliśmy w przeróżne gry, słuchaliśmy muzyki, śpiewaliśmy, tańczyliśmy i zrobiliśmy sobie mocne, ale ładne makijaże. W międzyczasie zadzwoniłyśmy jeszcze po moją sąsiadkę – Wiktorię, która postanowiła do nas dołączyć. Świetnie się z nią bawiliśmy i zrobiliśmy sobie dużo zdjęć i filmików.

O północy wyszliśmy na dwór, żeby zobaczyć fajerwerki. Stanęliśmy w idealnym punkcie, na niebie wokół nas strzelały piękne, wielokolorowe światła. Zdecydowaliśmy, że jeszcze się przejdziemy po okolicy.

Spacerek zajął nam ponad pół godziny i kiedy zrobiło nam się naprawdę zimno, skierowaliśmy się do domu. Po powrocie zjadliśmy pizzę i wypiliśmy szampana. Oczywiście był to szampan bezalkoholowy, ponieważ jesteśmy jeszcze niepełnoletnie.

Całą noc się śmiałyśmy, śpiewaliśmy i świętowaliśmy Nowy Rok. Około godziny 3 Wiktoria poszła do domu, a ja z Klarą szybko posprzątałyśmy i położyłyśmy się spać. Sylwester spędzony z koleżankami w domu był naprawdę wyjątkowy i świetnie nam się udał. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszego sposobu na powitanie Nowego Roku niż w towarzystwie Klary i Wiktorii.

~\*~ Pierwsza zabawa w śniegu ~\*~

Był mroźny zimowy poranek, a ja i Klara miałyśmy za zadanie znaleźć najbardziej efektowne miejsce z dużą ilością śniegu i urządzić sobie bitwę na śnieżki. To była zdradliwa podróż, ale byłyśmy zdeterminowane, aby dotrzeć do celu. Całe drogi były pokryte lodem i trudno nam się szło. Naszym celem było pole mojego wujka obok lasu. Musiałyśmy przejść przez śliskie drogi, wejść pod stromą górkę i przejść obok lasku.

W końcu dotarłam z Klarą na szczyt wzgórza. Mogłyśmy zobaczyć grubą, nieprzerwaną warstwę śniegu rozciągającą się przed nami. Zaczęłam pracować nad swoim arcydziełem, zbierając śnieg, ugniatając go i kształtując w idealne kulki. Klara była zajęta lepieniem małego bałwana.

W miarę upływu dnia wiatr stawał się silniejszy, a śnieg coraz gęstszy. Przez to, że nie przestawało sypać, obydwie byłyśmy po kolana w śniegu.

Ale nic nas nie powstrzymywało – byliśmy skupione i zdeterminowane, aby ulepić najlepszego bałwana i urządzić bitwę na śnieżki, jakiej nikt nigdy jeszcze nie widział.

Wreszcie po czasie, który wydawał się godzinami, we dwie stworzyliśmy arcydzieło w postaci ogromnego bałwana, pokrytego cały czas padającym na niego śniegiem. Był wyższy ode mnie i bardzo okrągły. Lodowa góra zrobiona ze śnieżek nie przetrwała długo, ponieważ w czasie lepienia bałwana zaczęliśmy w siebie rzucać i cała nasza praca poszła na marne, ale zabawa była super.

Byliśmy wyczerpane jak nigdy w życiu, ale stworzyliśmy kolejne bardzo wyjątkowe wspomnienia. Położyliśmy się na śniegu i uśmiechnęliśmy do siebie, otoczone śnieżnym krajobrazem lasu i pagórka. Gdy dzień zamienił się w noc, Klara wróciła ze mną do domu. Byliśmy obolałe i zmarznięte, ale uśmiechy nie schodziły nam z twarzy. Uznaliśmy, że naszym pracom nikt nie dorówna i zasługujemy na nagrodę w postaci gorącej czekolady z piankami. Położyliśmy się w moim łóżku i włączyliśmy sobie nasz ulubiony serial.

Podczas oglądania zdałam sobie sprawę, jak bardzo Klara pomogła mi w czasie pandemii i jak strasznie mi jej brakowało przez długi czas. Nasza przyjaźń i wszystkie wspomnienia sprawiły, że uśmiech wrócił na moje usta, a moja monotonna codzienność zmieniła się diametralnie i zaczęła mi się podobać.

Skończyłam moje krótkie przemyślenia i spojrzałam na Klarę, która już zasnęła. Cichutko wstałam, wyłączyłam laptopa oraz światło, po czym położyłam się obok niej i poszłam spać. W nocy jeszcze wskoczyła na mnie Perelka, ale to już było dla mnie normą.

Takim oto sposobem odnowiona przyjaźń stała się moim lekarstwem...



## Wiatr zmian

Słoneczny poranek. Właśnie tak zapamiętałem początek tego dnia. Szybka pobudka, papieros wypalony na balkonie i byłem gotowy na kolejny dzień w szkole. Na chemii, która była pierwszą lekcją tamtego dnia, dowiedziałem się, że nie poprawiłem ostatniego sprawdzianu wystarczająco dobrze i najwyraźniej dalej jestem zagrożony. Kurwa. Płkanie przez połowę dnia do piosenek Kultu zapewne nie pomogło w mojej sytuacji, ale mówi się trudno. Po chemii uciekłem ze znajomymi z myślą, że tego dnia nic już nie uratuje, a rodzice i tak będą wściekli za chemię, więc kolejne nieobecności wiele nie zmienią. Czyżby znowu wygrała najgorsza możliwa opcja, na jaką mogłem się zdecydować? Najwyraźniej. Wagary miały całkiem spokojnie, siedzieliśmy na stadionie, paląc fajki, a ja na chwilę zapomniałem o większości codziennych zmartwień, kiedy nagle dowiedzieliśmy się o zamknięciu szkół przez rząd z powodu pandemii...

Byłem w szoku. Oczywiście żartowaliśmy, że w końcu dwa tygodnie imprez. Pojawiło się określenie „koronaferie”. Wszystko zmieniło się po powrocie do domu. Rodzice jednak nie byli aż tak wściekli z powodu chemii, mama nawet załatwiła mi korepetycje, ale to nie było głównym tematem tamtego dnia. W domu dominowała atmosfera niepewności, rodzice martwili się, co dalej z pracą, pojawiły się kolejki w sklepach. Wyglądało na to, że sytuacja w całym kraju jest poważna, wprowadzono stan wyjątkowy, a wszystkie media mówią o pandemii, więc siłą rzeczy my też zaczęliśmy o niej mówić i myśleć. Zaszyłem się w swoim pokoju. Wiedziałem, że powinienem być teraz z rodzicami i siostrami, przegadać jakoś ten trudny moment, ale zwyczajnie czułem, że muszę pobyć sam. I tak pewnie byśmy się pokłócili o nieobecności w szkole, która mnie przytłacza, wypominanie mi znajomości z ludźmi,

z którymi zerwałem kontakt po dostaniu się do szkoły, czy też o brak postępów w nauce, na którą zwyczajnie nie mam siły. Szykował się długi okres pełen napięcia, niepewności i psychicznego dołka, w jakim się znalazłem, sam już nie wiem, jak i kiedy. Najgorsze, że teksty KSU, Rewizji i The Analogs nie przynosiły mi ukojenia, bo zwyczajnie nie miałem już ochoty na bunt. Czulem, że punkowe ideały przestają do mnie pasować, i zacząłem uporczywie myśleć nad tym, że tak właściwie nic nie umiem i nie wiem, co dalej, a od dłuższego czasu jedyne, co mi wychodzi, to niekończąca się prokrastynacja, popadanie w kłopoty i do niedawna nie najlepsze towarzystwo. Innymi słowy – zostałem zamknięty w swoim pokoju sam na sam ze swoimi myślami. Miałem kompletnie przesrane i nie wiedziałem, co z tym faktem zrobić. Każda chwila utwierdzała mnie w ciągnącym w dół przekonaniu, że jedyne, co mi pozostało, to siedzenie w pokoju, czekanie sam nie wiem, na co, i gapienie się w ścianę, jakby to miało cokolwiek zmienić.

Pierwszy tydzień minął mi na powolnym zatapianiu się we wszechobecną atmosferę nerwowego napięcia i niepewności. Było jeszcze za wcześnie, by mówić o przyzwyczajaniu się do zaistniałej sytuacji, ale mogę chyba powiedzieć, że na tym etapie po prostu zaakceptowałem, że coś takiego się wokół mnie dzieje. Zacząłem dużo rozmyślać o tym, jak krucha jest otaczająca mnie rzeczywistość. Do tej pory wszystko wydawało się takie stałe, powszechny spokój był niemal dogmatyczny, a tym czasem okazywało się, że to wszystko może się tak po prostu zmienić, że nic nie jest nam dane na zawsze. Rodzice zaczęli często wyjeżdżać na działkę, by odetchnąć świeżym powietrzem. Była to jakaś forma ukojenia, zacząłem naprawdę doceniać naturę. Nie ukrywam, zdziwiło mnie, jak pocieszające potrafią być tak przyziemne rzeczy, jak las, słońce czy cisza. Dużo pisałem ze znajomymi, czulem, jak bardzo brakuje mi kontaktu z innymi ludźmi, najbardziej chyba brakowało mi Adama. Byliśmy wtedy naprawdę bliskimi przyjaciółmi, jeszcze od podstawówki, w której, mówiąc obiektywnie, nie byliśmy zbyt lubiani. Połączyła nas niechęć do większości rówieśników, przez co jeszcze bardziej wpadaliśmy w rolę outsiderów.

Miałem z nim sporo do przegadania, zwłaszcza o muzyce. Przestał mi się podobać punk, za to bez reszty zakochałem się w black metalu. Właściwie z dnia na dzień wpadłem w uściski brutalnej mrocznej muzyki, która zdawała się przewiercać mnie na wylot i wprost idealnie odzwierciedlała to, jak się czułem. Zamieniłem Rewizję i KSU na Darkthrone, Immortal oraz Marduka. Czułem, że kompletnie mnie to pochłonęło. Zacząłem spać w szafie. Było niewygodnie jak cholera, ale noce spędzone na zamknięciu w ciasnej przestrzeni, w kompletnej ciemności, z mroczną muzyką jakimś cudem poprawiły mi nastrój. Adam też słuchał podobnych rzeczy, więc zaczęliśmy dość intensywnie wymieniać się zespołami i płytami. Kiedy tylko obostrzenia lekko zelżały, spotkaliśmy się. Oczywiście nadal przeszkadzały mi jego poglądy (neonazista) oraz niezrozumiana przeze mnie po dziś dzień zazdrość o znajomych z liceum, ale mimo wszystko miło było go zobaczyć i zaznać jakiegoś starego elementu w nowej rzeczywistości. Wszystko wydawało się proste i zwyczajne, jakby wyrwane z tego całego chaosu. Poszliśmy na nasz murek przy torach, żartowaliśmy z nauczycieli z podstawówki, a ja po prostu chwytalem moment pełen wulgarnych żartów, wspomnień, paskudnego krajobrazu torów, zadrapanego murka i nieremontowanego dworca, na którym z nieznanego mi powodu lubiliśmy przesiadywać, kiedy robiło się chłodniej. Zauważyłem też jego rozbawienie całą pandemią. Nigdy nie traktował większości spraw społecznych poważnie, jednak to wydało mi się naprawdę dziwne, lecz nie skomentowałem.

Minął pierwszy miesiąc. Chyba zacząłem się przyzwyczajać. Moim codziennym rytuałem stało się wychodzenie na poranne i wieczorne spacerować po okolicy, tak żeby pooddychać świeżym powietrzem, zapalić na ulubionej ławce i w spokoju pomyśleć. Mroczna muzyka weszła we mnie całkowicie i umila mi dni spędzone na prokrastynacji, która znowu zaczęła mnie pochłaniać. Od przyszłego roku mamy przejść na zdalne nauczanie, na razie tylko wysyłają nam zadania przez Librusa. Staram się wszystkie odsyłać, chociaż nie widzę w tym większego sensu, bo nikt ich nawet nie sprawdza. Staram się o tym nie myśleć, poprawiłem parę ocen, pomalutkę wychodzę z zagrożeń i chcę się poprawić. Odnoszę wrażenie, że dorosłem, w minimalnym stopniu,

ale jednak to zawsze coś. Zbliżyliśmy się ze znajomymi ze szkoły, wygląda na to, że jestem częścią jakiejś grupy i w końcu trafiłem na w miarę normalne środowisko. Do tej pory albo byłem sam, albo zadawałem się z ludźmi, których dzisiaj określam jako patologia. Zerwałem kontakt z Emilą, koleżanką jeszcze z czasów dziwnych znajomości. Jeszcze przed pandemią przestałem traktować tę znajomość poważnie. Emila nie przyszła nawet na moje urodziny, a epidemia i związana z nią izolacja sprawiły, że łatwiej było się po prostu nie odzywać, i kontakt sam się urwał. Wygląda na to, że podlewałem martwą roślinę. I tak ciągnęła mnie w dół złymi pomysłami, a wszystkie moje gorsze cechy zdawały się przy niej rozkwitać. W sumie dobrze się stało. Spędzam też czas z Adamem, ale to nie przynosi mi już takiej frajdy jak kiedyś. Mam dość słuchania tego nazistowskiego syfu, w dodatku odnoszę wrażenie, że mną manipuluje, celowo obniżając mój nastrój. Ale oczywiście nic z tym nie zrobię, no bo, kurwa, po co się odezwać i pokazać, że ma się własne zdanie, lepiej siedzieć cicho w komforcie i udawać, że nie widzi się, że twój do niedawna najlepszy przyjaciel traktuje cię jak swoją marionetkę i przy okazji obraża twoje poglądy, znajomych i właściwie całego ciebie. Bardziej od prokrastynacji nienawidzę tylko uległości, a ta najwyraźniej znowu bierze nade mną górę. Zupełnie jak wtedy, gdy nie miałem się gdzie podziać po ósmej klasie i trafiłem do grona ludzi, z którym przecież wewnętrznie się nie zgadzałem, ale mimo wszystko tkwiłem w tym bagnie. Izolacja zmieniła moje spojrzenie na niektóre sprawy, momentami całkowicie. Czasem utwierdziła mnie w już znanym przekonaniu, ale czuję, że jeśli chcę poprawy, to muszę coś w sobie zmienić. Najgorsze jest to, że nie czuję się na to gotowy...

Mija rok, od kiedy to się zaczęło. Z Adamem już nie rozmawiam, przestałem się odzywać. Każda próba rozmowy, naprawienia tej relacji kończyła się fiaskiem. Zwykły manipulator, nie potrzebuję kolejnej ciągnącej mnie w dół relacji. Metal wciąż daje mi siłę, ale już nie tylko on. Otworzyłem się bardziej na Olę i Oktawię, z całej grupki z liceum to z nimi najlepiej spędza mi się czas. Pamiętam, jak wyszedłem z Olą na fajkę na jednej z imprez, kiedy zniesiono część obostrzeń. Przedstawiłem jej sytuację z Adamem, którą do tej pory nikomu się nie chwaliłem. Utwierdziła mnie w przekonaniu, że urwa-

nie kontaktu to najlepsze, co mogę zrobić. Mówi się trudno, i tak myślałem o tym od dość dawna. Zdałem do drugiej klasy, jakoś funkcjonuję na zdalnym nauczaniu. Momentami bywa nawet śmiesznie. Po poprawce z chemii dowiedziałem się, że Zuza, jedna z dziewczyn z naszej grupki, jest w ciąży. Staraliśmy się wesprzeć ją w tej sytuacji, zrobiliśmy nawet wspólnego grilla. Na zdalnym nasza klasa podzieliła się na kilka grupek, ale szczerze mówiąc, nie dbam o to, przywykłem. Mam swoich znajomych, poprawiłem relację z rodzicami i chyba w końcu wszystko zaczyna się układać. Oczywiście mam pełną świadomość, że jeszcze sporo rzeczy przede mną. Nie łudzę się, że moje życie stanie się na zawsze kolorowe i pełne nieustającego szczęścia, ale paradoksalnie czuję się szczęśliwszy niż przed pandemią. Nauczyłem się żyć ze swoimi negatywnymi cechami. Zwalczam je, ale też nie ubolewam nad tym, że w ogóle je mam. Dalej miewam problemy z motywacją i dalej zdarza mi się myślenie o jak najgorszych scenariuszach w stresujących sytuacjach. Ale za to zyskałem pewność siebie i czuję, że znam swoją wartość. Nie wiem, czy pandemia miała pozytywny, czy negatywny wpływ na moje życie, nie umiem tego stwierdzić. Ale czuję, że jest ze mną lepiej, w końcu mam poczucie, że sobie poradzę i nie jestem już tylko wściekłym dzieciakiem, jednocześnie niepewnym siebie i momentami skrajnie w siebie zapatrzonym, który na dodatek nie wie, czego chce i nie potrafi odróżnić wartościowych ludzi od kul u nogi ciągnących mnie w dół.

Nie wiem, co będzie jutro, za rok czy w bliżej nieokreślonym „później”. Ale już się tego nie boję.





## Nauka w masce

Prawdopodobnie każdy z nas pamięta dzień poprzedzający początek zmian: dobrych lub złych, na dużą skalę lub osobistych. Czwartek 11 marca wydawał się zwykłym dniem, jak wiele innych, pełnym zabawnych chwil z kolegami z klasy, nie najlepszych ocen z matematyki, mnóstwa zadań domowych, fascynujących ciekawostek z historii i tak dalej. Niemniej jednak jedno wydarzenie trwa nadal w mojej pamięci.

Zazwyczaj mój poranek rozpoczyna się od pysznego śniadania i oglądania mojego ulubionego programu telewizyjnego „Śniadanie z wami”: wiadomości, horoskop, informacje o dzisiejszych świętach oraz śmieszne żarty ze zwierzętami. Uważam, że wszystkie te elementy sprawiają, że mój poranek staje się lepszy. Następnie zawsze następuje dyskusja z tatą, którą uwielbiam. Kilka dni temu miałam lekcję matematyki, która była dla mnie tak nudna, że zamiast słuchać nauczyciela, zajrzałam na TikTok. Tam natknęłam się na filmik dotyczący Chin i natychmiast podzieliłam się nim z moim najlepszym przyjacielem. Film przedstawiał fragmenty życia w Chinach, gdzie ludzie noszą maski, obawiają się opuszczać swoje domy. Dzieją się tam różne dziwne rzeczy.

– Widziałeś to? To prawda czy nie?

Ten filmik faktycznie wyglądał jak manipulacja w celu zdobycia lajków.

– Słyszałem, że w Chinach rzeczywiście pojawił się wirus, nie pamiętam, jak on się nazywa. Ma dziwną nazwę.

– COVID-19 – do naszej dyskusji dołączył się kolega z ławki.

– No cóż, tak. Słyszałem o tym wczoraj. Koleżanka mojej matki jest lekarką i mówi, że taki wirus może naprawdę istnieć i słyszałem o tym w wia-

domościach. Sądę, że w telewizji nie będzie fałszywych informacji. Mimo wszystko nie boję się tego wirusa.

– Tak, gdzie są Chiny, a gdzie jesteśmy my? Na pewno ta choroba do nas nie dotrze – chłopaki zgodzili się ze mną i kontynuowaliśmy dyskusję na temat trendów na TikToku.

Tego ranka rozmawialiśmy z tatą o tym, co dzieje się na świecie, i przypomniałam sobie tę rozmowę z przyjaciółmi. Spotkałam się jednak z inną reakcją na mój przekaz.

– Rozumiesz, Taniu, to wirus. Co prawda on nie ma nóg, żeby dotrzeć do Ukrainy, ale może się intensywnie rozprzestrzeniać i dlatego nie należy się z tego śmiać, trzeba mieć nadzieję, że do nas nie przyjdzie.

Szczerze mówiąc, nie wierzyłam mojemu ojcu. Pomyślałam wtedy, że to typowy dorosły, który zawsze spodziewa się zagrożenia. Dlatego zignorowałam jego słowa, pogłaskałam kotka na pożegnanie i poszłam do szkoły.

Lubiłam moją szkołę, bo co tydzień wybierano dwóch uczniów, którzy mieli pomagać nauczycielom i dyrektorowi. Uczniowie ci byli zwolnieni z zajęć. Wszystkim się to bardzo podobało, łącznie ze mną. Jednak tego dnia moja przyjaciółka miała dyżur w szkole, a ja musiałam siedzieć sama przez cały dzień. Najbardziej bolesne było to, że wtedy miałam zajęcia, których w ogóle nie lubiłam. A mimo to był jeden przedmiot, na który zawsze czekałam – literatura zagraniczna. To była ostatnia lekcja w planie zajęć. Nie mogłam się doczekać zajęć. Zwykle w domu czytamy książkę, opowiadanie lub wiersze, a potem wszyscy dyskutujemy na zajęciach. Najbardziej podobała mi się nauczycielka tego przedmiotu – pani Oksana, która pozwalała nam wcześniej wrócić do domu. Było widać, że naprawdę kocha swoją pracę i nas, swoich uczniów. Jej lekcje były ciekawe, ponieważ podawała przykłady z własnego życia, zwracając w ten sposób naszą uwagę na lekcję. Na te zajęcia należało przeczytać „Don Kichota” Miguela Cervantesa. Utwór wydawał mi się bardzo dziwny, ale tak naprawdę zrozumiałam go jako zachętę do podążania za swoim marzeniem, nawet jeśli innym wydaje się ono szalone i pozornie bezwartościowe. Było dla mnie nieoczekiwane, że większość moich kolegów z klasy tego nie rozumiała. Mówili, że Don Kichot był po prostu

szalony. Próbowalam udowodnić swoją rację, dopóki drzwi do klasy nagle się nie otworzyły i nie pojawiła się w nich głowa maturzysty. Naszą dyskusję przerwał mój przyjaciel Vadim. Pani Oksana była jego wychowawczynią, którą uwielbiał, mógł przyjść i zapytać ją o coś nawet na zajęciach. Vadim był w ostatniej klasie i nie mógł się doczekać ukończenia szkoły, bo nie lubił się uczyć i z tego powodu był dwójkowym uczniem. Co jest interesujące, zawsze jako pierwszy wiedział, kiedy mieliśmy nieplanowane ferie lub dzień wolny.

– Pani Oksano, czy to prawda, że od jutra mamy ferie?

Ja i moi koledzy z klasy zamarliśmy w oczekiwaniu. Wszyscy liczyli na pozytywną odpowiedź. Jednak w chwili, gdy pani Oksana już miała odpowiedzieć, rozległ się inny głos, głos nauczycielki mojej klasy, pani Iryny:

– Aha, tutaj jesteś, Vadimie. Wracaj do klasy. No, wiedziałam, że nie pójdziesz do toalety.

Pani Iryna uczyła fizyki i uczniowie często próbowali chodzić na wagary podczas jej zajęć. Wszyscy uważali ją za wspaniałą nauczycielkę, ale nikt nie lubił fizyki, bo każdemu ten przedmiot sprawiał trudność.

– Pani Iryno, będziemy mieć ferie? – to pytanie zostało zadane już przez mojego kolegę z klasy.

Nauczycielki spojrzały na siebie i uśmiechnęły się.

– Wszystkie informacje będą trochę później, na razie wróćmy do lekcji.

– Następny tydzień jest wolny, prawda? – Vadim zaczął się uśmiechać, bo zdał sobie sprawę, że jutro nie pójdzie do szkoły, wybierze się na spacer z przyjaciółmi, a może z dziewczyną. I za tydzień znów zacznie przygotowywać się do matury z nauczycielami i kolegami z klasy.

Pani Iryna wzięła Vadima za rękę i poszła z nim rozwiązywać zadanie z fizyki na temat twierdzenia Newtona, a my, szczęśliwi, mogliśmy wrócić do domu, bo pani Oksana ponownie pozwoliła nam wcześniej wrócić do domu po zajęciach.

Wieczorem tego samego dnia pani Iryna napisała do uczniów i naszych rodziców, że przez cały tydzień mamy ferie. Vadim miał rację. Nie musimy iść do szkoły jutro i w następnym tygodniu też. Ale w jednej kwestii się mylił. Vadim nie wrócił już do szkoły jako uczeń, bo tygodniowe ferie zamieniły

się w nauczanie zdalne do końca roku szkolnego, a później przyszły matura i złożenie dokumentów na uniwersytet.

Ale interesujące jest to, że kiedy rozmawiałam z kilkoma kolegami z klasy o początku covidu i o tym, jak to było, prawie wszyscy pamiętają i nadal czasami wspominają tego maturzystę. Ten moment najbardziej zapadł nam w pamięć. Postrzegam go jako symbol COVID-19: nowego życia i tego, co miało miejsce w przeszłości, co się już nigdy nie wydarzy.

\* \* \*

Myślę, że ukraińskie szkoły, podobnie jak wszystkie szkoły na świecie, nie były gotowe na przejście w tryb online. Dlatego na początku nie mieliśmy zajęć, ale w tym samym czasie nie mogliśmy chodzić na spacer, bo rodzice nie pozwalali na to ze względu na wirusa. Szczerze, nie rozumiałam, dlaczego tak bardzo się go bali. Nie chciałam zakładać maski, bo miałam poczucie, że wyglądam brzydko. Na ulicy można było nie nosić maski, ale w sklepie był to obowiązek. Z tego powodu starałam się nie chodzić z mamą na zakupy. Jedyne, co mi się podobało, to stosowanie środków antyseptycznych. Było ich coraz więcej: o różnych zapachach, w kolorowych, jasnych opakowaniach itp. Jednak zrobiło się nudno, bez komunikacji na żywo. I to właśnie TikTok pomógł nie umrzeć z nudów. Robiliśmy w domu lodowe latte, sesje zdjęciowe z poduszkami, tańce popularnych tiktokerów z Ameryki, które wszyscy powtarzali i filmowali na TikToku. A w tym czasie Ministerstwo Edukacji Ukrainy opracowało wstępny program edukacji online. W telewizji od 9 rano do 14 z przerwami najlepsi nauczyciele w kraju prowadzili lekcje ogólnokształcące. Na przykład dla wszystkich dzieci z piątej klasy lekcje odbywały się na kanale „TV2”, a dla uczniów z ósmej na „1+1” i tak dalej dla każdej klasy. Dlaczego nie było to wygodne? Bo jak wiadomo, każdy nauczyciel ma swoją, dogodną dla siebie metodę nauczania. Ktoś wyjaśnia teorię w praktyce, a ktoś oddzielnie wyjaśnia teorię, a potem praktykę. Oczywiście dzieci przyzwyczaiły się do swoich nauczycieli, a tutaj był jeden dla wszystkich.

Chciałabym zauważyć, że kiedy przygotowywałam się do matury, te lekcje w internecie pomogły mi przypomnieć sobie to, czego zapomniałam,

i było to bardzo pomocne. Był jeden przedmiot, który moim zdaniem podobał się wszystkim uczniom – wychowanie fizyczne. Przede wszystkim zajęcia te prowadzili popularni ukraińscy sportowcy: piłkarze, bokserzy, a nawet tancerze. Dawali różne rady. Dla przykładu od tego momentu monitoruję poziom wypijanej w ciągu dnia wody za pomocą aplikacji mobilnej, tak jak robi to moja ulubiona tancerka Ilona Gvozdeva. Ale oczywiście ani ja, ani moja siostra, ani moi koledzy z klasy nie wstawaliśmy o 9 i nie słuchaliśmy tych lekcji. Mama śmiała się z tego, jak „uczyliśmy się”, a potem zrobiło jej się smutno, bo w ten sposób nasza edukacja nadal była na etapie wakacji. Tego zdania była nie tylko moja mama, lecz także inni rodzice. Jednak ku zadowoleniu rodziców nasz luz wkrótce się skończył. Ministerstwo Edukacji znalazło sposób na nauczanie. Moja szkoła wybrała dla siebie wygodną platformę Google Classroom i Google Meet. Ta wirtualna klasa służyła do odrabiania zadań domowych, a Meet do lekcji online. Każda szkoła sama zdecydowała, którą platformę wybierze. Na przykład szkoła mojego znajomego również wybrała dla siebie Google Classroom, a do lekcji online Zoom. W innym przypadku uczniowie przysyłali zadania domowe na e-maile nauczycieli. Pierwsze lekcje online były wyjątkowo niewygodne dla wszystkich, zarówno dla nauczycieli, jak i uczniów. Nauczyciele nie wiedzieli, jak zachęcić dzieci do pracy online, bo chowaliśmy się za wyłączonymi kamerami lub wymawialiśmy się awariami internetu.

Trwała lekcja fizyki, nauczycielka wyjaśniała mi temat, którego nie rozumiałam. Pani Iryna włączyła kamerę, postawiła ją przed tablicą i pokazała, jak rozwiązać to czy tamto zadanie. Na lekcji można było nie włączać kamer, ale podczas sprawdzania obecności było to obowiązkowe.

– Kotov?

Włącza kamerę i odpowiada:

– Obecny.

– Kalina?

To moja najlepsza koleżanka, która zawsze mówiła, że nie rozumie fizyki, ale zdobywała dobre oceny. Też włącza kamerę i mówi:

– Jestem.

– Kravchenko?

Takie mam nazwisko. Tego dnia chciałam pójść na spacer po lekcjach i tuż przed pierwszymi zajęciami umyłam włosy, przez co nie chciałam włączyć kamery.

– Jestem.

– A kamera? – Pani Irynie nie podobало się, gdy nie włączaliśmy kamer.

– No cóż, pani Iryno, umyłam włosy i nie wyglądałam zbyt dobrze.

To trochę rozbawiło nauczycielkę i zrozumiała.

– No dobrze, ale następnym razem włosy powinny zostać umyte i wysuszone.

Obiecałam oczywiście, że będę gotowa na następne zajęcia, ale potem byłam zbyt leniwa, aby umyć włosy, i ponownie poprosiłam, abym ze względu na mój wygląd nie musiała włączyć kamery. Pani Iryna nie rozłościła się, tylko znowu się roześmiała. I od tej pory nie zaczęła ani jednej lekcji, dopóki nie zapytała dziewcząt, czy wszyscy umyli włosy, wysuszyli je i czy dobrze wyglądają.

Jestem pewna, że każdemu przydarzyła się taka sytuacja, że zapomniał wyłączyć mikrofon i zaczął mówić coś od siebie. Bardzo lubiłam, gdy komus zdarzały się takie sytuacje, ale naprawdę nie chciałam być główną aktorką tego przypadku. Nasi rodzice chcieli na własne oczy zobaczyć, jak przebiegają lekcje online, i nagle w trakcie lekcji wchodzili do pokoju. Na przykład moja mama zawsze starała się „dołączyć” albo „uratować” mnie.

– Tetiana, na ostatniej lekcji rozmawialiśmy o położeniu geograficznym krajów UE i zadaniem domowym było przeczytanie dwudziestego ósmego rozdziału książki. Co pamiętasz z tego rozdziału? To było jedno z moich ulubionych pytań, ponieważ mogłam powiedzieć wszystko, co pamiętam, bo zawsze czytałam tylko rozdziały, nie słuchałam i nie notowałam na zajęciach, ale tego dnia nie zrobiłam zadania domowego i nie byłam gotowa na pytanie nauczycielki.

– Niestety, nie pamiętam zbyt wielu informacji...

I usłyszałam szept mojej mamy:

– Powiedz, że pojechałaś do babci i dlatego nie miałaś czasu na czytanie.

Na szczęście udało mi się wyłączyć mikrofon i nauczycielka nie usłyszała tej bardzo niepoważnej informacji.

Oczywiście nie miałam zamiaru mówić o tym nauczycielce. I rozumiem, że mama chciała mnie w ten sposób uratować przed złą oceną, ale dobrze, że wyłączyłam mikrofon. Jednak czasami komuś się nie udało. Potem inni uczniowie śmiali się i ten zabawny moment został zapamiętany na długo.

Poza tym wielu z nas ma zwierzęta, które tym bardziej nie rozumieją, co to jest nauka online. Pamiętam takie wydarzenie, kiedy uczyłam się na pamięć wiersza i jasne jest, że musiałam mieć włączoną kamerę. Wiersz był rzeczywiście trudny i długi, ledwo się go nauczyłam i tak bardzo bałam się go powiedzieć, ale było to nieuniknione. Moja kolej, kładę telefon przed sobą, włączam aparat i zaczynam recytować. Szczerze mówiąc, bardzo się martwiłam. Zaczęłam mówić dobrze, ale potem coś poszło nie tak i z każdą linijką wiersza zaczynało się pogarszać. Nagle przyszedł mój ulubiony kot Benia i w tej chwili coś się wydarzyło. Pamiętam tylko, jak bardzo niespodziewanie Benia uderzył w stół, upuścił lampę, a wraz z nią telefon i spojrzał w kamerę, a potem słyszałam tylko śmiech nauczycielki i moich kolegów z klasy. Telefon upadł tak, że aparat uchwycił pysek mojego kota, który z ciekawością przyglądał się ekranowi mojego telefonu. Dlaczego nazwałam działanie kota ratunkiem? Ponieważ nauczycielce bardzo spodobał się mój wspólny występ z Benią i dostałam szóstkę.

Innym razem, gdy poproszono nas o nauczenie się wiersza, podobna sytuacja przydarzyła się mojemu koledze Mikołajowi, który właśnie zaczął recytować wiersz. W tym samym czasie jego pies zaczął szczekać. Żeby go uspokoić, Mikołaj zamknął drzwi, ale to nie zmieniło zachowania psa i zaczął szczekać jeszcze głośniej. Prawdopodobnie zwierzę było po prostu znudzone i chciało się bawić.

Bardzo podobały mi się też sytuacje, gdy nauczycielka miała słaby internet i musiała odwołać lekcję. Uczniowie najbardziej cenili takie chwile, ale pewnego dnia powiemy o tym naszym dzieciom, a nasze dzieci podzielą się



tym ze swoimi przyjaciółmi. Dla kolejnego pokolenia będzie się to wydawać nierealnym życiem. Chciałabym, żeby kolejne pokolenia wiedziały o tym wirusie tylko z naszych opowiadań i nie musiały przeżywać takiej traumy jak my.

# Droga do celu

Czym są dla mnie marzenia? Marzeniami określam cele, które sobie wyznaczyłam i do których staram się dążyć. Dla marzenia są planami. Wyzwalają kreatywność. Motywują do działania. Są swego rodzaju drogowskazem, za którym mogę podążać. Są to też takie cele, które da się w miarę możliwości zrealizować.

Kiedy konkretnie pojawiły się u mnie marzenia o podróżach? Otóż było to w chwili pojawienia się pandemii COVID-19. Wtedy zainteresowałam się wyścigami MotoGP i Formułą 1. Dzięki zafascynowaniu się tymi seriami wyścigowymi zaczęłam marzyć o tym, by w przyszłości móc zobaczyć wyścigi oraz swych idoli w akcji. Jako że w szkole średniej byłam na kierunku turystycznym, to wtedy zaczął we mnie kielkować pomysł, żeby zwiedzać świat. W mojej głowie powstała myśl o tym, aby móc znaleźć się poza granicami miasta i kraju, chociaż na chwilę. Wiedziałam, że wyjazd poza granice Polski nie będzie łatwy. Zaczęłam myśleć o tym, by pójść na studia dziennikarskie. Poniżej przedstawię kilka przykładów marzeń, które udało mi się zrealizować w okresie pandemii COVID-19. Na sam koniec każdej historii opiszę kilka innych ciekawostek, jeśli będzie taka możliwość.

Pierwszym przykładem jest dwutygodniowy wyjazd na praktyki do Portugalii. Sam wyjazd trwał od 18 maja do 3 czerwca 2022 roku, lecz przed wyjazdem musiałam zrobić kilka rzeczy. Na początku zbierało się listę chętnych. Po jakimś czasie byłam na tzw. rozmowie wstępnej. W międzyczasie uczestniczyłam w zajęciach mających na celu poznanie się z osobami z klasy hotelarskiej. Trzeba było również dokonać wyboru, jeśli chodzi o zagospodarowanie czasu w weekendy. Moim zadaniem było przygotowanie odpowiednich dokumentów, musiałam też przyjąć trzecią dawkę szczepionki.

W końcu nadeszła środa 18 maja. Był to początek podróży. Na początku mama zawiozła mnie na dworzec w Świebodzinie, gdyż stamtąd miałam pociąg do Warszawy. Pociąg ruszył około godziny 2.00 w nocy. Do stolicy Polski dotarłam około godziny 8.00. Potem trzeba było dojechać z dworca na Lotnisko Chopina. Na tym lotnisku czekałam kilka godzin na lot do Amsterdamu. Wylot był po południu. Kiedy byłam nad terytorium Holandii, udało mi się zrobić zdjęcie toru Zandvoort, który ponownie zawitał F1 w 2021 r. Będąc na lotnisku Schiphol, również czekałam kilka godzin na odlot do Lizbony. Niestety nie mogłam zwiedzić Amsterdamu w okolicach lotniska. Samolot do stolicy Portugalii wystartował po 21.00, więc do Lizbony dotarłam tuż po północy 19 maja, natomiast miejscem docelowym było Setúbal. Jest to miasto satelickie Lizbony. Do tej miejscowości dotarłam mniej więcej o 3.00 w nocy. Między 7.00 a 8.00 rano musiałam podpisać dokumenty umożliwiające rozpoczęcie praktyk. Pierwszym słabym punktem był pierwszy pokój, w którym łazienka była wbudowana, a łóżko było trójpietrowe. W sobotę 21 maja wraz z grupą i opiekunami poszłam odwiedzić Forte de São Filipe, który był ponad półtorej godziny marszu od miejsca zakwaterowania. Wszystko działo się w sobotnie popołudnie. Gdy dotarłam na miejsce, miałam chwilę na odpoczynek i możliwość zrobienia zdjęć. Z fortu było widać część Setúbal. Następnego dnia, czyli w niedzielę, zwiedzałam Lizbonę. Lizbona to stolica i największe miasto Portugalii, położone w zachodniej części Półwyspu Iberyjskiego, nad rzeką Tag przy jej ujściu do Oceanu Atlantyckiego. Miasto stanowi centrum polityczne, ekonomiczne i kulturalne kraju. O 10.25 musiałam przepłynąć katamaranem na drugą stronę rzeki Tag. Ledwo udało mi się zdążyć. W Lizbonie zobaczyłam między innymi katedrę Sé – ta świątynia zbudowana w 1150 roku w stylu romańskim upamiętnia wyzwolenie miasta spod władzy Maurów. Budowla zajmuje miejsce, na którym w dawnej Lizbonie wznosił się główny mauretański meczet. Katedra jest wzniesiona na planie krzyża łacińskiego z trzema nawami. Posiada portal, ogromne rozetowe okna i dwie wieżyczki. Wnętrze świątyni w XVIII wieku z rozkazu króla Jana V wykończono w stylu rokokowym. Zwiedziłam też kościół de São Domingos. Świątynia została

zbudowana w XIII wieku, była wielokrotnie przebudowywana, odbudowana w stylu barokowym po trzęsieniu ziemi w 1755 roku, celowo poddana jedynie częściowej restauracji po pożarze w 1959 roku, by zachować świadectwo zniszczeń. Budowa świątyni rozpoczęła się w 1241 roku. Od tego czasu budowla była wielokrotnie przebudowywana, wskutek czego straciła zupełnie swój gotycki rys. W kwietniu 1506 roku w kościele rozpoczął się pogrom żydowskich konwertytów, który wkrótce ogarnął całe miasto i przyniósł kilka tysięcy ofiar. Kościół przetrwał kilka kataklizmów, w tym trzęsienie ziemi w 1531 roku, oraz największy – kataklizm z 1755 roku. Architektem kierującym odbudową był Carlos Mardel, zaś autorem fasady i prezbiterium – Johann Friedrich Ludwig, znany w Portugalii jako João Frederico Ludovice. Kościół był wówczas jednym z głównych przykładów architektury barokowej i wzorcem dla innych wznoszonych i odbudowywanych świątyń. Największe, widoczne do dziś zniszczenia przyniósł świątyni pożar w 1959 roku, kiedy to od płonących świec zapaliły się drewniane ołtarze. Żywiół strawił wiele dzieł sztuki sakralnej, obrazy, złożone ołtarze i naczynia liturgiczne. Ważną stratą dla wiernych była przechowywana w kościele chusteczka Łucji dos Santos oraz połowa chusty Hiacynty Marto, których jako dzieci używały podczas objawień w Fatimie 13 maja 1917 roku. Po odbudowie kościół otwarto dla zwiedzających w 1997 roku. W trakcie prac podjęto jednak decyzję, by nie przywracać pierwotnego kształtu, lecz ukazać ogrom zniszczeń pożaru. Rekonstrukcja całkowita byłaby jednak i tak niezwykle trudna, bowiem część kolumn i elementów konstrukcyjnych jest popękana. Wnętrze zostało jedynie częściowo zrekonstruowane. Kościół jest zbudowany na planie krzyża łacińskiego z jedną nawą. Zobaczyłam również Torre de Belém – militarną budowlę z 1520 roku, stojącą w Lizbonie, na jej zachodnim przedmieściu Belém, nieopodal klasztoru hieronimitów, u ujścia Tagu do oceanu. Torre de Belém wybudowano z polecenia portugalskiego króla Manuela I Szczęśliwego w latach 1515-1520. Wieżę zaprojektował Fernando de Arruda i uchodzi ona za jedyną zachowaną do dziś budowlę wzniesioną całkowicie w tzw. stylu manuelińskim. Postawiona w epoce wielkich odkryć geograficznych, wieża odgrywała rolę strażnicy lizbońskiego

portu, stała się także punktem orientacyjnym dla wracających do ojczyzny żeglarzy i symbolem morskiej potęgi Portugalii. W okresach późniejszych, między innymi w czasie okupacji hiszpańskiej (1580-1640), pełniła funkcję więzienia, w którym w podmakających pomieszczeniach przetrzymywano więźniów politycznych. Pierwotnie budowla wznosiła się pośrodku koryta Tagu. W wyniku wielkiego trzęsienia ziemi z 1755 roku rzeka zmieniła nieco swoje koryto i obecnie wieża znajduje się tuż przy jej prawym brzegu. W 1833 roku przez dwa miesiące był tu więziony generał Józef Bem, twórca Legionu Polskiego w Portugalii. W 1907 roku wieża została uznana za zabytek narodowy Portugalii. W 1983 roku Torre de Belém wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO. W roku 2007 wieża została ogłoszona jednym z Siedmiu Cudów Portugalii. Budowla mierzy 35 metrów wysokości. Jej najniższe piętra znajdują się pod powierzchnią wody. Środkowe kondygnacje ozdobione są wieloma balkonami z małymi zdobionymi kolumnami. Torre de Belém składa się z dwóch części: z bastionu oraz z pięcioczęściowej wieży w jego północnej części. Bastion ma kształt sześciokąta. Posiada nisko sklepioną kaplicę ze strzelnicami dla siedemnastu armat. Jest pierwszym budynkiem, który posiadał dwupoziomowy skład broni. Uważa się, że budowla ta zapoczątkowała nowy trend w architekturze wojskowej. Interesujący jest również Pomnik Odkrywców – monumentalny pomnik, znajdujący się w lisbońskiej dzielnicy Belém. Pomnik przedstawia ważne postacie z okresu wielkich odkryć geograficznych, zarówno żeglarzy, jak i naukowców czy misjonarzy. Są to między innymi Henryk Żeglarz, Vasco da Gama, Ferdynand Magellan, Diogo Cão, Nuno Gonçalves, Luís de Camões, Bartolomeu Dias, Afonso de Albuquerque. Byłam też na wzniesieniu, z którego widać część stolicy Portugalii. Charakterystyczne w Lizbonie są pojedyncze wagoniki, które mają pomóc mieszkańcom i turystom pokonać różnice wysokości. Charakterystyczną cechą Lizbony i całej Portugalii są azulejos. To cienkie ceramiczne płytki, najczęściej kwadratowe, pokryte nieprzepuszczalnym i błyszczącym szkliwem. Powierzchnia azulejo jest jedno- lub wielokolorowa, gładka lub z fakturą. Płytek azulejo używano jako elementów mozaik składających się z wielu, czasem ponad kilku tysięcy

elementów, pokrywających całe ściany, oraz jako oddzielnych kompozycji dekoracyjnych. Motywy wykonywane z azulejo miały postać scen historycznych, mitologicznych, ikonografii religijnej oraz całej gamy elementów dekoracyjnych, zarówno geometrycznych, jak i roślinnych. Mozaiki bardzo często pokrywały całe ściany i podłogi w pałacach, ogrodach, kościołach, klasztorach, a także mieszkaniach czy miejscach użyteczności publicznej. Płytki azulejo o bardzo różnych kształtach i kolorystyce stały się najbardziej charakterystycznym środkiem wyrazu i najbardziej ekspresyjnym rodzajem sztuki, głównie portugalskiej. W czasie zwiedzania odbywało się GP Hiszpanii F1, którego niestety nie dałam rady obejrzeć. Z Lizbony wróciłam na kolację. 21 lub 22 maja musiałam się przenieść do apartamentu. I to był kolejny minus, ponieważ miał on kilka wad. Nie wliczając tego, że oprócz mnie na tym samym poziomie były trzy dziewczyny z mojej klasy. Wyżej były dziewczyny z klasy hotelarskiej. Po pierwsze, korytarz, który prowadził do pokoju, w którym spałam, był nierówny na obu końcach. Po drugie, drzwi do tego pokoju się nie zamykały. Po trzecie, łazienki były bardzo małe. Ale nie narzekałam. Potem przyszedł kolejny tydzień. Od tego momentu miałam praktyki w głównej siedzibie informacji turystycznej. W środę 25 maja po obiedzie wraz z dwiema koleżankami z klasy poszliśmy się opalać. Plaża była około 20 minut pieszo od apartamentu. Po mniej więcej półtorej godzinie postanowiłam wrócić. Dzień później okazało się, że spaliłam sobie górną część pleców, bo nie pomyślałam, by poprosić o posmarowanie kremem z filtrem. W piątek 27 maja byłam na półwyspie Troia, a dokładniej na samym jego cyplu. W ten piątek było ciepło, a woda pozwalała się schłodzić. Półwysep Troia to współcześnie bardzo ważne miejsce na turystycznej mapie Portugalii. Jest usytuowany w powiecie Grândola, tuż obok ujścia rzeki Sado do Oceanu Atlantyckiego. Charakteryzuje się długimi, piaszczystymi plażami, mariną wypełnioną jachtami, unikatowym portem wzniesionym na drewnianych palach, a także wspaniałymi zabytkami okresu panowania Imperium Rzymskiego. Dostać się na niego można promem odpływającym z portowego miasta Setúbal, którego odległość od Lizbony wynosi zaledwie pięćdziesiąt kilometrów. W sobotę 27 maja odwiedziłam pałac Pena. Jest to

XIX-wieczny, romantyczny pałac w miejscowości Sintra na zachód od Lizbony, w Portugalii. Stoi na jednym ze szczytów gór Sintra, nad miastem Sintra. Jest pomnikiem narodowym i stanowi jeden z głównych obiektów epoki romantyzmu na świecie. Wraz z innymi obiektami rejonu Sintry został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO w ramach krajobrazu kulturowego Sintry. W lipcu 2007 roku uznany został też za jeden z siedmiu cudów Portugalii. Charakterystyczną cechą pałacu jest wielokolorowość. W niedzielę nie było żadnego wyjścia grupowego, więc udało mi się obejrzeć GP Monako F1. Dodatkowo musiałam napisać opinię na temat pobytu i praktyk. W ostatnim tygodniu, jeśli mnie pamięć nie myli, nie było praktyk, gdyż zbliżała się data powrotu do Polski. Obejrzałam jeszcze film pod tytułem *Lost Girls* na Netflixie. Oczywiście kupiłam sobie, rodzicom i siostrze pamiątki. Ktoregoś wieczoru ja i reszta dziewczyn grałyśmy w grę *Wolvesville*. W czasie tych dwóch tygodni udało mi się przeczytać dwie książki. Dla mnie kolejnym minusem było jedzenie, gdyż na śniadanie, obiad i kolację było ciągle to samo. Jednak mimo to bardzo dobrze wspominam ten wyjazd.

Kolejnym przykładem będzie wyjazd do Kudowy-Zdroju. Byłam tam z mamą między 26 a 28 sierpnia. Kudowa-Zdrój to miasto uzdrowiskowe w Polsce, położone w województwie dolnośląskim. Kudowa jest położona w dolinie na pograniczu Gór Stołowych i Pogórza Orlickiego na wysokości od 370 do 420 m n.p.m., nad potokiem Bystra, który poprzez rzekę Metuję wpada do Łaby (zlewisko Morza Północnego). Wyjechałam koło południa w piątek 26 sierpnia. Do Kudowy-Zdroju dotarłam między godziną 16.00 a 17.00. Po zakwaterowaniu się w pensjonacie poszłam z mamą zobaczyć okolicę. Wtedy po raz pierwszy zjadłam placek po węgiersku. Byłam przy tężni, która powstała na terenie Parku Zdrojowego. W sobotę 26 sierpnia po śniadaniu pojechałam do Błędných Skal znajdujących się na terenie Parku Narodowego Gór Stołowych. Wjazd na górny parking jest możliwy o pełnej godzinie (na wjazd mamy około 15 minut). Natomiast zjazd z parkingu na Błędných Skalach odbywa się 30 minut po każdej pełnej godzinie, czyli „wpół do” i również trwa 15 minut. Błędne Skály to zespół bloków skalnych, tworzący malowniczy labirynt, położony w południowo-zachodniej Polsce w Su-

detach Środkowych w Górach Stołowych. Na dnie górnokredowego morza osadziły się grube pokłady piaskowców. W trzeciorzędzie, w czasie orogenezy alpejskiej, zostały one wydzwignięte wraz z całymi Sudetami. Następnie rozpoczął się długotrwały okres erozji i odprowadzania zwietrzeliny. Na skutek nierównej odporności poszczególnych warstw skalnych na wietrzenie i poszerzanie szczelin, przecinających masyw w trzech kierunkach, powstały głębokie na kilka metrów korytarze o zmiennej szerokości. Marsz przez Błędne Skały zaczęłam około godziny 10.15. Trasę przesłam w jakieś 40 minut. Po przejściu trasy byłam chwilę na tarasie widokowym, gdyż zostało około 15 minut do zjazdu. Po południu pojechałam do Adršpašskich skál. Było to w ramach wycieczki. Wraz ze mną i mamą było około pięćdziesięciu osób. Adršpašské skály, Adršpaskie Skalne Miasto znajdują się w północno-zachodniej części masywu, w pobliżu wsi Adršpach. Są to unikalne bloki piaskowcowe powstałe – podobnie jak pasmo Gór Stołowych – w wyniku nierównej odporności skał na wietrzenie, wymodelowane przez wodę, mróz i wiatr. Jednolita płyta piaskowca została podzielona licznymi kanionami, dolinami i szczelinami na wiele fragmentów. Na terenie Adršpaskich skał znajdują się dwa górskie jeziorka na różnych poziomach, przez które przepływa rzeka Metuje, tworząc dwa wodospady. Całość porośnięta jest lasem z licznymi gatunkami górskiej i podgórskiej flory. Występuje tu również interesująca fauna. Przez labirynt form skalnych przebiega płatna trasy turystycznej, niewymagająca żadnej wprawy przy chodzeniu po górach, składająca się z wygodnych ścieżek, schodków z poręczami, drabin i miejscami sztucznie wybudowanych chodników i platform. Wychodzenie poza tę trasę jest dozwolone wyłącznie dla osób posiadających specjalne zezwolenie (pracowników rezerwatu, naukowców i wspinaczy). Wiele skał ma własne nazwy, jak: Głowa cukru, Kochankowie czy Starosta i Starościna. Obszar został objęty ochroną jako rezerwat przyrody. Jest bardzo cenny nie tylko ze względów geologicznych i geomorfologicznych, lecz także pod względem różnorodności fauny i roślinności. Zidentyfikowano tu dwieście trzydzieści osiem pierwotnych gatunków roślin. W niedzielę 28 sierpnia w dzień wyjazdu odwiedziłam trzy miejsca, w tym dwa w Kudowie-Zdroju. Pierwszym punktem,



który zwiedziłam w niedzielny poranek po śniadaniu, była Kaplica Czaszek – szczególnie miejsce w dzielnicy Czerмна. Została ona wybudowana w stylu barokowym w 1776 roku. Jest to jeden z trzech takich obiektów znajdujących się w Europie. Założycielem kaplicy był proboszcz tutejszej parafii Wacław Tomaszek. Z jego inicjatywy zebrano w rejonie Kudowy, Dusznik i Polanicy-Zdroju czaszki i kości zmarłych na cholerę w czasie epidemii panującej w okresie wojny trzydziestoletniej (1618-1648) i zabitych w czasie wojen śląskich, głównie siedmioletniej (1756-1763). Ściany i sufit wyłożono trzema tysiącami czaszek i piszczeli. W piwnicy pod podłogą znajduje się jeszcze dwadzieścia jeden tysięcy czaszek wypełniających ją do wysokości około dwóch metrów. Na prawo od kaplicy znajduje się murowana dzwonnica z 1603 roku ozdobiona ornamentem z barwnych płytek łupku oraz tarczami zegarowymi. Dalej znajduje się kościół św. Bartłomieja z XVII wieku z bogato wyposażonym wnętrzem. Kościół wzniesiony jest na planie krzyża, w środku zobaczyć można barokowy ołtarz, wiele figur świętych oraz freski znajdujące się na suficie. Za kościołem znajduje się cmentarz z grobami ludzi różnych kultur (Czechów, Niemców i Polaków), którzy zamieszkiwali te ziemie. Drugim punktem w Kudowie-Zdroju było Muzeum Mineralów i Kamieni Szlachetnych. Utworzone zostało z kolekcji minerałów i skamieniałości Wojciecha Sokołowskiego. Jest to zbiór z ponad czterdziestu lat kolekcjonowania okazów z Polski, Europy, Azji i Ameryki. Zbiór zawiera między innymi: agaty, jaspisy, ametysty i drewno skamieniałe z Kotliny Kłodzkiej oraz całych Sudetów, wielki meteoryt z Afryki, jaja dinozaura z Pustyni Gobi oraz największą w Polsce czaszkę z kryształu górskiego. Muzeum posiada jedną z najlepszych na świecie kolekcji minerałów z Dálnego (miasteczko górnicze nad Morzem Japońskim) oraz Kerczu na Krymie. Jest tu także wspaniała kolekcja okazów z nieczynnej kopalni siarki w Machowie koło Tarnobrzegu: celestyny, siarka rodzima, kalcyt, baryt. Większość eksponatów została znaleziona osobiście podczas licznych wędrówek i wypraw pana Wojciecha. Odwiedzał nieczynne oraz funkcjonujące kamieniołomy, kopalnie podziemne oraz naturalne odsłonięcia górskie. Część zbiorów zdobyta została w czasie spotkań z innymi światowymi kolekcjonerami. Są

to tak zwane giełdy minerałów i skamieniałości. Na tych imprezach można wymienić się częścią zbiorów lub zakupić interesujące i wybitne okazy kolekcjonerskie. W muzeum znajdują się również różnego rodzaju skamieniałości. W drodze powrotnej do domu odwiedziłam Riese. Projekt Riese (z niem. olbrzym) to kryptonim największego projektu górniczo-budowlanego nazistowskich Niemiec, rozpoczętego i niedokończonego w Górach Sowich oraz na zamku Książ i pod nim w latach 1943-1945. Miała to być jedna z kwater głównych Adolfa Hitlera. Wobec nasilających się alianckich nalotów bombowych w 1943 roku nazistowskie Niemcy przeniosły dużą część swej strategicznej produkcji zbrojeniowej w – uważany za bezpieczny – rejon Sudetów. Mniej więcej wówczas powstał projekt utworzenia nowej kwatery głównej Adolfa Hitlera na zamku Książ oraz w potężnych bunkrach i budowlach podziemnych wydrążonych w Górach Sowich. W tym celu powołano jesienią 1943 roku spółkę Industriegemeinschaft Schlesien AG (w dokumentach pojawia się często jako IG Schlesien), której przekazano kilka tysięcy więźniów oraz jeńców wojennych, których umieszczono w czterech pierwszych obozach pracy. Jednak wobec niezadowalającego postępu prac już na przełomie marca i kwietnia 1944 roku nadzór nad budową przejęła Organizacja Todta. Plany obejmowały potężne prace adaptacyjne na zamku Książ, utworzenie wielkich przestrzeni wydrążonych pod zamkiem, konstrukcji olbrzymich tuneli i sal podziemnych w kilku miejscach w Górach Sowich, reorganizacji całej siatki okolicznych dróg, połączenia całości siecią kolei wąskotorowej. Była to najkosztowniejsza budowa kwater wojskowych i obiektów strategicznych ówczesnych Niemiec, choć całkowite poniesione koszty trudno oszacować. Rozmach budowlano-inżynierski był na najwyższym wówczas dostępnym poziomie. Plany były kilkukrotnie zmieniane. Wedle danych z września 1944 roku produkcja tych schronów miała pochłonąć 150 milionów reichsmarek; wraz ze schronami w Wilczym Szańcu i w Pულlach im Isartal pod Monachium obejmowała 257 000 m<sup>3</sup> betonu zbrojonego stalą, 213 000 m<sup>3</sup> tuneli, 58 km dróg z sześcioma mostami, 100 km rurociągów. Na projekt Riese przyznano w 1944 roku 28 000 ton stali i cementu, czyli tyle, ile Niemcy przeznaczały rocznie na budowę schronów

przeciwlotniczych dla ludności cywilnej. Prace zostały wykonane tylko w części. Przed wkroczeniem Armii Czerwonej wiele podziemnych konstrukcji zostało zniszczonych, a przynajmniej tunele do nich prowadzące zostały wysadzone. W budowie wykorzystywano więźniów, w przeważającej liczbie Żydów, między innymi pozostałych po likwidacji (w sierpniu 1944 roku) łódzkiego getta, przywiezionych tu przez KL Auschwitz-Birkenau, których rychłą śmierć miała zapewnić utrzymanie tajemnicy konstrukcyjnej. Byli oni rozmieszczeni w obozach, w pobliżu miejsc pracy. Sieć tych obozów została nazwana Arbeitslager Riese i była częścią sieci podobozów Groß-Rosen. Komendantem był Albert Lütkemeyer. Do tego kompleksu trafiło też w 1944 roku kilka transportów (po około 50-70 mężczyzn) z więzienia na Radogoszczu w Łodzi. Więźniów było przynajmniej kilkanaście tysięcy, choć dokumenty niemieckie mówią o zaangażowaniu nawet prawie 30 000 więźniów. Udało się ustalić nazwiska prawie 7000 spośród nich. Praca więźniów była bardzo ciężka. Drażyli sztolnie wewnątrz gór, budowali drogi, torowiska kolejek, pracowali przy przeładunku materiałów budowlanych. Śmiertelność była bardzo wysoka, co wiązało się zarówno z niedożywieniem, z przeciążeniem pracą, z niebezpiecznymi robotami podziemnymi, jak i z traktowaniem więźniów przez niemieckich oprawców. Uważa się, że sam zamek Książ i jego najbliższe okolice były przygotowywane pod jedną z kwater głównych Hitlera (niem. Führerhauptquartier). Natomiast nie jest do końca dowiedziona celowość budowli drażonych w samych górach. Po wojnie powstało wiele tez. Generalnie opinie specjalistów idą w kierunku wielkich schronów dla potrzeb wojennych. Trudno jest ustalić, czy miała tu być przeniesiona produkcja tajnych rakiet V1 i V2, których fabryki na wyspie Uznam zostały zniszczone przez alianckie bombowce w sierpniu 1943 roku, czy też miały tu być prowadzone zupełnie inne prace wojskowe. Nie jest też wykluczone, że w tych podziemiach były gromadzone dobra zagrabione podczas wojny. Na przestrzeni lat zagadka Riese stała się tematem zarówno licznych poważnych hipotez, jak i historii sensacyjnych. Jedna z nich głosiła, że w trakcie II wojny światowej w Górach Sowich trwały prace nad niemiec-

ką Wunderwaffe, którą miały stanowić niemieckie latające dyski napędzane urządzeniem o kryptonimie Dzwon (Die Glocke).

Kolejny wyjazd, jaki opiszę poniżej, to będzie wyjazd do Włoch, gdyż wzięłam udział w Erasmusie. Wspomnienia z tego wyjazdu po części się ulotniły, co będzie skutkowało tym, iż jakaś część zostanie pominięta. Natomiast sam wyjazd miał miejsce między 21 a 28 listopada 2022 roku. Był to czas, gdy trwał mundial w piłce nożnej, który odbywał się w Katarze. Oprócz Polski i Włoch w tym projekcie brały udział Niemcy i Hiszpania. Tematem tego projektu były migracje w krajach biorących udział. Każda grupa musiała przygotować prezentację na temat migracji. Również musiałam się zaszczepić, była to czwarta dawka szczepionki. Jechałam pociągiem z Zielonej Góry do Krakowa. Wyjazd był nad ranem w poniedziałek 21 listopada. Do Krakowa dotarłam między 10.00 a 11.00. Po przyjeździe do stolicy Małopolski trzeba było dostać się do Międzynarodowego Portu Lotniczego im. Jana Pawła II Kraków-Balice. Stamtąd był wylot do Bari. Miał miejsce między 14.00 a 16.00. Lot do stolicy Apulii trwał około 2 godzin, więc na lotnisku Aeroporto Internazionale di Bari Karol Wojtyła dotarłam przed 18.00. Miejscem docelowym było Conversano. Na samym początku myślałam, że to po włosku konwersacja, a okazało się, iż to nazwa miejscowości. Jest to miasto i gmina we Włoszech, w regionie Apulia, w prowincji Bari. Do miejsca zakwaterowania w Conversano dotarłam po godzinie 20.00. Byłam zakwaterowana w 4-gwiazdkowym hotelu. Po rozpakowaniu się w pokoju wraz z grupą poszłam zjeść kolację. Wtedy dowiedziałam się, iż we włoskich restauracjach trzeba dodatkowo zapłacić kilka euro za obsługę. Następnego dnia, czyli we wtorek 22 listopada, był pierwszy dzień spotkań z grupami w szkole w Turi. Po zajęciach poszłam zjeść obiad. Po zjedzeniu posiłku pojechałam na wybrzeże Morza Adriatyckiego niedaleko Bari, lecz nazwy miejscowości nie pamiętam. Tam udało mi się zrobić jedno z najpiękniejszych zdjęć wybrzeża. 23 listopada po zajęciach pojechałam do miejscowości Alberobello. Miejscowość tę charakteryzują tzw. trulli, czyli niewielkie, zwykle jednopoziomowe budynki mieszkalne, zbudowane z kamienia wapiennego bez zaprawy, najczęściej na planie w kształcie kwadratu lub koła, kryte stoż-

kowatym dachem układanym również z kamieni, zwieńczonym przeważnie krzyżem lub, rzadziej, innym symbolem, często z bielonymi ścianami zewnętrznymi. Najwięcej budowli typu trullo zachowało się do dziś w miejscowości Alberobello w prowincji Bari, gdzie jest ich około tysiąc pięćset, w pobliskim miasteczku Martina Franca oraz w okolicznych wioskach. Trulli z Alberobello wpisane zostały na listę światowego dziedzictwa UNESCO. W czwartek 24 listopada po śniadaniu pojechałam do Castel del Monte. Jest to zamek zbudowany w pierwszej połowie XIII wieku przez cesarza Fryderyka II Hohenstaufa, uznawany za jedno z najdoskonalszych dzieł architektonicznych średniowiecza. W 1996 roku został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Nazwa zamku del Monte pochodzi od nazwy kościoła pobliskiego klasztoru benedyktyńskiego Santa Maria del Monte. Castel del Monte znajduje się w Apulii w południowych Włoszech, pomiędzy Corato a Andrią. Usytuowany na samotnym, niskim wzgórzu na wysokości około 540 m n.p.m., jest doskonale widoczny nawet z dużych odległości. Jest to jedyny zamek w Apulii, który w pełni zachował swój oryginalny charakter. Został wybudowany pod koniec pierwszej połowy XIII wieku na polecenie cesarza Fryderyka II w ramach programu budowy fortyfikacji w południowej Italii i na Sycylii. W ramach programu budowy umocnień Fryderyk II wzniósł około dwustu fortec i pałaców. Surowość architektury zamku przypomina budowle cystersów, których wspierał Fryderyk II. Zamek mógł być zaprojektowany przez cysterskiego architekta Philippe’a Chinarda. Na potrzeby obronne zamek nie był wystarczająco duży – nie przetrwałby oblężenia. O innym niż obronne przeznaczeniu zamku świadczy perfekcyjna geometria budowli oraz znaczna odległość od jakichkolwiek miejsc czy szlaków strategicznych. Niektórzy autorzy podają, że zamek został zbudowany dla cesarza jako zamek myśliwski do polowań z sokołami. Z zewnątrz Castel del Monte prezentuje się jako forteca – ma masywne mury zewnętrzne, wieże w narożnikach, szczeliny strzelnicowe i bramy z bronami, lecz wewnątrz zamek miał wszelkie wygody domku myśliwskiego. Castel del Monte charakteryzuje się surowością typową dla budowli cysterskich i zdradza wiele elementów architektury islamskiej. Został zbudowany na planie ośmiokąta foremego

z ośmiokątnym dziedzińcem (o szerokości 18 m) i ośmioma ośmiokątnymi wieżami (o średnicy 7,5 m). Zamek nie miał fosy. Maksymalna wysokość zamku to 24,4 m, a maksymalna szerokość to 49,6 m. Długość każdej ściany pomiędzy wieżami to 9,8 m, a grubość muru zewnętrznego przy podłożu to 3 m. Główne wejście do zamku znajduje się od strony Andrii i wykonane jest w stylu klasycznym z elementami gotyku. Nadproże spoczywa na kolumnach z kapitelami z motywem roślinnym; nad wszystkim rozpięty jest ostry łuk, biegnący od lwów umieszczonych nad abakusami kolumn bocznych. Wejście flankują dwa pilastry podtrzymujące gzyms z rodzajem frontonu. Po przeciwnej stronie zamku znajdowało się wejście tylne. Na parterze znajduje się sześć okrągłych okien z ambrazurami z różowej brekcji, a na piętrze osiem z ambrazurami z różnego rodzaju marmuru. Trzy z wież skrywały kręcone schody, w części znajdowały się toalety, a przeznaczenie innych nie jest znane. O tym obiekcie oprowadzał mnie i resztę grupy przewodnik, który o nim opowiadał. Po zwiedzeniu Castel del Monte pojechałam znów do nadmorskiej miejscowości na posilek. Potem poszłam na wybrzeże, gdzie udało mi się na kilku zdjęciach uchwycić w oddali wybrzeże Chorwacji lub Czarnogóry, na pewno nie był to fragment Włoch. Następnego dnia miałam wraz z grupą spotkanie z mistrzem squasha w Bari, który wytłumaczył nam, jakie są zasady gry. Była też możliwość potrenowania. Na początku niespecjalnie mnie to przekonało, ale ostatecznie spróbowałam swoich sił. Stwierdziłam, iż to było ciekawe doświadczenie. Bodajże w sobotę 26 listopada zwiedziłam Bari, stolicę Apulii. Miało to miejsce po południu, po obiedzie. Trzeba było się podzielić na kilkusobowe grupy, by mieć się na oku. Ja przechadzałam się z jednym z opiekunów mojej grupy i opiekunką grupy hiszpańskiej lub włoskiej. O godzinie 19.00 była zbiórka, o tej godzinie musieliśmy udać się w drogę powrotną do hotelu. W czasie powrotu zaczęło padać; gdy dotarliśmy do Conversano, tak padało, że moje buty i kurtka były całkowicie przemoknięte. Natomiast niedzielę miałam wolną, gdyż był to dzień przed wylotem. Niedziela zleciała i przyszedł poniedziałek 28 listopada, dzień powrotu do Polski. Lot z Bari wystartował około godziny 15.30. Na krakowskim lotnisku byłam mniej więcej o 17.30, natomiast na dworzec dotarłam

między 17.30 a 18.00. Odjazd pociągiem do Zielonej Góry był około 22.30. Do Zielonej Góry miałam dojechać pomiędzy godziną 5.30 a 6.00 rano we wtorek 29 listopada, lecz okazało się, iż było około 30 minut opóźnienia. Oczywiście musiałam też poprosić tatę, by mnie odebrał, gdyż miałabym problem z dźwignianiem 20-kilogramowego bagażu. W ten wtorek nie poszłam do szkoły, gdyż byłam trochę niewyspana po podróży pociągiem.

Ostatnią historią w tym rozdziale będzie wyjazd do Drezna na jarmark świąteczny, który miał miejsce 15 grudnia 2022 roku. Drezno to miasto we wschodnich Niemczech, na Pogórzu Zachodniosudeckim, położone nad Łabą, jest stolicą kraju związkowego Saksonia. Analiza śladów archeologicznych wskazuje na to, że zasiedlenie obszaru, na którym powstało miasto, nastąpiło już w epoce kamienia. W zachowanych dokumentach z 1206 roku wspomniano po raz pierwszy istnienie Drezna, które następnie awansowało do rangi miasta-rezydencji elektorów Rzeszy, króla Polski, a później króla Saksonii. Drezno pełni funkcję gospodarczego i kulturalnego centrum Saksonii. Miasto jest ośrodkiem turystycznym, zwanym miastem baroku lub Florencją Północy. Odbywa się tu Dresdner Striezelmarkt, czyli największy jarmark w Dreźnie, będący najstarszym jarmarkiem świątecznym w Niemczech, a być może nawet na świecie. Po raz pierwszy odbył się w 1434 roku. Stoi na nim kilka karuzel, olbrzymia szopka, świąteczna piramida i kilkaset świątecznych stoisk. W mieście w tym samym czasie odbywa się kilkanaście świątecznych jarmarków. W praktyce oznacza to, że całe miasto tętni świąteczną atmosferą, a stoiska ze świątecznymi drobiazgami znajdują się na każdym rogu. A dlaczego striezel w nazwie jarmarku? Otóż nazwa wywodzi się od drożdżowej strucli „Original Dresdener Christstollen”, najpopularniejszego bożonarodzeniowego ciasta. Oprócz mnie i mojej klasy pojechała klasa pierwsza, również o profilu turystycznym. Wyjazd z Zielonej Góry był o 6.00 rano w czwartek 15 grudnia. Do Drezna dojechałam nieco po 10.00. Na początku zobaczyłam Kościół Marii Panny. Jest to barokowy luteranśki kościół znajdujący się na drezdeńskim Neumarkt (pol. Nowy Rynek). Ta monumentalna świątynia to jeden z najbardziej znanych i rozpoznawalnych w Europie zabytków protestanckiej architektury sakralnej. Największy na świecie obok

katedry w Strasburgu budynek wzniesiony został z piaskowca, jego kopuła to najokazalsza tego typu konstrukcja wykonana z kamienia wśród kościołów leżących na północ od Alp. Kościół Mariacki wzniesiono w latach 1726-1743. Podczas II wojny światowej został w wyniku alianckich bombardowań miasta w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku bardzo poważnie uszkodzony i zawalił się ostatecznie rankiem 15 lutego. Za czasów NRD pozostał trwałą ruiną służącą za pamiątkę okropieństw wojny. Dopiero w 1985 roku zdecydowano o jego rekonstrukcji, jednak prace rozpoczęto dopiero po upadku Muru Berlińskiego w 1989 roku. Trwającą w latach 1994-2005 odbudowę pomagali sfinansować Dresdner Bank, towarzystwa miłośników miasta oraz indywidualni darczyńcy z całego świata. 30 października 2005 roku kościół został ponownie konsekrowany i otwarty dla wiernych i turystów. Z pomnika wojny przeistoczył się w symbol pojednania. Potem widziałam dzieło Orszak Książęcy. Jest to malowidło ściennie zdobiące zewnętrzną ścianę gmachu Langer Gang ograniczającego od północy dziedziniec (Stallhof) dawnego średniowiecznego kompleksu królewskiej rezydencji w Dreźnie. Autorem malowidła jest artysta drezdeński, malarz historyczny i profesor tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych – Wilhelm Walther (1828-1913). Niegdyś na dziedzińcu tym odbywały się turnieje rycerskie i zabawy dworskie. Malowidło stanowi największy na świecie ceramiczny obraz ścienny. Ma 101,90 m długości i 10,51 m wysokości. Kafelki o rozmiarach 20,5 × 20,5 cm zajmują łącznie powierzchnię ponad 1000 m<sup>2</sup>, a całość stanowi znaczące świadectwo sztuki malowania na kafelkach porcelanowych i zajmuje ważne miejsce w dziejach sztuki miasta. Malowidło Orszak książęcy zostało wykonane w celu upamiętnienia 800-letniej historii władców z dynastii Wettynów, władających Saksonią w latach 1123-1918. W przedstawieniu znalazły się łącznie dziewięćdziesiąt cztery osoby, z których trzydzieści pięć stanowią margrabiowie, hrabiowie, książęta i królowie Saksonii, w tym królowie Polski August II Mocny i August III Sas oraz książę warszawski Fryderyk August I. Pozostałe pięćdziesiąt dziewięć postaci to wizerunki podążających pieszo naukowców, artystów, rzemieślników, żołnierzy, dzieci i chłopów. Walther uwiecznił między innymi swoich nauczycieli Carla Gottlieba Peschela i Ju-



liusa Hübnera, architekta Hermanna Nicolai, rzeźbiarzy Johannes Schillinga i Ernsta Hähnla, malarza Adriana Ludwiga Richtera, a na końcu orszaku umieścił swoją postać. Ponadto namalował również czterdzieści pięć koni i dwa charty. Oprócz doskonałego podobieństwa portretu ukazanych postaci na uwagę zasługuje także niezwykle szczegółowe historycznie odwzorowanie szat, zbroi i broni z tamtych czasów. W dolnej części umieszczono także 35 herbów, w tym herby Polski i Litwy. Ostatnim obiektem, który udało mi się zwiedzić, był Zwinger. Przed pandemią też miałam pojechać do Dreżna, ale dzień przed wyjazdem dopadła mnie gorączka. Reszta klasy odwiedziła to muzeum. Udało mi się więc wejść z pierwszą klasą, mimo iż byłam w ostatniej, czwartej klasie. Ale myślę, że to sprawka mojego niskiego wzrostu. Zwinger to późnobarokowy zespół architektoniczny znajdujący się w centrum Dreżna. Jest zaliczany do najbardziej znaczących budowli późnego baroku w Europie. Nazwa „Zwinger” pochodzi od położenia budynku na obszarze, który niegdyś znajdował się pomiędzy zewnętrznymi i wewnętrznymi murami obronnymi. Zwinger został zbudowany etapowo w latach 1709-1732 na terenach mieszczących się niegdyś poza obrębem średnio-wiecznych, wewnętrznych fortyfikacji Dreżna, na których w XVI wieku prowadzono rozbudowę tychże fortyfikacji, zahamowaną przez powódź z 1570 roku na rzece Weißeritz, dopływie Łaby. Zaprojektował go znany architekt Matthäus Daniel Pöppelmann na zlecenie Augusta II Mocnego, elektora Saksonii, który w 1697 roku został wybrany na króla Polski. W czasie wojny siedmioletniej budynki Zwingeru służyły jako pruski magazyn wojskowy. W 1813 roku i podczas Wiosny Ludów Zwinger doznał znacznych uszkodzeń. W latach 1847-1854 po niezabudowanej północno-wschodniej stronie kompleksu wzniesiono monumentalny, neoklasykistyczny budynek według projektu architekta Gottfrieda Sempera. Po ukończeniu w Sempergalerie – jak nazwano ten budynek, ulokowano zgromadzoną w Zwingerze kolekcję cennych obrazów i w 1855 roku udostępniono ją do zwiedzania w ramach Muzeum Królewskiego. Po II wojnie światowej w budynku tym utworzono również Galerię Obrazów Nowych. Podczas bombardowania w 1945 roku Zwinger został prawie całkowicie zniszczony. Jego odbudowa rozpoczęła się

jeszcze w tym samym roku, gdy Drezno znajdowało się pod radzieckim zarządem okupacyjnym. W 1951 roku otwarto dla zwiedzających dziedziniec i pierwszą odbudowaną część kompleksu. Całość prac rekonstrukcyjnych została zakończona w 1963 roku. Powstał monumentalny kompleks zabudowań pałacu, otaczających rozległy, prostokątny dziedziniec, pierwotnie otwarty od północnego wschodu. Od południowego zachodu mieści się Długa Galeria, z Bramą Koronną w połowie długości. Od północnego zachodu oraz południowego wschodu dziedziniec zamykają galerie na rzucie podkowy, z usytuowanymi na ich osi oraz przylegającymi do nich po obu stronach pawilonami: pośrodku galerii północno-zachodniej znajduje się Pawilon Wałowy (lub inaczej Pawilon na Wałach), natomiast na osi przeciwległej galerii – Pawilon Miejski (nazywany też Pawilonem Grających Dzwonów). Galerię północno-zachodnią zajmują: Pawilon Francuski w północnym narożu kompleksu oraz budynek mieszczący Salon Matematyczno-Fizyczny, leżący po stronie przeciwległej, galeria południowo-wschodnia flankowana jest przez Pawilon Niemiecki we wschodnim narożu pałacu oraz Pawilon Porcelanowy po jej przeciwnej stronie. Poza tym za Pawilonem Francuskim znajduje się monumentalna fontanna, zwana Fontanną Nimf. W połowie XIX wieku po niezabudowanej pierwotnie północno-wschodniej stronie kompleksu wzniesiono według projektu architekta Gottfrieda Sempera neoklasycystyczny gmach (tzw. Galeria Sempera). Umieszczono w nim zgromadzoną w Zwingerze kolekcję obrazów, którą w 1855 roku udostępniono do zwiedzania. Cały kompleks otoczony jest rozległym parkiem. Od początku swoich dziejów Zwinger wykorzystywany jest do przechowywania i prezentowania wartościowych eksponatów. Obiekt posiada bogate zbiory muzealne, które należą do prestiżowego zrzeszenia Staatliche Kunstsammlungen Dresden. Dużą część z nich stanowi kolekcja historycznych wyrobów porcelanowych, w których obecna jest zarówno chińska, japońska i koreańska porcelana sprzed wielu stuleci, jak i znane w całych Niemczech wyroby z Miśni. Ważną rolę odgrywa w nich również kolekcja dawnych przyrządów i eksponatów matematycznych, fizycznych, astronomicznych, geodezyjnych oraz meteorologicznych. Ponadto w Zwingerze znajduje się Rüstkammer

– zbrojownia, w której prezentowane są egzemplarze bezcennych historycznych pancerzy, broni palnej i broni białej, a także oranżeria, w której podziwiać można wiele gatunków egzotycznych roślin, sprowadzonych do Zwingeru przez króla Augusta II Mocnego. Wśród jej zbiorów znajdują się także insygnia Augusta II Mocnego. W Zwingerze znajduje się także Galeria Obrazów Starych Mistrzów, w której mieszczą się bogate zbiory dzieł malarstwa europejskiego z okresu od XV do XVIII wieku, między innymi obrazy takich malarzy jak Tycjan, Rembrandt, Peter Paul Rubens czy Albrecht Dürer. Udało mi się zrobić przepiękne zdjęcia wyżej wymienionych obiektów, które zobaczyłam. Po odwiedzeniu Zwingera były mniej więcej 3 godziny wolnego czasu. W tym czasie kupiłam sobie trzy naszyjniki z kamyczkami oraz tacie prezent na święta. Było to coś w stylu statuetki – szklany prostopadłościan, w którym był znak zodiaku Baran. Z każdej strony była inna perspektywa, dodatkowo podświetlana. Około godziny 16.30 był powrót do Zielonej Góry. O 21.00 dotarłam z powrotem do miasta.

Ten pobyt poza granicami Polski przez trzy i pół tygodnia był dla mnie odskocznią od rzeczywistości. Mogłam zapomnieć o tym, iż przyszło mi żyć w dobie pandemii. Udało mi się skorzystać z możliwości wyjechania za granicę i jestem z tego zadowolona, gdyż nie dałabym rady całymi dniami siedzieć w domu przed komputerem.

Według mnie, żeby spełnić marzenia, trzeba wierzyć w to, że da się je zrealizować, niezależnie od tego, jakie przeszkody stoją na drodze. Pozwala to optymistycznie patrzeć w przyszłość i daje satysfakcję. Trzeba być pozytywnie nastawionym do wyznaczonych celów. Ważne jest, by wiedzieć, czego się chce. Marzenia są wspomnieniami bardziej lub mniej zapamiętanymi.

## W czterech ścianach

Trwaliśmy w tym bezkresie nudy, rutyny i smutku, który zaczął grać kluczową rolę w naszej izolacji. Dopiero kiedy nasze codzienne życie odbywało się na ekranie komputera, mimo początkowej euforii zdaliśmy sobie sprawę, jak wiele utraciliśmy. Te wszystkie wzniosłe teksty o tym, że człowiek potrzebuje do życia drugiego człowieka, dopiero teraz zaczynały nabierać znaczenia. Nie było to już czcze gadanie, tylko słowa, które nagle zaczęliśmy rozumieć. I teraz tak bardzo potrzebowałam wcześniej wstawać, iść na zakupy, oglądać mijany krajobraz z zatłoczonego autobusu, usiąść w szkolnej ławce. Pokoleniowa zmora uczniów stała się dla nas niedościgłym marzeniem.

Zaczęłam odpoczywać. Codzienny stres odszedł w niepamięć. Problem moich dojazdów sam się rozwiązał. Już nie musiałam cisnąć się w zatłoczonym autobusie. Zapomniałam, co to znaczy wychodzić z domu, gdy jest ciemno, i wracać, gdy słońce już zaszło. Mój zegar biologiczny wołał o pomstę do nieba. Mimo tego zaczęłam się wysypiać, a nawet moje worki pod oczami pożegnały się ze mną. Korzystałam z tego, jak tylko się dało. Odsypiałam wszystkie ciężkie poranki. Budzik dzwonił 10 minut przed lekcją, ale z łóżka wychodziłam równo o ósmej. „Przepraszam, miałam problem z internetem” było ulubionym i jedynym wytłumaczeniem, które zawsze działało. No bo jak nauczyciel miał udowodnić, że problemu faktycznie nie było? Zdawałam sobie sprawę, że nauczyciele doskonale wiedzieli, jaki był faktyczny powód spóźnienia. W pewien sposób usprawiedliwiona i zadowolona siedziałam na lekcji, nie martwiąc się o nic. Czy życie mogłoby być lepsze? Nie sądzę. Każde zajęcia wyglądały tak samo. Nikt nie miał specjalnie ochoty się odzywać, więc lekcja stawała się monologiem nauczyciela. Ich wywody były

moim ulubionym podcastem do śniadania. Krzątałam się w kuchni, robiąc owsiankę, i zupełnie nie skupiałam się na lekcji.

Jednak były dni, kiedy w monolog nauczyciela wtrącała się najbardziej irytująca osoba w całej galaktyce – Kasia. Z jednej strony nieszkodliwa, z drugiej doprowadzająca wszystkich do granic cierpliwości. Nikt nie miałby nic przeciwko, gdyby odpowiadała na temat, ale Kasia miała ogromny talent do omijania go. Dlatego kiedy zabierała głos, słyszeliśmy o wszystkim, poczynawszy od tego, co zjadła na śniadanie, a kończąc na karmie dla psa. Jak bardzo nas to interesowało? Wcale. Potrafiła włączyć kamerę i pokazywać nam wszystkim, jak jeździ na rollach po salonie.

Nikt tego nie komentował, nikt nie przeszkadzał jej w występach, po prostu słuchaliśmy. Znudzeni i zirytowani dzielnie znosiliśmy codzienną dawkę nikomu niepotrzebnych faktów. Jej niekończący się strumień świadomości stawał się dla nas wyzwaniem, a zarazem absurdalną rozrywką, której nie byliśmy w stanie zignorować. W pewien sposób Kasia dodawała kolorytu naszej rutynowej izolacji, sprawiając, że każdy dzień był pełen nieprzewidywalnych, absurdalnych zwrotów akcji. Jej niezwykła zdolność do wprowadzania chaosu była jednocześnie irytująca i fascynująca. Nawet w najbardziej rutynowych sytuacjach potrafiła znaleźć coś, co sprawiało, że przestawaliśmy myśleć o otaczających nas trudnościach i zaczynaliśmy się śmiać z jej nieprzewidywalności. Wraz z nią monotonia stawiała się bardziej znośna, a my zaczęliśmy doceniać te szalone epizody w naszej codzienności. Kasia stała się pewnego rodzaju bohaterką, która dostarczała nam nie tylko rozrywki, lecz także perspektywy. W jej codziennych opowieściach o banalnych wydarzeniach znajdowaliśmy pewną normalność i równocześnie niepowtarzalność naszej izolacji. Niezaprzeczalnie życie stało się bardziej wyważone, a codzienność nabierała nowego sensu. Każdy dzień z Kasią na lekcji był jak nieprzewidywalna podróż, podczas której każdy zakręt przynosił nowe zaskoczenie. A może to właśnie te absurdalne momenty były tym, czego nam wszystkim najbardziej brakowało w czasie kwarantanny – spontanicznością, śmiechem i odrobiną szaleństwa? W końcu dzięki Kasi

nasza rutynowa izolacja zamieniła się w barwną mozaikę niezapomnianych wspomnień.

Jednak gdy zapadał wieczór, a euforia codziennego absurdu gasła, doświadczałam uczucia pustki. Te chwilowe uciechy stawały się jedynie krótkim odpoczynkiem od smutnej rzeczywistości. Z każdym dniem, w miarę jak upływał czas kwarantanny, zaczęłam odczuwać brak prawdziwego kontaktu społecznego, realnej bliskości. Kasia i jej dziwaczne opowieści nie zastępowały tych momentów, kiedy mogłam spotkać się z przyjaciółmi, obejmować ich czy po prostu dzielić z nimi ciszę wieczoru. W tych chwilach samotności, gdy patrzyłam na ekran komputera z Kasią na lekcji, tęsknota za normalnością przysparzała mi smutku. Świadomość, że te szalone dialogi z nią to jedyna forma interakcji społecznej, prowadziła mnie do melancholii.

Kiedy wszystko pozostawało zamknięte, a ulice stały się opustoszałe, zdałam sobie sprawę, że samotność ma swoje uroki. Mogłam spędzać czas na czytaniu książek, oglądaniu filmów, czy nawet próbując nowych umiejętności. Było to jak sen, który trwał wiecznie. Jednak po kilku tygodniach coś zaczęło się zmieniać. Zaczęłam tęsknić za dźwiękiem rozmów, śmiechem i wspólnym spędzaniem czasu z przyjaciółmi. Okazało się, że izolacja była jak marzenie, ale brakowało jednej kluczowej rzeczy – drugiej osoby. Dni zlewały się z tygodniami, a tygodnie z miesiącami. Cały czas to samo. Wszyscy popadliśmy w okropnie nudną rutynę. Tym bardziej nikt nie chciał się odzywać na lekcjach.

Byliśmy bez życia, zawieszeni w jakiejś pustce, z której nie mogliśmy się uwolnić. Wraz z upływem czasu kwarantanny zrozumiałam, że nie tylko ja odczuwam tę samą potrzebę kontaktu z innymi. Wszyscy byliśmy w tym razem, wszyscy doświadczyliśmy tęsknoty za bliskością, a to jednoczyło nas bardziej, niż się spodziewałam. W izolacji próbowaliśmy przeciwstawić się monotonii i smutkowi. Jednak walka z samotnością była jak walka z nieuchronnym cieniem, który zawsze towarzyszył nam na każdym kroku. Odkryłam, że wspólne doświadczenie trudów wzmacnia więzi między ludźmi. Wszyscy pragnęliśmy chociaż krótkiej ucieczki od rzeczywistości, by oderwać myśli od wszechobecnej niepewności.

Mimo naszych wewnętrznych rozterek nie mogliśmy zaniedbać szkoły. Dalej wysłuchiwałam monologów nauczycieli i Kasi, która w porównaniu z nami była w wybitnie dobrej formie. W dalszym ciągu z tym samym entuzjazmem opowiadała o psie i swoich przeżyciach. O tym, że grała na komputerze i nagle w całym domu wysiadł prąd. Usłyszeliśmy również, że jej pies już nie chce jeść tej samej karmy, a jej papuga uciekła. Chociaż to się nie zmieniło. Czasem chcieliśmy nawet jej posłuchać. Co nam szkodziło, przynajmniej ona korzysta z tej beznadziejnej sytuacji.

Próżno było szukać plusów tej niecodziennej sytuacji. Komputer, który miał być idealnym rozwiązaniem czasu pandemicznej izolacji, stał się niechcianą koniecznością. Patrzyliśmy w szklany ekran, niby widząc swoje twarze, ale tak naprawdę traktując to jak przesuwające się martwe obrazy. Dlaczego to, co jeszcze przed chwilą było nudne i męczące, teraz było największym pragnieniem?

Wspominaliśmy początki kwarantanny – jak słodko brzmiało to w naszych uszach: szkoła online. Wyobrażenia buzowała. Jaki to będzie cudowny czas: wstawanie na ostatnią chwilę, lekcja w łóżku albo w kuchni podczas szykowania śniadania. Dopiero kiedy plecy zaczynały boleć od jednej pozycji, a oczy łzawić od gapienia się w ekran, docierało do nas, że ta wspañiała izolacja ma swoje ciemne strony. Ulice pustoszały, twarze innych ludzi znikwały za kolorowymi масечkami, strach przed nieznaną, ale niebezpieczną chorobą narastał. Zrobiło się dziwnie i jakoś tak mało komfortowo. Ludzie coraz rzadziej się odwiedzali, świat zaczynał się kręcić wokół mieszkańców każdego domu oddzielnie, w zakładach pracy rozluźniały się codzienne rozmowy, zniknęło wspólne picie kawy, nikt nie odwiedzał kawiarni, kin, teatrów. Wszyscy przemykali ulicami szybko i bezszelestnie, jakby właśnie to miało ich uchronić przed nieznanym wirusem.

Każde możliwe zajęcie, które nie wymagało wyjścia na dwór, zostało przeze mnie wypróbowane. Nie wiedziałam, co mogę więcej zrobić, by poczuć się lepiej. Brakowało mi ludzi. Świadomości, że nie mówię sama do siebie, a ktoś mnie słucha. Uczucia, gdy możesz przyjść do kogoś z problemem i otrzymać ciepłe słowa wsparcia. Możliwości wyjścia razem na spacer i dzielenia się

codziennymi przemyśleniami. To było to, czego naprawdę potrzebowaliśmy. Właśnie wtedy zrozumiałam, jak wiele emocji przekazuje się poprzez bezpośredni kontakt z drugą osobą. Chwile, gdy mogłam się przytulić, śmiać czy razem przeżywać radość, stały się dla mnie najważniejsze.

Przez ekran komputera czy telefonu mogłam rozmawiać z przyjaciółmi, ale to nie to samo, co wspólne przebywanie w jednym miejscu. Tęskniłam za zapachem kawy w ulubionej kawiarni, za ciepłym uściskiem przywitania po długim dniu i za wzajemnym wsparciem, które dawały mi bliskie osoby. Odczucia moich przyjaciół były takie same – chcieliśmy się znów widzieć. Coś, co pozornie było dla nas tak oczywiste i mało znaczące, stało się dla mnie ogromną wartością. Żałowałam, że zaczęłam to doceniać tak późno.

Dni uciekały mi przez palce. Z tygodnia na tydzień traciłam poczucie czasu i nie wiedziałam już, czy faktycznie mamy już ten miesiąc. Rutyna, w którą wpadłam, była nieznośna, ale miałam za mało samozaparcia, żeby z niej wyjść. Wstawałam rano, spóźniając się na lekcję. Nawet się tłumaczyłam, czemu tak się stało. Myślę, że nauczyciele też nie chcieli słyszeć setny raz w tym tygodniu tej samej wymówki. Czasem udawało mi się nawet dojść do biurka i tam dołączać do lekcji, ale takich dni było mało. Zazwyczaj leżałam w łóżku, głęboko zakopana w poduszkach, kołdrze i kocach. Na przerwach spałam. Śniadanie było ogromnym wyczynem, bo wiązało się z wyjściem z łóżka i zejściem na parter do kuchni, a na to brakowało mi sił. Dlatego śniadanie było wydarzeniem niezwykle nie tylko dla mnie, lecz także dla domowników, którzy rzadko mnie widzieli. Byłam jak duch, który raz na jakiś czas nęka mieszkańców nawiedzonego domu.

Zazdrościłam Kasi. Wyglądała świetnie w porównaniu z nami. Każde z nas miało worki pod oczami, bladą twarz i wzrok, jakbyśmy zaraz mieli opuścić ten świat. Teraz każdy nie mógł się na nią napatrzeć. Miała wypoczętą twarz, ułożone włosy i zawsze była nadzwyczaj dobrze ubrana. My nie. Zaczęliśmy mieć wrażenie, że wyszła z nas dobrą energię, dlatego tak dobrze wyglądała.

Jednak tak naprawdę każdy po cichu zaczął doceniać jej obecność. To ona powodowała jedyny uśmiech na naszych twarzach w ciągu dnia. Kiedy spojrzła w kamerę i opowiadała o swoich błahych, codziennych przeżyciach,



na naszych twarzach pojawiał się cień zazdrości, ale jednocześnie uznania. Była jak iskierka światła w mroku naszej monotonii. Z czasem zaczęliśmy dostrzegać, że Kasia była dla nas jak przystań, chociaż pozornie oddzielona od naszej rzeczywistości. Jej pozytywne podejście, choć czasami wywoływało irytację, stawało się jednocześnie ratunkiem przed przytłaczającym smutkiem. Widzieliśmy, jak dbała o swoje codzienne sprawy, jak opowiadała o prostych radościach, które stawały się dla nas jakby nieosiągalnymi marzeniami.

Wydawało się, że zabrała nam kawałek szczęścia, ale paradoksalnie dzięki niej nasze życie nabierało trochę barw. Była jak przewodnik przez świat normalności, którego większość z nas już nie pamiętała. Może i byliśmy zazdrośni, ale jednocześnie zaczęliśmy dostrzegać, że dzięki niej nasze codzienne zmagania stawały się bardziej znośne. W miarę jak kwarantanna się przedłużała, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że Kasia to nie tylko osoba, która zaskakuje nas codziennymi opowieściami. Stała się tą, która przypominała nam, jak wyglądają radość i normalność. Jej pojawienie się na ekranie było jak chwilowa ucieczka od naszych własnych problemów. Cokolwiek by się działo, Kasia zawsze miała coś pozytywnego do powiedzenia. Jednak z czasem nasza zazdrość zaczęła przeradzać się w uczucie niedosytu. W miarę jak jej opowieści stawały się coraz bardziej szczegółowe, a jej uśmiech coraz bardziej błyszczący, my zaczęliśmy odczuwać pustkę.

Czy naprawdę wszyscy musieliśmy borykać się z codziennymi zmaganiem i w samotności? Czy mogliśmy sobie pozwolić na odrobinę radości, takiej, jaką miała Kasia? Może i zaczęliśmy ją doceniać, ale jednocześnie zaczęliśmy się zastanawiać, czy nasze własne życie kiedyś wróci do normalności. Czy znajdziemy tę samą radość, którą Kasia zdawała się mieć w zasięgu ręki? W miarę jak dni mijały, a my tkwiliśmy w izolacji, nasza zazdrość zaczęła przeradzać się w smutek – smutek z powodu utraconych chwil, z których Kasia zdawała się cieszyć, a my mogliśmy je tylko obserwować. Wydawała się niezłomna, zawsze gotowa do dzielenia się pozytywnymi historiami. Siedziała przed komputerem i robiła dla nas ludziki z patyków. Ktoś by mógł pomyśleć, że to poziom przedszkolny, jednak idealnie odwzorowuje to, jak czuliśmy się podczas tak długiej izolacji.

Te drobne chwile śmiechu i normalności były jak oaza na pustyni, dodając kolorów naszej szarej rzeczywistości. Wspólnie przeżywane trudności sprawiły, że staliśmy się dla siebie ważniejsi, zbudowaliśmy wspólnotę, której siła tkwiła w zdolności do wzajemnego wsparcia. Tak oto, w najbardziej nietypowych okolicznościach, zrodziła się solidarność, która sprawiła, że przetrwanie stało się możliwe.

Przyszedł dzień, który zapowiadał się dla mnie jak każdy inny. Jednak taki nie był. Nikt z klasy nie mógł w to uwierzyć. Kasia zamilkła. Była nieobecna jak my. Na jej twarzy zauważyłam worki pod oczami, a jej skóra wcale nie promieniała. Nie mogłam uwierzyć, że nawet ona się poddała. Przestaliśmy słyszeć o jej psie i o jego karmie. Już nie zakładała rolek i nie jeździła przed kamerką. Trudno było mi to przyznać, ale tęskniłam za dawną Kasią. Zresztą nie tylko ja. Zmiana, jaka nastąpiła u naszej koleżanki, wywołała ogromne poruszenie w klasie i wśród nauczycieli. Było to tak niespodziewane jak śnieg w samym środku lipca. Izolacja była dla nas jeszcze cięższa. Szkoda nam było Kasi, ale sami nie mieliśmy na nic siły i chęci.

Minęły kolejne tygodnie, a my postanowiliśmy się zmobilizować i odwdziżyć Kasi za trzymanie nas przy życiu. Zaczęliśmy sami ją wypytywać o psa, o to, jak się czuje, co dziś zrobiła. Mogłoby się wydawać, że to zwykle, nic nieznaczące pytania, które nic nie dadzą. Jednak dały to, czego chcieliśmy. Kasia znów zaczęła rozmawiać i pokazywać nam swojego psa. Cieszyliśmy się jak dzieci, które właśnie odpakowały prezenty w Wigilię. To wtedy uświadomiliśmy sobie, jak bardzo tęsknimy za drugą osobą. Nawet za Kasią, której nie znosiliśmy przez całe liceum. Wiedzieliśmy, że musimy trzymać się razem, bo tylko tak jesteśmy w stanie przetrwać ten nadzwyczajny dla każdego czas.

Kwarantanna nauczyła mnie, że często nie zdajemy sobie sprawy, jak ważne są relacje z innymi ludźmi. To, co wcześniej wydawało mi się takie oczywiste, stało się teraz rzeczą bezcenną. Z każdym dniem zaczęliśmy dostrzegać, jak bardzo zaniedbaliśmy relacje z otoczeniem. Kasia, która wcześniej była jedynie irytującą osobą na lekcjach, stała się dla nas źródłem cennych chwil. Jej obecność oznaczała więcej, niżbyśmy się kiedykolwiek spodziewali. Staliśmy się bardziej otwarci na siebie nawzajem, szukając wspólnych

tematów rozmów, które pozwalały nam zapomnieć choć na chwilę o tej trudnej rzeczywistości. Wiedzieliśmy, że nasze wysiłki nie zmieniają faktu, że jesteśmy daleko od siebie fizycznie, ale emocjonalne zbliżenie stało się dla nas kluczowe. Kasia stała się jak łącznik między nami, a jej codzienne relacje stawały się mostem łączącym nasze odległe światy. Przez ekran komputera, dzięki jej opowieściom o psie czy zwykłym dniu, poczuliśmy, że nie jesteśmy sami. W tej niecodziennej izolacji zaczęliśmy budować więź, której wcześniej nie docenialiśmy. Nasza zazdrość z czasem zanikła, a w jej miejsce pojawiło się głębokie poczucie wdzięczności. Zrozumieliśmy, że Kasia była dla nas światłem w tunelu, przywracającym nam wiarę w to, że choćby wirtualnie, ale jesteśmy razem.

Nawet jeśli nie przepadasz za kimś w normalnych okolicznościach, kryzys potrafi zmienić perspektywę i pokazać, jak wiele znaczy druga osoba w życiu. Jako grupa zaczęliśmy pielęgnować te relacje, które wcześniej traktowaliśmy z pewnym dystansem. Kasia stała się dla nas inspiracją do tego, by czerpać radość z drobnych, codziennych przyjemności. Jej prostota, szczerość i otwartość pomogły nam zrozumieć, że w tym wszystkim jest coś więcej niż tylko walka o przetrwanie. Chociaż świat zewnętrzny zamykał się coraz bardziej, świat naszych relacji rósł w siłę. Dzięki tym rozmowom rozumiałam, jak bardzo ważne są relacje, jak bardzo tęskniłam za tymi zwyczajnymi, codziennymi chwilami z innymi. Nawet Kasia, której wcześniej unikałam, stała mi się bliska. Jej obecność była jak powiew świeżego powietrza w zamkniętym pomieszczeniu.

Kwarantanna mnie zmieniła. Zrozumiałam, że tym, co naprawdę liczy się w życiu, nie są sukcesy czy zasoby materialne, ale ludzkie związki. To one nadają życiu sens, sprawiają, że każdy dzień staje się wyjątkowy. Dzięki Kasi odkryłam, że nawet w izolacji można budować silne więzi, a codzienne rozmowy z nią stały się dla mnie czymś znacznie ważniejszym, niż wcześniej zakładałam. W końcu przestałam czuć się samotna.

# Zawirusowana przyjaźń

**Igor:**

Epidemia COVID-19 wstrząsnęła całym światem w bardzo krótkim czasie. Wiele osób zostało przymusowo uwięzionych w swoich domach ze względu na obowiązkową kwarantannę. W telewizji cały czas były transmitowane programy informacyjne, które zamiast napawać optymizmem, wręcz przeciwnie oddziaływały na ludzi. Nie ukrywam, zmieniło to moje życie, jednak koniec końców powiedziałbym, że na dobre. Pamiętam, jakby to było dziś, gdy w najnowszym wydaniu wiadomości zobaczyłem nagłówek o tym, że w Polsce odnotowano pierwszy przypadek zachorowania na tę wówczas bardzo zagadkową chorobę. Popadłem w jeszcze większe zaniepokojenie, gdy okazało się, iż ta pierwsza zakażona osoba jest z mojego miasta. Niezwłocznie pobiegłem poinformować o tym moją rodzinę.

– U nas w mieście jest covid! – wykrzyknąłem w kierunku mojej babci.

Babcia niezwłocznie pobiegła do telewizora, żeby przekonać się o tym na własne oczy. Pamiętam jej przerażenie w oczach do dzisiaj. Zadzwońnię również do mojej mamy, która w tamtym czasie znajdowała się w pracy.

– Covid do nas dotarł – rozpocząłem rozmowę.

– Ale jak to, o czym ty do mnie mówisz? – odpowiedziała wyraźnie zaskoczona mama.

– Widziałem przed chwilą w wiadomościach. To prawdziwa informacja – powiedziałem.

– No to teraz się zacznij – rzekła bardzo nienaturalnym tonem moja rodzicielka.

Chwilę później zakończyliśmy rozmowę, ponieważ musiałem się szykować do szkoły. Nie miałem jednak pojęcia, że to będzie jeden z ostatnich

dni przed bardzo długą przerwą, w którym zjawię się w budynku placówki oświatowej. Minęło kilka dni, akurat tak się złożyło, że tego dnia zostałem w domu. W internecie przeczytałem, że w samo południe ma zapasć bardzo ważna decyzja w sprawach organizacji nauki w szkołach. Gdy wybiła godzina 12.00, usiadłem wygodnie na kanapie, włączyłem jeden z popularnych kanałów informacyjnych i zamieniłem się w słuch. Nie musiałem długo czekać, żeby poznać główny cel tej konferencji. Zostało ogłoszone zawieszenie nauki w publicznych i niepublicznych jednostkach systemu oświaty na dwa tygodnie. Pamiętam to, jakby to było dzisiaj. Byłem niezwykle uradowany z takiej decyzji, ponieważ mało osób lubi chodzić do szkoły. Niezwłocznie zadzwoniłem do mamy, by opowiedzieć jej, czego się przed chwilą dowiedziałem.

- Mam wolne na dwa tygodnie – rzekłem bardzo szczęśliwy.
- Oby to były tylko dwa tygodnie, synku – odpowiedziała moja mama.
- Oby jak najdłużej, już wytrzymać się nie da z tymi nauczycielami – powiedziałem żartobliwie.
- Oj, uwierz, że jeżeli potrwa to dłużej, to nie będzie ci się to podobało tak, jak teraz, wspomnisz moje słowa – odpowiedziała mama.
- Dobra, dobra, miłej pracy i do zobaczenia w domu – zakończyłem rozmowę.

Krótko po tym wysłaniałem wręcz słowa mojej mamy, zastanawiając się, czemu ona tak pesymistycznie myśli. W niedalekiej przyszłości wszystko to, co mówiła, miało miejsce. Nie pamiętam już dokładnie, kiedy ogłosili przedłużenie „wolnego”, jednak w tym okresie została wprowadzona już nauka zdalna. Cokolwiek by mówić, sytuacja tego wymagała, ponieważ już do końca roku szkolnego mieliśmy zostać w domu. Tu już zaczynało robić się pod górkę ze względu na to, że mieszkam w małej wiosce pod Zieloną Górą, gdzie internet nie jest najlepszy, a co się z tym wiąże, lekcje online były dla mnie ogromnym wyzwaniem. Już w pierwszym tygodniu zorientowałem się, że nie jest to takie wysmienite, jak się spodziewałem na początku. Niektórzy nauczyciele nie przyjmowali do wiadomości faktu, że nie jestem w stanie na przykład włączyć kamerki ze względu na stan mojej sieci. Było to bardzo uciążliwe. Niejednokrotnie moja mama musiała indywidualnie

dzwonić do nauczycieli z informacją, że nie jest to mój wymysł, tylko prawdziwa przyczyna uniemożliwiająca czynny udział w zajęciach. Skłamałbym, gdybym powiedział, że każda nauczycielka mi nie wierzyła, powiedziałbym wręcz, że to były nieliczne przypadki. Szczególnie dobrze wspominam nauczycielki od matematyki, historii oraz języka polskiego. Nie dość, że nie robiły mi w tym względzie trudności, to służyły pomocą w tym trudnym dla każdego czasie. W międzyczasie pomiędzy lekcjami pobrałem na telefon aplikację Tinder do poznawania nowych ludzi. W tamtym czasie było to dla mnie wręcz niezbędne, ponieważ czułem ogromną pustkę i brakowało mi znajomych w moim wieku. Przez długi czas nie poznawałem nikogo, kto choć w najmniejszym stopniu byłby mnie w stanie zainteresować swoją osobą. Przez myśl przechodziły mi pomysły, żeby odinstalować tę aplikację, jednak coś mówiło mi, żeby dać jeszcze szansę. Był to świetny pomysł, ponieważ już następnego dnia w godzinach nocnych przyszło mi powiadomienie o nowej parze. Byłem bardzo zdziwiony, gdy zobaczyłem, kto mi się wyświetlił. Byłem wręcz przekonany o tym, że nie mogłem jej dać polubienia.

„Czy to na pewno nie jest jakiś błąd systemu?” – napisałem zdziwiony.

„No to miło rozpoczynasz tę konwersację” – odpisała Hania.

„Sorki, jeżeli zabrzmi to źle, ale nie pamiętam, żebym dawał ci polubienie” – kontynuowałem.

„No widzisz, to tak jak ja” – skontrowała szybko Hania.

Byłem bardzo skonsternowany. Nie wiedziałem, jak mam się do tego ustosunkować. Po jej wiadomości odłożyłem telefon i z tych emocji poszedłem zrobić trening MMA. Ćwiczyłem już od dłuższego czasu i moim celem było wystartowanie w mistrzostwach Polski. Gdy skończyłem ten nocny rozruch, spojrzałem w telefon i zobaczyłem wiadomość, która lekko mnie zszokowała, ale zarazem ucieszyła.

„Możemy zacząć od nowa, bo za pierwszym razem idealnie nie było” – napisała Hania.

„Bardzo chętnie i jeszcze raz przepraszam za ostatnią wiadomość” – odpisałem.

Pisaliśmy ze sobą aż do rana. Ani przez moment nie przeszło mi przez myśl, że następnego dnia mam bardzo ważny sprawdzian z języka polskiego przez internet. Gdy nadszedł czas testu, byłem bardzo rozkojarzony oraz zmęczony. Mało brakowało, żebym nie zaliczył tej formy sprawdzania wiedzy. Koniec końców zdobyłem 60 procent, co dało mi zaliczenie, choć nie tak, jakbym chciał. Cały czas myślałem o korespondencji z Hanią. Czulem, że znalazłem bratnią duszę, ponieważ dawno z nikim mi się tak dobrze nie pisało. Czatowaliśmy tak przez parę dni, aż pojawiła się propozycja spotkania. Normalnie nie byłoby o to trudno, jednak z uwagi na sytuację, jaka panowała wtedy na świecie, było to bardzo, ale to bardzo utrudnione. Myślałem nad tym, jak to zrobić, żeby jednak się zobaczyć. Były dwie opcje. Jedną z nich było czekanie, aż wszystkie obostrzenia zostaną zniesione, ale dla nas było to niezadowalające. Drugą, a zarazem bardziej ryzykowną opcją było spotkanie się mimo panujących obostrzeń. Oboje byliśmy bliżej drugiego rozwiązania.

„Co ty o tym myślisz?” – zapytałem Hanię.

„Moi rodzice na 100 procent mi nie pozwolą” – odpowiedziała.

„Zawsze możesz spróbować” – zasugerowałem.

„Zapytam ich dzisiaj wieczorem, ty też zapytaj” – napisała Hania.

„Dobrze, zapytam” – zakończyłem.

Niedługo po tej wiadomości poszedłem do mamy, która akurat robiła mnie i mojemu bratu obiad.

– Mam taką osobliwą sprawę – zacząłem rozmowę.

– Już się boję – odpowiedziała mama, wiedząc, do czego jestem zdolny.

– Czy mógłbym wyjść spotkać się z taką jedną koleżanką? – zapytałem ostrożnie.

– Jak? Kiedy? Przecież są obostrzenia – rzekła mama.

– Ja wiem, całą odpowiedzialność biorę na siebie – powiedziałem pewny siebie.

– Nie jestem pozytywnie nastawiona do tego pomysłu – odpowiedziała mama.

– Bardzo proszę – błagałem.

– Niech ci będzie, ale jak złapie cię policja, to ja cię nie znam – powiedziała, śmiejąc się, mama.

– Dziękuję, kocham cię – zakończyłem rozmowę.

Byłem niezwykle zadowolony, że ta sprawa ma taki koniec, a nie inny. Cały czas jednak czekałem na wiadomość od Hani, czy ona będzie mogła wyjść.

Jako że miałem dużo wolnego czasu, postanowiłem zrobić trening. Miałem jednak jeden duży problem. Potrzebowałem partnera do sparingów. Wtedy przypomniałem sobie, że mam brata, którego mogę uczyć, jak się bronić, a przy okazji sam nie wypadnę z formy. Byłem w szoku, ile on miał siły. Trzeba zaznaczyć, że jest on dziesięć lat ode mnie młodszy, czyli miał wtedy tylko sześć wiosen. Kiedy skończyłem uczyć mojego brata, a dokładnie odechciało mu się czerpać nową wiedzę, czułem potrzebę odpoczynku.

Gdy wziąłem telefon do ręki, zobaczyłem wiadomość od Hani. Automatycznie zacząłem się stresować i bałem się wejść w konwersację, jak się za chwilę okazało – słusznie.

„Nie zgodzili się, są nieugięci” – napisała Hania.

„Jak to, nie ma żadnej szansy, żeby zmienili zdanie?” – zapytałem zmar-twiony.

„Bez szans, powiedzieli, że mamy czekać, aż sytuacja się uspokoi” – odpowiedziała.

„Tragedia, no ale nie mamy już na to wpływu” – napisałem, żeby ją pocieszyć.

Po tej wiadomości nie otrzymałem już odpowiedzi. Na początku byłem zdenerwowany, bo nie lubię, jak ktoś nagle urywa rozmowę w jej kulminacyjnym punkcie. Im dłużej to trwało, tym bardziej złość zamieniała się w zaniepokojenie. Hania tak nigdy nie robiła, więc wydało mi się to bardzo dziwne. Postanowiłem, że w tym dniu już nie będę do niej pisał, żeby mogła się uspokoić. Chwilę po tym przyszedł do mnie mój brat Marcel.

– Pogramy, Igor, w lotki? – zapytał.

– No, oczywiście, jeśli znowu chcesz przegrać – odpowiedziałem roześmiany.



Mój brat był dla mnie wtedy bardzo dużym wsparciem. Mimo swojego młodego wieku potrafił mnie rozweselić, a nawet pocieszyć, gdy tego potrzebowałem. Oczywiście nie brakowało sytuacji, które byłyby niezbyt przyjemne, ale to normalne w każdym rodzeństwie. Oprócz niego miałem tylko mamę. Oczywiście dziadków też, ale ze względu na sytuację kontakt z nimi był utrudniony. Do dzisiaj wspominam, jak pierwszy raz pojechałem z mamą zawieźć dziadkom zakupy, żeby oni nie musieli iść do sklepu. Był to słoneczny dzień i razem z moją rodzicielką z samego rana pojechaliśmy do Zielonej Góry, żeby zrobić zakupy. Już sama ta czynność w tamtych czasach była bardzo utrudniona, ponieważ tylko ograniczona grupa osób mogła znajdować się jednocześnie na terenie sklepu. Gdy udało nam się kupić wszystko to, co potrzebne, od razu pojechaliśmy pod blok moich dziadków. Kiedy wyciągałem siatki z bagażnika, zobaczyłem, że w oknie stoi moja babcia. Było to dla mnie niesamowite uczucie zobaczyć ich po tak długim czasie. Wniosłem siatki po schodach i postawiłem przed drzwiami, żeby dziadkowie mogli je po prostu wziąć, ale nagle usłyszałem głos babci.

– Wejdźcie, słoneczka, do nas na chwilę – powiedziała.

– Nie chcemy was narażać, babciu – odpowiedziałem krótko.

– Już tyle czasu was nie widzieliśmy, więc nie macie wyjścia. Poza tym zrobiłam babkę – rzekła stanowczym tonem babcia.

– No dobrze, babciu, przekonałaś nas – odpowiedzieliśmy zgodnie i weszliśmy do środka.

Gdy wszedłem do mieszkania dziadków, byłem bardzo wzruszony i uro- niłem niejedną łzę. Oczywiście cały czas mieliśmy założone maseczki, żeby jak najbardziej zmniejszyć ryzyko zarażenia. Mogłbym siedzieć tam cały dzień, ale musieliśmy wracać, bo Marcel został sam w domu. Gdy wróciłem do domu, nie myślałem, że ten dzień będzie jeszcze piękniejszy. Po krótkiej drzemce wziąłem do ręki telefon i wtedy zobaczyłem wiadomość od Hani.

„Uciekam z domu, żeby się z tobą zobaczyć, napisz, kiedy możesz” – napisała.

„Ale jak to uciekasz? Nie rób sobie problemów” – odpowiedziałem.

„Ja już zadecydowałam. Sobota ci pasuje?” – zapytała.

„Pasuje. Widzimy się wieczorem w parku” – zakończyłem.

Zaskoczony poszedłem zrobić sobie kolację. Krótco po tym położyłem się spać, ponieważ ten dzień był pełen wrażeń. W końcu nadeszła długo wyczekiwana przeze mnie sobota. Byłem bardzo zestresowany i było to widać już od samego rana. Nawet moja mama, czujny obserwator, wszystko zauważyła.

– Co ty taki rozkojarzony dzisiaj? – zapytała.

– Nic ważnego – odpowiedziałem krótko.

– Znam cię i wiem, kiedy coś się dzieje – rzekła mama.

– No dobra, dzisiaj mam to spotkanie – powiedziałem niepewnie.

– To czym ty się stresujesz, jeżeli to jest twoja koleżanka?

– Tak właściwie to jeszcze się nie widzieliśmy – odpowiedziałem cicho.

– Będzie dobrze, mówię ci – zapewniła mama.

– No dobrze, skoro tak mówisz – zakończyłem.

Idąc na spotkanie, byłem bardzo zdenerwowany, ale jednocześnie podniekowany tym, że w końcu zobaczymy się na żywo. Do parku przyszedłem jako pierwszy, co tylko spotęgowało uczucie stresu. Nagle zobaczyłem dziewczynę idącą w moją stronę. Wstałem, żeby się przywitać. Na początku było bardzo niezręcznie, ale atmosfera szybko się rozluźniła.

– Nie myślałem, że jednak do tego dojdzie – powiedziałem.

– Ja tak samo, ale mam nadzieję, że rodzice się o tym nie dowiedzą, bo chyba bym dostała szlaban – rzekła.

– Spokojnie, nikt się nie dowie, bo w tym parku nikogo nie ma.

Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, co się stanie potem. Cieszyliśmy się każdą chwilą spędzoną razem. Zapomniałem nawet o obostrzeniach, które panowały w tamtym czasie. Uczyłem Hanię, jak dobrze wyprowadzać ciosy i tak dalej. Wydawałoby się, że nic nie mogło zniszczyć tak pięknej chwili, ale jednak się myliłem.

Gdy zbliżała się godzina 22, na horyzoncie ujrzeliśmy patrol policji. Na początku nas sparaliżowało, ale niewiele myśląc, rzuciłem hasło do ucieczki. Biegliśmy przez parę minut, aż nagle radiowóz zająchał nam drogę, odcinając drogę ucieczki. Widziałem, że Hania jest bardzo wystraszona, więc to ja musiałem przejąć rolę osoby, która spróbuje załagodzić sytuację, mimo że

w takiej roli stawiam się bardzo rzadko. Koniec końców nie udało mi się sprawić, aby ta sytuacja zakończyła się pozytywnie. Oboje dostaliśmy mandat opiewający na kilkaset złotych, ale nie to w tej całej sytuacji było najgorsze, ponieważ policja miała nas odwiedzić do samego domu ze względu na to, że nie byliśmy pełnoletni. To bardzo komplikowało sytuację nie tylko mnie, ale przede wszystkim Hani, bo ona w przeciwieństwie do mnie uciekła z domu bez wiedzy rodziców. Gdy policjanci odwiedzili mnie do domu, do drzwi podeszła moja mama.

– To przecież nie jest mój syn – powiedziała bardzo poważnie.

– Jak to, mają państwo identyczne nazwisko i w jego dokumentach widnieje pani jako matka – odpowiedział wyraźnie zdezorientowany policjant.

– Żartuje oczywiście. Dostanie nauczkę – zakończyła mama.

Po wyjściu funkcjonariuszy wydawała się rozbawiona przebiegiem sytuacji.

– Nie jesteś na mnie zła? – zapytałem.

– No jak, znam cię i tylko czekałam, aż cię przyprowadzą – powiedziała roześmiana mama.

– No tak, mogłem się domyślić – odpowiedziałem krótko.

Opowiedziałem o tej całej sytuacji bratu, który po prostu mnie wyśmiał i powiedział, że sam by to zrobił lepiej. Nie będę ukrywać, rozbawiło mnie to. Podsumowując, muszę powiedzieć, że niczego nie żałowałem. No, może jedynie tego mandatu mi szkoda, bo środki, które do tej pory widniały na moim koncie, już się tam nie znajdowały.

Była też sprawa, która nie dawała mi spokoju. Hania od tego momentu nie dawała znaku życia. Postanowiłem, że nie napiszę pierwszy, bo to nie ja namawiałem ją do ucieczki. Mówiłem wręcz, że to nie jest dobry pomysł i żeby dobrze to przemyślała. Tak mijały mi dni, bez żadnej wiadomości od Hani. Postanowiłem, że skupię się bardziej na samorozwoju. Dostałem się do redakcji internetowej, która pisała o mieszanym sztuce walki, czyli dyscyplinie, która jest mi niezwykle bliska. Nie porzuciłem oczywiście marzeń o starcie w mistrzostwach Polski. Przygotowywałem się bardzo skrupulatnie i dokładnie wykonywałem ćwiczenia mające na celu poprawienie ogólnej

sprawności fizycznej. Pewnego dnia moja mama nie czuła się dobrze. Miała gorączkę, kaszel oraz straciła smak i węch. Od razu kazałem mamie zrobić test na covid. Gdy dostała skierowanie i tak musiała czekać trzy dni na wymaz. Kiedy przyszły wyniki, okazało się, że nie ma tego wirusa, jednak po konsultacjach z lekarzem wyszło na to, że go miała, ale testy w tak późnej jego fazie go nie wykrywają. Niedługo po tym zacząłem odczuwać takie same objawy, jak moja mama. Pamiętam to jak dziś.

– To teraz chyba moja kolej – powiedziałem do mamy.

– No, masz to samo, co ja miałam – odpowiedziała.

Nawet bez pójścia na wymaz wiedziałem, co mi dolega. Czułem się wtedy okropnie. Nie miałem siły na nic, nawet na to, żeby wstać z łóżka. Najbardziej dokuczliwy w tym wszystkim był brak smaku oraz węchu. Przez to nie miało się ochoty nic jeść. Czułem się, jakbym żuł bezsmakową papkę. Postanowiłem napisać wiadomość do Hani, mimo że powiedziałem sobie, że nie napiszę pierwszy.

„Nie wiem, czy cię to w ogóle interesuje, ale zachorowałem na covid” – napisałem.

Nie oczekiwałem żadnej reakcji, a jednak zobaczyłem, że Hania postanowiła mi odpisać.

„Jak się czujesz?” – napisała.

„Jest OK. Nie wychodzę z domu i będzie dobrze” – odpowiedziałem.

„To dobrze” – kontynuowała.

„Tak z ciekawości, czemu się w ogóle nie odzywałeś przez ten cały czas?” – zapytałem z chęci utrzymania kontaktu z Hanią.

„Pogadamy, jak wyzdrowiejesz” – odpowiedziała wymijająco.

„Dobrze, trzymam cię za słowo” – zakończyłem.

Po mniej więcej tygodniu prawie wszystkie objawy ustąpiły. Napisałem „prawie”, bo brak smaku i węchu ciągnie się za mną do dziś. Z tej całej nieciekawej sytuacji zapadł mi w pamięci jeden moment. Było to wtedy, kiedy moja mama nie miała smaku oraz węchu i gotowała mnie i mojemu bratu obiad. Gdy już przyszło do konsumpcji, mój brat wypalił:

– Mamuś, ty lepiej gotujesz, jak nie masz smaku i węchu niż normalnie.

– No dziękuję ci, synku – odpowiedziała z uśmiechem na twarzy mama.

W tamtej chwili myślałem, że eksploduję ze śmiechu. Nie znałem i do tej pory nie znam bardziej szczerzej osoby od mojego brata. W takich trudnych momentach śmiech jest niezwykle pomocny, żeby przetrwać. W końcu nadszedł ten czas, że w telewizji zaczęto mówić, iż wynaleźli szczepionki i koniec pandemii jest bliski. Nie potrafię opisać radości, jaka mi w tamtym czasie towarzyszyła. Automatycznie nabrałem chęci do życia.

Teraz już musi mi się udać pojechać na te mistrzostwa – pomyślałem.

Wiedziałem, że teraz nic już nie jest w stanie utrudnić mi osiągnięcia tego celu. W zawirowaniach związanych z treningami totalnie zapomniałem o tym, że mieliśmy z Hanią szczerze porozmawiać. Nagle zobaczyłem, że właśnie ona wysłała do mnie wiadomość:

„To kiedy się spotkamy, żebyśmy mogła ci to wszystko wytłumaczyć?” – napisała.

„Mnie to jest dosłownie obojętne. Pasuje mi każda data i godzina” – odpowiedziałem od razu.

„No dobrze, w takim razie jutro o 17.00 w naszym ulubionym parku” – odpisała szybko Hania.

„Tak jest” – zakończyłem.

Ta noc zdawała się nie mieć końca. Bardzo, ale to bardzo mi się dłużyła. Gdy obudziłem się rano, nie wiedziałem, co mam myśleć o tym wszystkim. Z jednej strony byłem niesamowicie szczęśliwy, że się zobaczymy, a z drugiej byłem na nią zły, że tak długo potrafiła się nie odzywać. Jak zwykle dotarłem na miejsce pierwszy. Jednak tym razem byłem zmuszony dłużej poczekać na Hanię. Gdy w końcu się zjawiła, nie potrafiłem ukryć tego, że się cieszę.

– No dobra, co chciałabyś mi powiedzieć? – rozpocząłem rozmowę.

– Po prostu w głowie pojawiła mi się myśl, że przez tę całą pandemiczną otoczkę nie będziemy w stanie rozwinąć naszej znajomości.

– No ale jednak tu jesteś i rozmawiamy o tym, co się zmieniło przez ten czas – powiedziałem lekko zmieszany.

– Tak, bo zrozumiałam, że to, co zrobiłam, było infantylne i bardzo nie w porządku w stosunku do ciebie – odparła.

- Nie mogę zaprzeczyć – kontynuowałem.
- Gdy napisałeś do mnie, że zachorowałeś, automatycznie zaczęłam się o ciebie martwić i wtedy zrozumiałam, co zrobiłam, i postanowiłam naprawić błąd na tyle, na ile jest to możliwe – powiedziała.
- Jak to mówią, lepiej późno niż wcale – rzuciłem przysłowie.
- To wybaczysz mi? – zapytała Hania.
- Oczywiście, czemu nie – zakończyłem.

To wszystko dało nam do zrozumienia, że ciężka sytuacja tylko nam pomogła rozwinąć naszą relację, a nie, tak jak przypuszczałem, zahamowała jej rozwój. Od tego czasu jesteśmy z Hanią najlepszymi przyjaciółmi i zawsze możemy na siebie liczyć. Po zakończeniu pandemii wróciłem do treningów i spełniłem swoje marzenie. Zawalczyłem podczas mistrzostw MMA i zająłem na nich III miejsce, przywożąc do Zielonej Góry brązowy medal. Mogę więc rzec, że ta cała trudna sytuacja mimo wszystko dużo mnie nauczyła. Między innymi tego, że bliscy są obok i warto, a nawet trzeba o nich dbać, jak najlepiej się potrafi, bo tylko oni zostaną przy nas w sytuacjach nie tylko dobrych, lecz także tych, w których czujemy się zapomniani.

#### **Hania:**

Epidemia COVID-19 przyniosła wiele nieodwracalnych w skutkach zmian dla człowieczeństwa. Jej efekty odczuł niemal każdy świadomy obywatel naszej planety. Restrykcje dotknęły każdą sferę życia, poczynawszy od zdrowia, a skończywszy na stosunkach międzynarodowych. Ludzie nie tylko zaczęli zarażać się nową przerażającą chorobą, lecz także odczuwali psychiczne skutki lockdownu lub straty bliskich. Częstym zjawiskiem były depresja, przygnębienie i uczucie osamotnienia, które niestety dotknęło też mnie. Powiększało się bezrobocie i upadały małe biznesy, żyło się coraz ciężiej, a ludzie bali się o swoją pracę, karierę i jej rozwój. Niepokojące były też ogromne wzrosty cen w sklepach, widoczne aż do dziś. Uczniowie i studenci zaczęli martwić się o poziom swojego kształcenia, gdy nie mogli uczęszczać na zajęcia w trybie stacjonarnym. W najgorszej sytuacji znaleźli się maturzyści, których egzamin dojrzałości stanął pod znakiem zapytania. Z kolei młodsze roczniki żyły w niepewności, myśląc, jaki będzie ich poziom przygotowania do matury.

Problemy pojawiły się również w kontaktach międzyludzkich. Zawsze byłam osobą uwielbiającą kontakt z rówieśnikami, rozmowy z innymi ludźmi czy po prostu ich obecność. Czerpałam przyjemność z wychodzenia na imprezy, do miasta czy nawet do szkoły, w której miałam mnóstwo kolegów i koleżanek. Na moje nieszczęście pozornie niemożliwe stało się też poznanie nowych osób. Bardzo lubiłam i starałam się zagadywać do nich przy każdej możliwej okazji. Nigdy nie spodziewałabym się, że w tym ciężkim czasie uda mi się poznać prawdziwego przyjaciela.

Minęło parę tygodni od ogłoszenia pandemii, a ja wciąż nie zaczęłam przyzwyczajać się do zaistniałej sytuacji. O ile nauka przez internet nie wydawała się złym rozwiązaniem, o tyle brak kontaktu z rówieśnikami z klasy czy szkoły zaczął znacząco wpływać na mój nastrój, samopoczucie, samoocenę. Coraz częściej chodziłam przybita, a każdy dzień był taki sam – nudny i monotony. Rano wstawiałam do prowizorycznej szkoły, w przerwach między lekcjami, zamiast rozmawiać, śmiać się i plotkować z przyjaciółmi, leżałam w łóżku i przeglądałam internet. Po zajęciach nie robiłam nic innego. Oczywiście starałam się utrzymywać kontakt ze znajomymi poprzez komunikatory internetowe, ale to nigdy nie będzie to samo, co codzienne wspólne spędzanie czasu między lekcjami. Covid zweryfikował wiele moich znajomości, bez codziennego kontaktu na żywo zostało przy mnie tylko kilkoro najbliższych przyjaciół. Szczytem mojej rozrywki było oglądanie filmów i seriali, które w pewnym momencie zaczęły mnie nudzić i powiem brutalnie – odpychać. Nie mogłam nawet wyjść na spacer z psem, a bardzo mi tego brakowało. Zaczęłam doceniać rzeczy, które kiedyś były dla mnie normą, rutyną, a czasem wręcz obowiązkiem. Nie miałam możliwości odwiedzenia dziadków, którzy w szczególności mocno narażeni byli na skutki koronawirusa.

Gdy zaczęły się wakacje, było jeszcze gorzej, zupełnie nie miałam pomysłu, co robić. Czas, na który co roku z niecierpliwością czekaliśmy, w tym roku okazał się koszmarny. Zazwyczaj w tym okresie rzadko można było spotkać mnie w domu, zwykle byłam ze znajomymi nad wodą lub na mieście. Propozycji spędzania czasu z rówieśnikami było tak dużo, że często nie wiedziałam, co wybrać. Rodzice czasem wręcz zachęcali mnie do spędzenia

czasu w domu i „niewłóczenia się po dworze”. Teraz nie mogłam zrobić nic, co dałoby mi satysfakcję. To było bardzo przygnębiające zarówno dla mnie, jak i moich innych znajomych, którzy równie mocno odczuwali samotność, pustkę i potęgujące się znudzenie jednostajnością każdego dnia. Nie mogłam się doczekać powrotu do normalności i ponownego cieszenia się pełnią życia oraz korzystania z moich nastoletnich lat, jak robiłam to dotychczas.

Pewnego monotonnego jak zwykle wieczora naszła mnie myśl, aby ściągnąć popularną aplikację randkową – Tinder. Wiele osób, które znałam, korzystało z niej, ale ja nigdy nie czułam takiej potrzeby. Większość z nich zdawała sobie sprawę, że to niemal niemożliwe znaleźć tam miłość swojego życia, używali jej przeważnie dla rozrywki. Postanowiłam spróbować, nie miałam nic do stracenia, a mogło mi to w jakiś sposób urozmaicić wolne chwile, których w ostatnim czasie zrobiło się więcej niż zwykle. Kiedyś narzekałam na ilość zadań, które miałam do wykonania w ciągu dnia, i mało odpoczynku, a teraz oddałabym wszystko, aby do tego wrócić, bo czułam, że mam go aż za dużo. Pobierając tę aplikację, oczywiście nie nastawiałam się na zawarcie żadnej głębokiej relacji. Miała mi posłużyć tylko jako narzędzie do zabicia nudy. Śledzenie internetowych profili innych osób było najlepszą formą rozrywki, która przyszła mi na myśl. Codzienne przeglądanie różnych mediów społecznościowych nie sprawiało mi przyjemności, a wręcz mnie denerwowało. Byłam pewna, że z tą aplikacją będzie tak samo. Jednak w rzeczywistości przyniosła mi więcej dobrego, niż mogłabym przypuszczać. Poznałam przyjaciela w okresie pandemicznym, kiedy nikt nie spodziewałby się, że można nawiązać nową znajomość. Kilka godzin przeglądałam portal randkowy, dostałam nawet kilka wiadomości, ale żadna nie wzbudziła mojego zainteresowania. Chłopcy, którzy do mnie pisali, byli albo mocno wulgarni, albo zadawali mi bardzo dziwne pytania. Nie czułam się komfortowo, czytając wiadomości, które dostawałam. Nie planowałam rozpoczynąć rozmowy z żadnym z nich.

To chyba nie dla mnie – pomyślałam. Wtedy przyszło mi powiadomienie o nowej wiadomości z profilu, któremu na pewno nie dałam polubienia.



Igor...? Nie wydaje mi się, żebym w ogóle widziała dziś jego profil – pomyślałam bardzo zdziwiona. Z tego, co napisał, wynikało, że on też nie może sobie mnie przypomnieć. Czy to możliwe, że oboje przypadkiem daliśmy się „w prawo”? Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Chyba jesteśmy sobie przeznaczeni! – śmiałam się i postanowiłam odpisać na wiadomość. Finalnie była to bardzo dobra decyzja, bo pisaliśmy ze sobą aż do rana, nie kończyły nam się tematy. Okazało się, że oboje ściągnęliśmy tę aplikację z ciekawości, a nie z chęci znalezienia drugiej połówki, nie byliśmy w tym momencie gotowi na nowe związki, więc od początku pewnie było, że pozostaniemy tylko przyjaciółmi. Mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań: byliśmy fanami tej samej drużyny sportowej, słuchaliśmy tych samych artystów muzycznych oraz mieliśmy kilku wspólnych znajomych. Godziny, przez które pisaliśmy, zdawały się trwać jak minuty. Czas leciał mi tak szybko jak nigdy i wcale nie chciałam kończyć rozmowy. Dawno z nikim nie odczuwałam takiego flow. Minął miesiąc, a nasza znajomość rokowała na przyszłość. Naszym cichym marzeniem było spotkać się i porozmawiać na żywo. Bałam się, że będzie to niemożliwe, bo problemem były obostrzenia covidowe wprowadzone przez rząd oraz ponadprzeciętny strach moich rodziców przed zabójczym wirusem.

W czasie pandemii życie straciła moja ciocia, która zaraziła się w pracy i przez wiele tygodni leżała w szpitalu. Po tym wydarzeniu unikaliśmy jakichkolwiek kontaktów z innymi ludźmi, maseczki zakładaliśmy, nawet odbierając paczki od kuriera, a do sklepu wychodziliśmy tylko raz w tygodniu. To wszystko w panicznej obawie o zakażenie. Nie mieliśmy możliwości zobaczenia się nawet w lesie, nie mówiąc już o wspólnym wyjściu do miasta, do restauracji czy do kina. Jedyną możliwością byłoby złamanie prawa i wyjście z domu mimo ekstraordynaryjnego zakazu od państwa, jak również od moich rodziców. Byłam sfrustrowana, myślałam, że nigdy nie uda mi się spotkać z moim nowym znajomym. Żyłam w przekonaniu, że pandemia nie skończy się już nigdy. Pierwszy raz złapałam z kimś tak dobry kontakt, a nawet nie mogę się z nim zobaczyć.

Muszę obmyślić plan! – pomyślałam. Wtedy zaczęłam analizować, jak mogę przekonać rodziców, aby zgodzili się na moje wyjście z mieszkania.

Każda opcja wydawała mi się zła, bo wiedziałam, że są nieugięci i nieprzejednani, ale nie mogłam tak tego zostawić, musiałam zadziałać. Nawet zaczęłam naiwnie wierzyć, że zaryzykują nasze zdrowie, abym mogła spotkać się z moim nowym kolegą.

– Nie potrzebujecie może pomocy w domu? – spytałam rodziców.

– Myślę, że nie, a dlaczego naszła cię taka niespodziewana ochota do pomocy? Zwykle uciekałaś od prac domowych. Skąd ta zmiana? – spytała mama.

– Po prostu chciałam wam ułatwić zajmowanie się domem. I liczyłam na to, że może pozwolicie mi wyjść z domu, żeby spotkać się z kolegą. Obiecuję, że będziemy trzymać dystans i mieć na sobie maseczki.

– Wykluczone! – krzyknął tata.

– Nie zgadzamy się – odpowiedziała mama.

– Oczywiście! Wiedziałam, że tak będzie. Na co ja w ogóle liczyłam? – odpowiedziałam z płaczem, poszłam do pokoju i trzasnęłam drzwiami. Nie wyszłam z niego już do końca dnia.

Z jednej strony spodziewałam się takiej odpowiedzi, ale z drugiej liczyłam na cud i w głębi duszy czułam, że się zgodzą. Tym razem nadzieja mnie zawiodła. Nie miałam innego wyjścia, niż wymknąć się z mieszkania. Jeszcze nie wiedziałam, jak to zrobić, ale byłam pewna, że zrealizuję mój plan. Postanowiłam uciec z domu. W następną sobotę zamierzałam wyjść z mieszkania w czasie, gdy moi rodzice będą na wieczornych zakupach, a wrócić dopiero, gdy będą już spać. Aby mieć pewność, że nie wejdą do mojego pokoju, miałam powiedzieć, że źle się czuję i idę się położyć.

Niesamowicie się bałam, w głowie miałam każdy możliwy scenariusz porażki mojego buntowniczego planu. Rozum mówił mi, że powinnam być posłuszna i zostać w domu, nie mogłam ryzykować ściągnięciem choroby. Mogło się też okazać, że nowy internetowy znajomy nie jest tym, za kogo się podaje, i ma złe zamiary, ale serce chciało się spotkać... Nie byłam w stanie dalej się zastanawiać, jak brzmi jego głos i czy w realu będziemy dogadywać się tak dobrze, jak pisać do siebie.

Odliczałam dni do naszego spotkania. Niesamowicie podekscytowana i jednocześnie zestresowana czekałam na następny weekend. Nadszedł wy-czekiwany przeze mnie dzień. Nie spałam poprzedniej nocy, nie mogłam przestać myśleć ani o wizji poznania mojego nowego kolegi, ani o fakcie okłamywania najbliższych mi osób. Koło godziny 16.00 powiedziałam rodzicom, że chyba mam gorączkę i idę spać. Bali się o mnie, ale w żadnym stopniu nie podejrzewali mnie o kłamstwo. Ufali mi, co przyprawiało mnie o jeszcze większe poczucie winy. Po 18.00 usłyszałam odgłosy opuszczania domu. To był znak, że za 15 minut muszę wyjść z mieszkania. W czasie szykowania się do wyjścia trzęsły mi się ręce. Nie umiałam stwierdzić, czy jest to ekscytacja, strach, czy wyrzuty sumienia. Miotaly mną wszystkie możliwe uczucia. Wyszłam z domu. Przez emocje droga do parku minęła w mgnieniu oka. Z daleka zauważyłam chłopaka siedzącego na ławce. Wtedy wiedziałam już, że naprawdę istnieje, nie jest to żaden pedofil czy inny przestępca.

To on! – pomyślałam.

Podeszłam do Igora, przywitaliśmy się. Ta chwila nam obojgu wydawała się bardzo nierealna. Do tej pory rozmawialiśmy tylko przez internet. Wyglądał i brzmiał dokładnie tak samo, jak to sobie wyobrażałam. Oczywiście widziałam jego zdjęcia, ale wszyscy wiemy, że nie można porównywać fotografii do realnych twarzy. Nie był ani wyższy, ani niższy, był dokładnie taki, jak myślałam. Park, w którym się spotkaliliśmy, był pusty, nie widziałam tam żywej duszy. W zasadzie nie było w tym nic dziwnego, przecież był zakaz opuszczania domów, który nieodpowiedzialnie postanowiliśmy złamać. W momencie gdy zaczęliśmy rozmowę, opuściły mnie negatywne emocje. W tamtym momencie nie czułam już poczucia winy ani strachu. Nie myślałam o tym. Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność, okazało się, że mamy więcej wspólnych tematów, niż mogliśmy przypuszczać. Konwersacja była o wiele bardziej swobodna niż na czacie internetowym. Dużo łatwiej rozmawia się na żywo niż przez komunikatory. Czułam się szczęśliwa, w końcu poznałam prawdziwego przyjaciela! Czas mijał nam niesamowicie szybko, rozmowa zdawała się nie mieć końca. To było zbyt idealne, aby mogło być

prawdziwe. Czułam, że nie wszystko pójdzie zgodnie z naszym planem, ale nie przejmowałam się tym.

Miałam rację. O godzinie 22.00 w parku pojawił się patrol policji. Nie dość, że byliśmy niepełnoletni i spędzaliśmy czas na zewnątrz o takiej późnej porze, to jeszcze złamaliśmy zakaz spotykania się. Kiedy ich zauważyliśmy, wiedzieliśmy, że konsekwencje nas nie ominą. Oczywiście próbowaliśmy uciekać, ale na próżno. Byłam załamana, zestresowana i wystraszona. Nie wiedziałam, jaki będzie efekt naszego spotkania ze służbami. Spodziewałam się najgorszego, myślałam, jak będę tłumaczyć się rodzicom. Oboje zostaliśmy ukarani mandatem i odwiezieni przez policjantów do naszych domów. Zdecydowanie nie tak wyobrażałam sobie koniec wyczekanego, pierwszego spotkania z moim nowym przyjacielem. Pani policjantka zapukała do moich drzwi. Nerwowo oczekiwałam, aż rodzice nam otworzą. Czułam się wtedy jak najgorsza córka na świecie, nie chciałam sobie nawet wyobrazić, jaka awantura odbędzie się, gdy wejdę do mieszkania. Zżerały mnie wyrzuty sumienia i tylko mogłam się domyślać, jak surowe konsekwencje spotkają mnie za mój brak odpowiedzialności. Zaspana mama zobaczyła mnie w progu, w jej oczach widziałam wściekłość i zawód. Policjantka wytłumaczyła jej sytuację i zostawiła mnie w domu.

– Co ty sobie wyobrażałaś?! – krzyknęła mama.

Nie odpowiedziałam jej, nie wiedziałam, co powiedzieć, czułam, że ją zawiodłam, i przejmowałam się nie tylko moimi wyrzutami sumienia, lecz także tym, że straciłam twarz przed rodzicami.

– Naraziłaś naszą rodzinę na niebezpieczeństwo, mogłaś przynieść nam tego wirusa do domu. Chcesz, żebyśmy byli chorzy? Mandat oczywiście zapłacisz z własnego kieszonkowego – powiedziała nerwowo mama.

Usłyszawszy naszą rozmowę, do przedpokoju przyszedł tata.

– Do końca pandemii ani razu nie zostaniesz sama w domu – wykrzyczał. Jak powiedział, tak się stało.

Minęły trzy tygodnie, a oni stale towarzyszyli mi w domu. Przytłaczało mnie to, bo nie mogłam spędzić ani chwili z samą sobą, ale i tak najgorsza

była utrata zaufania do mnie. Wiedziałam, że bardzo trudno będzie mi je odbudować i wrócić do naszej poprzedniej relacji, która była w miarę stabilna.

Mijało coraz więcej czasu, a ja dalej byłam pod ciągłym nadzorem mamy i taty. Dni zdawały się ciągnąć w nieskończoność jeszcze bardziej niż dotychczas. Mój kontakt z Igorem też się pogorszył. Prawdę mówiąc, sama zaczęłam się od niego odsuwać. Z jednej strony bardzo zależało mi na relacji z nim, ale z drugiej nie mogłam wybaczyć sobie tego, co się wydarzyło. Cały czas dręczyły mnie wyrzuty sumienia i wiedziałam, że rodzice jeszcze długo nie zaczną mi ufać.

Przyznaję, że pogorszenie się naszych relacji było w pełni moją winą, to ja przestałam pisać i dzwonić. Wynikało to nie tylko z mojego poczucia winy, lecz także z faktu, że nie mogłam znieść wizji, że prawdopodobnie nie zobaczymy się jeszcze przez dłuższy czas. W tym momencie zaczęłam żałować nawiązywania nowych relacji w takich czasach jak epidemia. Byłam zdania, że nowa znajomość nie ma prawa rozwoju bez bezpośredniego i regularnego kontaktu na żywo. Doświadczylam tego na własnej skórze, tracąc więź z osobami poznanymi chwilę przed rozpoczęciem pandemii. Z moimi dawnymi przyjaciółmi znałam się na tyle długo, że parę miesięcy bez spotkań w rzeczywistości nic nie zmieniłoby w naszej znajomości, ale tutaj sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Chciałam uniknąć rozczarowań. Pomyślałam, że to po prostu nie ma sensu. Po co kontynuować coś, co nie ma prawa się rozwinąć?

Teraz wiem, że moje myślenie było błędne, ale w tamtym momencie zerwanie kontaktu wydawało mi się jedynym słusznym rozwiązaniem tego problemu, który w rzeczywistości sama sobie wykreowałam. Oczywiście mimo to miałam wątpliwości, zależało mi na naszej przyjaźni, ale nie chciałam przysparzać sobie więcej cierpień. Miałam mętlik w głowie, pojawiało mi się tysiąc myśli na minutę. Były dni, w których chciałam ponownie się odezwać, odpisać na wiadomości pozostawione bez odpowiedzi, ale bywały również takie, w których uważałam swoją decyzję za słuszną. Rozważałam też to, czy w tej sytuacji napisanie jakiegokolwiek wiadomości miałoby najmniejszy sens. Nikt nie lubi być ignorowany, a ja zachowałam się naprawdę nie

w porządku. Sama wiem, że źle bym się poczuła, gdyby ktoś z dnia na dzień, bez żadnego wyjaśnienia postanowił się ode mnie odsunąć. Nie miałam nawet okazji dowiedzieć się, jak on się czuje po zaistniałej sytuacji ze służbami. Nie wiedziałam, jak zareagowali jego rodzice, czy odczuł z tego powodu jakieś konsekwencje i jak sobie z nimi radzi.

A co jak, on też został ukarany i przeżywa to równie mocno jak ja i nic o tym nie wiem? Czy nie wspierając go w tym momencie, wciąż jestem dobrą osobą? – pomyślałam, podważając swoją decyzję. Po jakimś czasie wiedziałam już, że muszę pogodzić się z sytuacją, którą stworzyłam, przecież po takim długim czasie ignorowania go i tak by mi nie odpisał. Pewnie już mnie znienawidził – przypuszczałam. W mojej głowie moi rodzice również nie pozostawali bez winy, przecież gdyby normalnie pozwalali mi wychodzić, dalej mielibyśmy kontakt, a ja nie zadręczałabym się nieznosnymi myślami. Od czasu konfrontacji z policją w domu nieustannie słychać było kłótnie, a sytuacja była niezwykle napięta. Obwinałam ich o wszystko i z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że również wyżywałam się na nich za zaistniałą sytuację. Zauważyłam, że nie zachowywałam się dobrze wobec nikogo z mojego najbliższego otoczenia.

Sytuacja diametralnie się zmieniła, gdy niespodziewanie przyszła do mnie nowa wiadomość od Igora. Nie przypuszczałam, że to się stanie, przecież nie rozmawialiśmy ze sobą już tak długo. Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, odpisać i starać się w jakiś sposób uratować naszą relację, czy ponownie zignorować powiadomienie i dalej próbować przywyknąć do zaistniałej sytuacji. Jednak moja ciekawość zwyciężyła i postanowiłam odczytać otrzymaną wiadomość. Weszłam na czat i ujrzałam coś naprawdę przerażającego.

„Nie wiem, czy cię to w ogóle interesuje, ale zachorowałem na covid” – napisał. W sposobie, w jaki sformułował swoją wypowiedź, widać było złość, ale nie to było w tej sytuacji najważniejsze. Niesamowicie się zmartwiłam, od razu przypomniała mi się śmierć mojej cioci, która cierpiała i niestety odeszła od nas na zawsze właśnie przez tę fatalną chorobę. Modliłam się, żeby to samo nie stało się z Igorem. Nie mogłam zrobić nic innego niż odpowiedzieć. Nie wybaczylabym sobie, gdybym nie wsparła go w tym ciężkim czasie. Nasza

rozmowa nie wyglądała tak jak dotychczas. Widać było, że mój przyjaciel był na mnie zły za to, że tak go zignorowałam, i wiem, że nie mogę mu się dziwić. Napisał mi, że czuje się bardzo źle, a objawy ma już od kilku dni. Tego dnia otrzymał wynik testu, cieszyłam się, że mnie poinformował. Wiedziałam, że gdybym dowiedziała się o tym później od innych osób, nie wybaczyłabym sobie, że nie wsparłam go w tej ciężkiej chwili. Mimo że atmosfera była mocno napięta, wciąż do niego pisałam i chciałam, żebyśmy utrzymywali kontakt.

W tym momencie zrozumiałam, czym tak naprawdę jest przyjaźń. Zawsze myślałam, że to wspólna rozrywka i dobra zabawa, ale zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę oznacza to bycie dla drugiej osoby zarówno w najlepszych i najgorszych chwilach. Miałam już 100 procent pewności, że źle zrobiłam, ograniczając nasz kontakt tak naprawdę bez żadnego powodu. Mogłam mieć tylko nadzieję, że kiedyś mi to wybaczy i będziemy rozmawiać tak samo jak wcześniej. Codziennie pytałam, jak się czuje i czy jestem w stanie jakkolwiek mu pomóc czy go wesprzeć.

Po jakimś czasie powoli zaczęliśmy wracać do tego, co było w przeszłości. Wybaczyłam sobie i wydawało mi się, że Igor przebaczył mi. Byłam szczęśliwa, nawet moje relacje z rodzicami się polepszyły, przestałam obwiniać ich o to wszystko i zrozumiałam, że tak naprawdę mieli rację, nie pozwalając mi wychodzić z domu. Robili to dla mojego bezpieczeństwa, przekonałam się o tym, że nawet nas, młodych ludzi, może dotknąć panujący obecnie wirus, a jego objawy nie muszą wcale przebiegać tak łagodnie jak zwykła grypa czy przeziębienie. Niestety, żebyłam zdała sobie z tego sprawę, musiał uciepieć mój przyjaciel. Gdy Igor zaczął się lepiej czuć, w końcu mogliśmy przeprowadzić szczerą rozmowę. Wytlumaczyłam mu, dlaczego zachowałam się w taki, a nie inny sposób, choć dla mnie samej w tym momencie wydawało się to już mniej racjonalne niż wcześniej. Przeprosiłam go, a on to zrozumiał. Dlatego tak bardzo go doceniam. Mimo moich błędów postanowił przy mnie zostać. Streściliśmy sobie wszystko, co wydarzyło się w czasie, w którym nie rozmawialiśmy, choć w moim przypadku nie działo się zbyt dużo. Opowiedziałam mu o moich konsekwencjach po naszym spotkaniu

i napiętej sytuacji w domu. Dowiedziałam się, jak zareagowała jego mama na naszą historię z parku i w jaki sposób zaraził się tą straszną chorobą. Wszystko zaczęło wracać do normy. Czułam zarówno radość, jak i wstyd, że musiało wydarzyć się coś tak strasznego, abym zrozumiała swoje błędy. Wspólnie podjęliśmy decyzję, że nie powinniśmy widywać się do czasu zniesienia obostrzeń i do czasu, kiedy spotkania nie będą stanowiły tak dużego ryzyka zarówno dla nas, jak i dla naszych bliskich. Nie chcieliśmy, aby ktoś z naszej rodziny musiał przechodzić chorobę, która może przynieść nawet śmierć. Oczywiście chcieliśmy także uniknąć konfliktów z policją, kolejnych mandatów oraz zmartwień dla rodziców. Doszliśmy do wniosku, że jesteśmy w stanie wytrzymać, utrzymując kontakt tylko internetowo i telefonicznie, bo w końcu bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Teraz, gdy zniesiono już stan pandemii, wróciliśmy do szkół, do naszych znajomych sprzed wirusa, a świat zaczyna wracać do normy, dalej się przyjaźnimy i regularnie spotykamy. Zrozumieliśmy, że nasz pośpiech związany z pierwszym spotkaniem był zupełnie niepotrzebny i nieodpowiedzialny. W tamtym momencie wydawało mi się, że lockdown nigdy się nie skończy i jeszcze bardzo długo nie zaczniemy funkcjonować normalnie. Na szczęście się myliłam i uświadomiłam sobie, że to, co złe, nigdy nie trwa wiecznie. Czas epidemii wiele mnie nauczył, stałam się bardziej odpowiedzialna i dojrzała. Zrozumiałam, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż tylko dobra zabawa. Dużo bardziej istotne są wsparcie w dobrych i złych momentach naszego życia, zdrowie i bezpieczeństwo naszych najbliższych. Nauczyłam się doceniać życie takim, jakie jest, bo już wiem, że w każdym momencie coś może się zmienić z przyczyn niezależnych ode mnie ani od kogokolwiek. Nie narzekam już na obowiązki, takie jak szkoła, zakupy czy spacer z psem. Cieszę się za każdym razem, gdy widzę moich dziadków czy innych członków rodziny. Uwielbiam siadać z nimi przy jednym stole i rozmawiać godzinami, pamiętając czasy, gdy nie było dane mi ich widzieć przez długie miesiące. Zmiany widzę również w zachowaniu moich znajomych, którzy, tak jak ja, starają się docenić każdy moment, nawet taki, który kiedyś były dla nas najzwyczajniejszy.



Doszłam do wniosku, że zaczynamy doceniać wartość ludzi, rzeczy, sytuacji dopiero, gdy coś tracimy... Mimo że epidemia przyniosła wiele strat w życiu każdego z nas, ja wyciągnęłam z niej wiele lekcji, które pamiętać będę do końca mojego życia.

## Szarość codzienności z odrobiną piękna sztuki

Był to kolejny z wielu takich samych dni, zgubiłam się już w liczeniu, ile dni siedzę w domu. Kiedy każdy dzień wygląda tak samo, trudno jest rozdzielać noc od dnia, tydzień od tygodnia. Wstałam wtedy z łóżka późno, zdecydowanie za późno. Niebo było szare, a ulica pusta mimo godzin szczytu. Wyglądało to tak, jakby jednego dnia ktoś wyłączył świat. Zrobiłam kawę bez cukru, bo go nie było, ale z odrobiną mleka. Ciepło gorzko-mlecznego napoju rozeszło się po moim ciele. I tak siedziałam na starym niewygodnym krześle w kuchni, starając się zatrzymać to ciepło w sobie. Myśli kotłowały się wtedy w mojej głowie bardziej niż zwykle. Czekalam, aż jedyna osoba, z którą miałam kontakt, a mianowicie moja mama, wróci do domu. Mieszkałyśmy same, odkąd pamiętam, ojca nie było, a reszta rodziny mieszkała po sąsiedzku, ale z uwagi na epidemię nie mogliśmy się przemieszczać. Nie pamiętam, kiedy ostatnio razem usiedliśmy przy stole. Bałam się o nich, codziennie myślałam o tym, jak się czują. Bałam się, że ktoś z nas zachoruje. Zanim się obejrzałam, wybiła 14.00 i przez drzwi weszła mama. Mimo zarazy nie każdy miał możliwość pracy zdalnej, ona nie miała. Była silną kobietą, a przynajmniej taką starała się być. Teraz widziałam, że tylko próbowała stworzyć pozory, a w środku się bała. Zmęczenie było już wyrzyte na jej twarzy, co nie dziwi, biorąc pod uwagę, ile przeszła. Odgrzałyśmy wczorajszą zupę i usiadłyśmy do obiadu. Zawsze przy obiedzie słyszałam narzekanie na ból uszu od noszenia maseczki i na dłonie wysuszone od ciągłego odkażania alkoholem w pracy. Oglądanie telewizji w takich czasach nie było wskazane dla ludzi, którym

jeszcze zależy na jakimkolwiek zdrowiu i komforcie psychicznym. Liczba chorych rosła razem z cenami cukru i papieru toaletowego w sklepach. Po krótkiej rozmowie wróciłam do swojego pokoju. Położyłam się na starym wyleżałym łóżku, nie wiedząc, co dalej ze sobą zrobić. Wcześniej jedynymi moimi zajęciami były nauka i spotkania ze znajomymi, ale teraz to już nie miało znaczenia. Doszło do mnie, że nie potrafię cieszyć się swoim własnym towarzystwem. Czułam, że potrzebuję zmiany.

Szwendałam się bez celu po pokoju. Poszłam do starej biblioteczki w naszym domu z nadzieją, że znajdę w tym jakiś cel. W oczu rzuciła mi się książka o kuszącym tytule *Dżuma*. Nie wiem, czemu akurat ten tytuł wzbudził moje zainteresowanie. Niebieska okładka i poślótkle kartki skusiły mnie do czytania. Już po pierwszym rozdziale wiedziałam, że to jest dobra książka. Styl pisania i aura książki pochłonęły mnie. Przeczytanie jej zajęło mi półtora dnia. Już następnego ranka usiadłam do starego laptopa i wpisałam nazwisko autora. Zamówiłam kolejne dwie książki. Następną książką z mojego domowego zbioru, która wpadła mi w ręce, była *Zbrodnia i kara* Fiodora Dostojewskiego. Kolejna książka, która namieszała mi w głowie. Do Dostojewskiego i Camusa, których czytałam na zmianę, dołączył Franz Kafka. Dni zaczęłam spędzać nad książkami, co chwila zamawiając przez internet nowe tytuły. Swoje przemyślenia spisywałam w czarnym notatniku. Dzięki kilku książkom udało mi się znaleźć spokój i bezpieczne miejsce gdzieś głęboko w mojej głowie. Poczułam się, jakby ktoś w końcu uporządkował chaos w moim umyśle, ukierunkował moje rozważania.

Drastycznie zmieniło się moje patrzenie na ludzi i rzeczywistość. Przystałam się bać śmierci, w końcu jest nieunikniona i czeka każdego z nas. Postanowiłam romantyzować każdy dzień i eksplorować samą siebie. Zaczęłam czerpać przyjemność z obserwacji, myślenia i analizowania ludzi. Moja biblioteczka powiększała się coraz bardziej. Wkrótce po zniesieniu obostrzeń, kiedy wyjście z domu nie było zabronione, pierwszym miejscem, do którego się udałam, była Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Kamila Norwida. Pierwszy raz widok tych wszystkich książek wzbudził we

mnie takie emocje, zachowywałam się jak dziecko w sklepie z zabawkami, które usłyszało, że dostanie, co tylko sobie wybierze.

Weszłam w pierwszą lepszą alejkę. Los chciał, żeby był to dział z literaturą piękną. Po godzinie poszukiwań wyszłam z biblioteki z pokazną wieżą z książek. Tego też dnia poznałam, można to w ten sposób określić, literacką miłość życia – Pabla Nerudę, a konkretnie 20 wierszy o miłości i jeden rozpaczy. Na dworze było już wtedy całkiem ciepło, a zniesienie obostrzeń spowodowało, że miasto zaczęło odżywać i stopniowo tętnić życiem. Na deptaku pojawili się okoliczni artyści wygrywający radosną muzykę, pojawiły się też dzieci, których rodzice w końcu nie bali się wypuścić na dwór.

Sklepy powoli się otwierały. Miasto wybudzało się niepewnie, ale spokojnie, jak ze snu zimowego. Wiatr był świeży, pozwolił odpłynąć i myśleć o lepszym jutrze, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Tylko jedno miejsce w tej starej mieścinie cały czas zachowywało pamięć o tym, co się działo. Szpital uniwersytecki, od którego wszyscy trzymali się z daleka. W tamtym czasie dostałam z tego, mówiąc delikatnie, „trefnego” miejsca wiadomość o śmierci mojej babci ze strony ojca. Nigdy nie byliśmy blisko, można zaryzykować nawet stwierdzenie, że się nie lubiliśmy. Nie potrafiła mnie zaakceptować i chyba nawet nie chciała próbować. Stąd też decyzja, że nie przyszedłam się pożegnać, nie chciałam udawać, że coś czuję, że jest mi przykro. W owym czasie nie czułam nic.

Pogrzeb odbył się kilka dni później. Późnym popołudniem było chłodno i nieprzyjemnie, jak to na pogrzebach bywa. Jedna rzecz przypominała wszystkim o tym, co się jeszcze nie dawno działo. Liczba nowych, świeżo wykopanych grobów była przerażająca. Najbardziej uporczywa myśl była taka, że najprawdopodobniej każdy umarł z tego samego powodu, ale co teraz? Co teraz z nami...?

Jak społeczeństwo ma dalej funkcjonować? Czy dane nam będzie zapomnieć?

Jedynym sposobem, by uciec od tych myśli, była literatura. Częścią mojej codzienności stało się czytanie wiersza o rozpacz. Pablo Neruda idealnie pokazuje, jak piękne są słowa i jak pięknie można ich użyć. Niestety lock-

down wrócił, a covid dalej zbierał swoje żniwo w mieście. Ale tym razem obostrzenia nie były aż tak drastyczne. By odpocząć od domowych ścian, codziennie wybierałam się na spacer po okolicznym lesie. Obecność natury zawsze dawała mi swego rodzaju spokój i ukojenie. Siadałam wtedy na murku przy strumyku płynącym przez całą wieś. Uciekałam myślami do starych czasów, kiedy wszystko było łatwiejsze i bardziej zrozumiałe.

Po kilku dniach życia w covidowej rutynie zdałam sobie sprawę, że ulgę daje nie tylko czytanie, lecz także pisanie. Chociaż nazwałabym to bardziej amatorskim pisanem do szuflady, pozwalało mi otworzyć się przed sobą i lepiej uporządkować moje myśli i uczucia. Zaczęłam więc prowadzić swego rodzaju dziennik wspomnień. Pisałam w nim za każdym razem, gdy przeżywałam jakieś cięższe emocje, co pomagało mi się od nich uwolnić. Pozwalałam sobie również na tworzenie rozległych przemyśleń i rozważań na temat ludzi i społeczeństwa. Pisanie stało się swego rodzaju autoterapią, a może nawet logoterapią. Dzięki tej pewnego rodzaju strategii na przetrwanie, jakim było pisanie, odkryłam siebie. Bronią przeciwko demonom w mojej głowie stały się kartka i długopis. Resztę pandemii przeżyłam zanurzona w swoim świecie, na zmianę czytając i pisząc. Zaczęłam doceniać swoje towarzystwo i rozumieć, jakim człowiekiem jestem. Można by pomyśleć, że pandemia mi pomogła, zmusiła do zatrzymania się na chwilę w pędzie życia i zastanowienia się, dokąd zmierzam. Uważam, że liczne lockdowny zmieniły mnie jako człowieka. Wcześniej nie miałam czasu, by usiąść sama ze sobą i pomyśleć na tym, kim jestem i kim chcę być.

## Kres niczego

Leżałem pełen bólu i myśli w łóżku, wpatrując się w sufit. Miałem na sobie jak zawsze moją w ostatnim czasie coraz bardziej popielatą białą koszulę i eleganckie spodnie o coraz głębszej czerni. Zmusiłem się do położenia na brzuchu, opuszczenia ramienia na podłogę i sięgnięcia ręką pod łóżko. Był tam mój schowek na rzeczy w teraźniejszości do życia wiecznie mi niezbędne i te przeróżnego rodzaju oraz sprzecznej natury, mogące być w danej wersji przyszłości potrzebne. Palcami wymacałem papierosa i zapalniczkę. Wróciłem ciałem na początek drogi i zapaliłem. Zaciągnąłem się, po czym obserwowałem piękną smugę ulatującego ze mnie dymu. Zacząłem kaszleć. Bardzo mocno i długo kaszleć. Zerwałem się i usiadłem, czekając, aż napad się skończy. Konsekwencje były cięższe, niż się spodziewałem. Minęło sporo czasu od chwili, gdy musiałem zarazić się najprawdopodobniej koronawirusem i byłem coraz bardziej chory. Napilem się wody, położyłem głowę na kolanach i zmęczonym wzrokiem wodziłem po pokoju. Byłem w swojej kawalerce, położonej na miejskich peryferiach w starym, nędznym budynku. Wprowadziłem się do niej przeszło pół roku temu, gdy po ukończeniu szkoły podstawowej w swojskiej wsi zostałem posłany przez rodzinę do odległego, dużego miasta, by zostać uczniem dobrego liceum. Cieszyłem się z tego. Wiedziałem, że czeka mnie okres wolności i spokoju. Pokój był nieduży i groteskowy, niektórym przynosił skojarzenia z trumną czy beczką. Miał trzy metry długości, trzy metry szerokości i trzy metry wysokości. Szare, podniszczone ściany z dziurą w postaci okna, kryły się w większości za tak samo dojrzałymi i masywnymi meblami. Łóżko, szafa, biurko z krzesłem i regał wypełniony książkami. A, i nie można zapomnieć o malusieńkim blacie z jednym palnikiem, robiącym za kuchnię. Pozostała niewielka przestrzeń widocznych ścian

została z czasem zakryta przez namalowane przeze mnie obrazy, z czego najbardziej przykuwający uwagę przez swoją wielkość, nietypowość i istotność był portret psa na tle starożytnej Grecji, z wypisaną pod spodem sentencją: „PRAWDZIWY CZŁOWIEK TO DOBRY CZŁOWIEK”. Powstały z sympatii dla Diogenesa. Jeśli pomyśleć by o tym mieszkaniu w kategorii dziwności, definiując ją przez samo mieszkanie, to prawdziwie dziwnym, odstającym i niepasującym do niego elementem byłaby łazienka. Malutka, aczkolwiek typowa, będąca osobnym pomieszczeniem, a więc jakby nie z tego świata. Umilowałem sobie to miejsce i nazwałem swoim domem. Było cudownie absurdalne i klimatyczne. Cieszyłem się, że w nim żyłem. Samo liceum okazało się w swojej istocie tym, czym zakładałem. Kopia swej poprzedniczki. Nigdy nie musiałem się szczególnie uczyć i to też się nie zmieniło. Pewne cierpienie jednak pozostało, tak samo jak jego przyczyna. Problemem nie była trudność systemu, ale bycie w systemie. System sam w sobie połączony systemowo z innymi systemami. Każdy taki system tworzył systemowy problem w innych systemach i owe systemy oddziaływały na tychże systemów podmioty. Uczniów, którzy też pozostali tacy sami. Nic zresztą dziwnego, zostali jedynie wyrzuceni z budynku o nazwie „szkoła podstawowa” z karteczką ze słowem będącym wariacją słowa „ukończenie” i wrzuceni do innego budynku nazwanego szlachetniej i poważniej „szkoła średnia”. W związku z tym trudno oczekiwać od systemowo kreowanych indywiduów prawdziwych i głębokich relacji. Ot, system związał losy przypadkowych osób na cztery lata, by na koniec owe losy rozwiązać i wręczyć kolejną karteczkę z wariacją słowa „ukończenie”. I choć jako systemowy zbiór zwany klasą dogadywaliśmy się dobrze i spełnialiśmy systemowe kryteria dobrych relacji rówieśniczych, to w rzeczywistości była to jedynie iluzja. Maską czy bardziej gębą nałożona nie tylko na osobę, lecz także na to, co łączy dwie osoby.

Właśnie bezsens i brak prawdziwej relacji z prawdziwym człowiekiem sprawiły mi głębokie cierpienie. Jednak świat jest czarno-biały. Oprócz zła istnieje też dobro. I ja w to dobro wierzyłem nawet bardziej niż w zło. Pierwsza klasa liceum stała się dla mnie czasem kreacji piękna. Pięknych rzeczy, pięknych słów i pięknych myśli. W czasie, gdy absorbująca mnie szkoła nie

ograniczała mej wolności, żyłem własnym wolnym życiem. Rozwijalem się. Dążyłem do cnoty. Malowałem obrazy, pisałem wiersze, czytałem książki i snulem myśli. Byłem nie tylko w drodze do bycia malarzem, poetą i filozofem. Stawałem się człowiekiem-malarzem, człowiekiem-poetą i człowiekiem-filozofem. Wierzyłem, że żyję życiem i nadzieją na jeszcze lepsze życie.

Tak mijały kolejne miesiące pierwszej klasy liceum, aż nastał marzec. COVID-19 rozpanoszył się w Polsce. Nie panikowałem. Uważałem, że jest zagrożeniem i że należy z nim walczyć, ale świat jest pełen poważniejszego i rzadziej dostrzegalnego zła, wobec którego wirus nie był tym fatalistycznym i ostatecznym niebezpieczeństwem. Wracając z liceum piechotą do domu, cieszyłem się coraz przyjemniejszą pogodą i pięknem wiosennego świata. Czując wenę, postanowiłem napisać wiersz. Zatrzymałem się i usiadłem pod rozkwitającą lipą. Oparłem się wygodnie białą koszulą o korę drzewa, wyjąłem notes, pióro, napisałem pierwsze zdanie i wpadłem w twórczy trans. Nagle wyrwał mnie z niego energiczny i sympatyczny głos.

– Cześć, jestem Julia. Co robisz?

Podniosłem głowę i zobaczyłem przed sobą uśmiechniętą, piękną, rudą dziewczynę. Ubrana była w sukienkę w kwiaty. Stała nachylona nade mną, czekając na odpowiedź. Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Cześć, jestem Piotrek. Wiersz piszę – przedstawiłem się choć nie spytała mnie o imię.

– Coś tak czułam, że to to – zaśmiała się. – Mogę przeczytać?

– Jasne. – Podałem jej notatnik i przesunąłem się, by mogła usiąść obok.

– Bardzo ładny.

– Dziękuję.

– Podobny wiersz napisałam tu przed kilkoma dniami – roześmiała się.

– O, mógłbym przeczytać?

– Oczywiście. – Sięgnęła do plecaka i wyjęła swój notatnik.

– Piękny.

– Dziękuję.

Pokazywaliśmy sobie kolejno nasze wiersze, chwalać je i dziękując wzajemnie. Śmiałyśmy się z podobieństw, będąc jednocześnie w szoku z powodu



ich istnienia. Gdy rozmawialiśmy, każde jedno nasze pytanie nasuwało kolejne i tak samo było z każdą odpowiedzią. Z wrażeniem, że można tak bez końca. Czuć było narastającą obustronnie fascynację drugim człowiekiem. Chęć odkrycia, kim on naprawdę jest, dokopania się do najgłębszej prawdy o jego istnieniu. Chęć absolutnego poznania i zrozumienia. I chęć bycia blisko siebie. Czuć było miłość. Już tego dnia wyznaliśmy sobie nawzajem, że się zakochaliśmy. Po wielogodzinnym spotkaniu obiecaliśmy sobie, że jutro ponownie się zobaczymy. Tak samo następnego dnia. I następnego. I widzieliśmy się dzień w dzień przez tydzień, aż w systemie zaszła zmiana.

Nastaly zdalne oraz lockdown. Rodzice Julii w obliczu tak poważnej ich zdaniem sytuacji jak zmiana systemu szkolnictwa o 180 stopni zabronili jej absolutnie wychodzić z domu, a ona postanowiła to respektować. Nie rozumiałem jej. Nie wyobrażałem sobie, bym na jej miejscu mógł postąpić tak samo. Wiedziałem, że nie. Ale uznałem, że nie będę jej przekonywać. Że będę chciał tę decyzję, wiążącą się z jej własnym cierpieniem, pojąć taką, jaka jest naprawdę.

Uznaliśmy, że w obliczu możliwości jedynie niepełnego, wybrakowanego, nieprawdziwego kontaktu chwilowo go ograniczymy. Nie chcieliśmy tworzyć sobie masek i kłamać, myśląc, że mówimy prawdę. Być z drugim człowiekiem, nie będąc z drugim człowiekiem. Pierwszy raz w życiu tak bardzo brakowało mi drugiego człowieka. Ze stanu, w którym czułem szczęście i nieszczęście, przez stan wyłącznej szczęśliwości przeszedłem w stan kategorycznego nieszczęścia. W tym czasie w ogóle nie opuszczałem swojej kawalerki. I nie było to spowodowane strachem czy poczuciem winy z powodu nielegalności takiego działania, ale absolutnym brakiem chęci i skrajną zmianą życia. Przestałem myśleć o pięknym świecie, pięknych ideach, pięknych zdarzeniach. Moją głowę pochłaniały Julia i miłość do niej. Nie widziałem potrzeby spoglądania na rzeczy tak drugorzędne i w obliczu absolutu nieistotne. Wiersze pisałem tylko o Julii. Obrazy malowałem tylko o Julii. Myśli snułem tylko o Julii. Każdy szczegół, każda informacja, każdy domysł, każda sugestia, każda możliwość, każdy potencjał, każde wyolbrzymienie i każde kłamstwo o Julii stały się tematem tego, co tworzyłem. Julii

coraz wspanialszej, wyjątkowej i idealniejszej od ideału. Im dłużej Julii przy mnie nie było, tym intensywniej czułem i przeżywałem z pewnością mające w przyszłości nadejść spotkanie. Czas przestał dla mnie płynąć, była tylko ta jedna nieszczęśliwa chwila, gdy Julii nie było, którą żyłem z nadzieją, by się to zmieniło.

Nic tego rytmu czasu nie wytyczało. Dzień przeplatał się z nocą, zdalna lekcja z inną zdalną lekcją. W obu przypadkach należało powiedzieć jedynie „Dzień dobry” i „Do widzenia”. Aż po tygodniach takiego marnego życia bez życia, z nadzieją na życie, dostałem od Julii wiadomość nie do uwierzenia. Napisała, że już nie może wytrzymać, że chce się spotkać, że chce uciec i że to zrobi. Umawiając się na spotkanie, wybraliśmy najszybszy możliwy termin – teraz, i najodpowiedniejsze do tego miejsce – pod tą pamiętną lipą. Pierwszy raz od nieznanego mi czasu wybiegłem z mieszkania i przemierzałem puste miasto, z rzadka mijając zamaskowane sylwetki. Wyglądając dla nich jak szalenciec, więc wczuwając się w maskę na mej gębie, biegłem, szukając Julii z włączoną latarką w telefonie, choć było widno, na wzór Diogenesa z lampą szukającego człowieka w Atenach. Dotarłem i z daleka zobaczyłem, że przy drzewie stoi Julia. Podbiegliśmy do siebie... ale iluzja zniknęła. Oboje zwolniliśmy krok i przywitaliśmy się jak nieznajomi. To była Julia?! Nie, niemożliwe! Uprzednią radość zastąpiło rozczarowanie. Widziałem, że ta niby-Julia przeżywała to samo co ja. Moja ukochana została zamordowana przez samą siebie na moich oczach. Oboje stanęliśmy jak wryci i poleciały nam łzy. Byliśmy obok siebie i przeżywaliśmy własną tragedię. Nie staliśmy tam długo, chcieliśmy przeżyć stratę drugiego człowieka w samotności. Przytuliliśmy się na pożegnanie i nasze losy się rozwiązały.

Zmusiłem się, by wstać pomimo bólu. Wyjąłem spod łóżka ryż i doczołgałem się do kuchenki. Tylko to jadłem, i tak nie czułem smaku. Zresztą, jakie to ma znaczenie. Poczułem wzmocnienie gorączki albo natłoku myśli, albo jednego i drugiego. Zacząłem chodzić tam i z powrotem, stawiając kroki, obracając się na palcach i tak w kółko. Próbowałem rozchodzić ból i myślenie. Coraz ciężiej łapałem oddech, ale pierwszy raz od dawna poczułem przyływ irracjonalnej siły. Przyspieszyłem kroku, przy trudnościach

z oddychaniem było to niczym bieg. W końcu upadłem, wróciłem do łóżka. Myśli powróciły. Myśl pędziła za myślą, szturchając i szarpiąc się wzajemnie, goniły się w kółko, spadając w otchłań. Czułem, że zbliża się koniec. Tknęło mnie. Jedna z myśli wygrała. Sięgnąłem pod łóżko i wyciągnąłem głęboką szufladę pełną mych naiwnych wierszy. Poszukałem dalej i znalazłem kanister z benzyną i zapalki. Wylałem trochę na te kartki papieru, zapaliłem zapalkę i stało się. Spaliły się żywym ogniem. Zakaszlałem. Upadłem. Jakbym stracił świadomość. Ocknąłem się. Wstałem. Stłamsiłem ból ciężarem siły niszczącej, lejąc bezwładnie benzynę na obrazy i regał z książkami. Benzyna wsiąkała w nazwiska: Nietzsche, Camus, Gombrowicz, Mishima. Nie podпалиłem, upadłem, a zapalki potoczyły się w nieznanym kierunku. Nie wiem, ile to wszystko trwało. Całą wieczność. Było coraz gorzej, coraz bliżej skraju. Wyjąłem nożyk. Naciąłem palec. Zamyśliłem się, walcząc o każdą myśl kreacji, i krwią na pustej, szarej ścianie napisałem: „TU NASTAŁ KRES NICZEGO”.

Upadłem i więcej nie wstałem. Czułem, jak uchodzi ze mnie świadomość, jak ja sam siebie w sobie zatracam, jak umieram i sam się zabijam. W ostatniej chwili życia zapłakałem. I umarłem, duchowo czy materialnie, choć wątpię, że kiedykolwiek żyłem.

## Nowy początek

W wieku piętnastu lat nie wiedziałam, co mnie jeszcze czeka. Mój świat obrócił się o 180 stopni w dniu, w którym wybuchła epidemia COVID-19. Dla wielu ludzi pandemia była istnym horrorem, którego nikt nie mógł sobie wyobrazić. Brak kontaktu z innymi ludźmi, spędzanie całego dnia w domu, bycie zamkniętym w czterech ścianach. Monotonne czynności – praca, zajęcia przed komputerem, jakiś posiłek i coś do picia. I co dalej? Dużo czasu wolnego, co dla wielu stało się nie lada wyzwaniem. Część ludzi nie potrafiła się odnaleźć w tych specyficznych czasach. Wielu straciło przyjaciół znajomych oraz miłość czy nawet chęci do normalnego funkcjonowania.

Dla mnie covid był czymś na kształt wybawienia. Zanim rząd wprowadził lockdown, spędzałam całe dni samotnie w szkole. W wieku trzynastu lat przeprowadziłam się z małego miasteczka do Warszawy. Trudno było odnaleźć się w nowym otoczeniu, od dziecka miałam bowiem problemy z nawiązywaniem nowych kontaktów. Od tak wczesnych lat nabyłam wiele kompleksów. Gdy nawet najmniejszy mankament mojego ciała lub zachowania został wytknięty, nie potrafiłam wybić tego z głowy i dręczyły mnie myśli „Dlaczego taka jestem?”, co mogę zrobić, żebym była wystarczająca?”. W nowej szkole wcale nie było lepiej. Przyszłam tam z nadzieją na lepsze jutro. Marzyłam o nowych znajomościach, wyjściach na kawę z przyjaciółką czy na wieczorny spacer z chłopakiem. Jednak mój los miał inny co do tego plan. Znowu zostałam sama. Wytykana palcami na szkolnym korytarzu podczas przerw. Gdy tylko nakazano nam siedzieć w domach, poczułam wewnętrzną ulgę. Nie miałam ochoty chodzić do szkoły, tym bardziej siedzieć samotnie podczas przerw jak wyrzutek.

Cała ta sprawa nabrała tempa, kiedy jedna z moich „prześladowczyń” ośmieszyła mnie przed całą klasą, która ją poparła, i zaczęła się ze mnie naśmiewać. To wtedy doznałam pierwszego ataku paniki, który sprawił, że bałam się wychodzić z domu. W czasie kwarantanny próbowałam zwiększyć swoją pewność siebie. Z biegiem czasu moja samotność i tęsknota za interakcjami międzyludzkimi tylko rosły. Poczułam się zagubiona i dryfująca jak statek bez kompasu. To było tak, jakbym żyła w ciągłym stanie straty, oplakując życie, które prowadziłam przed pójściem do szkoły.

#### *Pół roku po wybuchu pandemii*

Wstałam o wczesnej porze, około 6.30. Dla wielu uczniów podczas covidowych zajęć ten fakt był wręcz zaskakujący. Po co wstawać o tak nieludzkiej porze? Przecież to prawie jak środek nocy! A jednak musiałam załatwić wiele spraw, zanim zaczną się e-lekcje. Najpierw odrobić biologię, która była dla mnie utrapieniem. Modliłam się w duchu, żeby moja nauczycielka biologii rozpoczęła zajęcia od nudnej rozmowy o jej życiu. Zazwyczaj opowiadała o swoich kurczakach, jaki to niesamowity biznes i jak świetnie jej się pracuje poza domem. Tym razem jednak było inaczej. Przywitała nas chłodnym tonem, spoglądając na nią, zauważyłam denny wyraz twarzy. Widać było, że wstała lewą nogą. Może kurczaki nie dały jej spać? Trudno było stwierdzić. Od razu przeszła do sprawdzania obecności. Z naszej trzydziestoosobowej grupy było zaledwie trzynaście osób. Oczywiście lekcje zaczynały się równo o ósmej, więc spora część naszej klasy jeszcze nawet nie wstała. W końcu przeszła do sprawdzania zadania. Wyczytywała po kolei nazwiska z listy, która widniała na jej małym ekraniku.

– Dominika, przeczytaj zadanie, proszę – powiedziała chłodnym tonem nauczycielka.

Cisza.

– Dominiko, czy jesteś tu z nami?

Cisza.

– Cóż, wiedz, że masz nieobecność na mojej lekcji.

Nagle na ekranie pojawiła się wiadomość od mojej rówieśniczki:

- Przepraszam najmocniej, ale mikrofon mi nie działa.
- Ale przy sprawdzaniu obecności działał – oznajmiła nauczycielka.
- No ale przestał... przed chwilą – napisała Dominika.

Biolożka westchnęła ciężko. Nie miała siły na kolejne dyskusje. Nie pierwszy i nie ostatni raz zdarzyła jej się taka sytuacja. Normalnie mogłaby wstawić Dominice jedynekę, ale machnęła ręką i powiedziała, żeby odesłała jej zadanie na maila.

– Dobrze, to może wybierzmy inną osobę, która ma dostęp do mikrofonu.

Nagle nieoczekiwanie dało się słyszeć dziwny dźwięk. Było to coś... jakby chrapanie? Dostrzegłam, że jeden z mikrofonów jest włączony. To Kuby. Przysnęło mu się. Ale jakim cudem mikrofon się włączył? Wszyscy usłyszeli głośny odgłos chrapania. Spostrzegłam lekkie załamanie mojej nauczycielki. Reszta chichotała, nagrywając zaistniałą sytuację. Co poradzić? Lekcje bywają wyczerpujące, nawet te zdalne, na pierwszej lekcji.

– Kuba, budzimy się – oznajmiła nauczycielka.

Nic. Chrapie dalej.

Nagle rozległ się wrzask.

– KUBA!

Chłopak zerwał się na równe nogi. W amoku zdążył wyłączyć mikrofon. Przeprosił za wydobywające dźwięki i o dziwo sam zaproponował przeczytanie zadania domowego. Co prawda było widać, że czyta z internetu, ale liczą się dobre intencje.

Tak przebiegła pierwsza lekcja. Nie było najgorzej. Wszystko przebiegło szybko i sprawnie, a cały dzień minął w mgnieniu oka.

\* \* \*

Nazajutrz obudził mnie hałas dobiegający z kuchni. To moja mama. Szukowała się do pracy, robiąc śniadanie dla siebie i dla taty. Ja mogłam jeszcze chwilę poleżeć. Zajęcia miałam dopiero o 9.40, więc na spokojnie mogłam odrobić zaległe prace domowe. Zanim tata wyszedł do pracy, zdążyłam podsłuchać ich rozmowę. Ich konwersacja nie należała do najprzyjemniejszych.

Niestety czasy covidu dla moich rodziców nie były korzystne, w tym okresie bowiem ciężko zachorowała moja babcia. Jakby tego było mało, ze względu na obostrzenia związane z kwarantanną nie mogliśmy jej odwiedzać. Serce bolało mnie z powodu babci, a odległość tylko sprawiała, że czułam się jeszcze bardziej odizolowana i samotna. Mimo spokoju, jaki miałam podczas kwarantanny, dla wielu z nas był to bardzo stresujący moment w życiu. Oddalona od siebie rodzina, której nie możesz zobaczyć przez niewiadomy czas. Miesiące? Lata?

Moje myśli przerwał fakt, że zostało mi co najmniej pół godziny na przygotowanie się do moich codziennych obowiązków. Pospieszenie ruszyłam do łazienki, gdzie wzięłam prysznic i umyłam zęby. Pomimo ciężkiego poranka dzisiaj czułam się inaczej, jakbym zaczęła nowy rozdział. Patrząc na siebie w lustrze, zdałam sobie sprawę, że ostatnio zaniedbuje swoje zdrowie fizyczne i psychiczne. Pomyślałam, że czas zadbać o siebie, pielęgnować ciało i umysł. Pewność siebie zawsze była dla mnie problemem. Trudno nie porównywać się z innymi i nie mieć poczucia, że nie jestem wystarczająco dobra. Ale dzisiaj jestem zdeterminowana, aby to zmienić. Zamierzam nadać priorytet mojemu dobremu samopoczuciu i skupić się na własnych mocnych stronach, zamiast stale szukać potwierdzenia u innych. Mam wysokie ambicje i wiem, że dbanie o siebie zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym jest kluczowe, jeśli chcę je zrealizować. Chcę być najlepszą wersją siebie, a to zaczyna się od dbania o swoje wnętrze. Wiem, że będą chwile zwątpienia i niepowodzenia, ale muszę zaważać o lepsze jutro.

\* \* \*

*Pół roku później*

W końcu zmniejszyli obostrzenia. Nie sądziłam, że ten fakt może wzbudzić we mnie tyle euforii. Mogłam „swobodnie” przemieszczać się uliczkami wokół starego rynku mojego miasta. Spacerować o 6.00 stały się dla mnie codziennością. Choć nigdy nie byłam rannym ptaszkiem, to taka forma aktywności sprzyjała ostatnio mojemu samopoczuciu. Podziwiałam otaczający mnie świat. Drzewa były zielone, kwiaty wciąż kwitły, a słońce świeciło.

To było tak, jakby natura przypominała mi, że nawet w najciemniejszych czasach wciąż można znaleźć piękno. Rozmyślając, nieoczekiwanie wpadłam na połowę większego mężczyznę. Kiedy się zderzyliśmy, moim pierwszym odruchem było przeprosić i iść dalej. Ale kiedy zaczęłam się odwracać, chłopak wypowiedział moje imię.

– Marta?

Zamarłam na chwilę, a moje myśli pobiegły do miejsca, skąd go znałam. Zdjął czarną maseczkę, zakrywającą połowę jego twarzy. Spoglądałam z ukosa na jego odsłoniętą twarz, którą nie do końca kojarzyłam.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – zapytał z nutą smutku w głosie.

Przeszukałam pamięć, próbując znaleźć wszelkie wskazówki dotyczące tego mężczyzny i naszej wspólnej przeszłości. I wtedy do mnie dotarło. To był ktoś, kogo znałam w dzieciństwie. To chłopak, z którym szybko się wtedy zaprzyjaźniłam. Spędzaliśmy niezliczone godziny, bawiąc się razem i odkrywając otaczający nas świat. Kiedy wspomnienia wróciły, poczułam, jak zalewa mnie fala emocji. Ciemnooki brunet spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął.

– Chcesz pójść ze mną na kawę? – spytał lekko drżącym głosem.

\* \* \*

Zupełnie nie pasuję do wesołych i pewnych siebie rówieśników. Jak wcześniej wspomniałam, trudno jest mi się wdać w nowe relacje. Często były to epizody w moim życiu, przeplatane krótkimi znajomościami, które i tak na ogół kończyły się tym, że zostałam pozostawiona sama sobie. Z wyjątkiem jednego, który zawsze się wyróżniał – mojej starej przyjaźni z Adamem. Po wielu latach w końcu mieliśmy okazję spotkać się ponownie. To była chwila pełna radości i wzruszeń. Powróciły wspomnienia z naszego wczesnego dzieciństwa, śmialiśmy się i wspominaliśmy stare, dobre czasy. Rozmawialiśmy o naszym obecnym życiu i o tym, jak bardzo się zmieniliśmy. Adam już dawno nie przypominał tego małego i drobnego chłopca, jakim był ponad dziesięć lat temu. Był dwa lata starszy ode mnie, czyli miał siedemnaście lat. Był wysoki, miał wysportowaną sylwetkę. Jego długie brązowe loki lekko opadały na twarz, delikatnie zasłaniając oczy. Słuchał uważnie, gdy dzieliłam się z nim



moimi zmaganiem z znalezieniem swojego miejsca na ziemi, a także zaoferował mi pomoc i wsparcie. Chwilę posiedzieliśmy w małej i przytulnej kawiarence, sącząc kawę i gadając na różne tematy.

– Jak się tu znalazłaś? – zapytał z lekkim niedowierzaniem.

Nie dziwiłam mu się. Od naszego ostatniego spotkania minęło tyle lat. Wychowywaliśmy się w tym samym miasteczku i przeprowadziliśmy do tego samego miasta. Dla mnie brzmi to jak przeznaczenie, pomyślałam.

– Musiałam się przenieść do innej szkoły – odparłam. – Nie odnajdywałam się w poprzedniej.

– A teraz?

– Teraz jest lepiej, nie muszę siedzieć w szkole.

Spojrzałam na jego smutny wyraz twarzy i natychmiast przekierowałam wzrok na kawę. Wcale nie było lepiej, ale nie chciałam o tym rozmawiać.

Po krótkiej wymianie spojrzeń doszliśmy do wniosku, że czas kończyć nasze rozmowy. Obiecaliśmy sobie, że będziemy w kontakcie i nie pozwolimy, aby do następnego spotkania minęło tyle czasu. Pożegnaliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę.

\* \* \*

Obudziłam się o 11.00. Przez nawracające napady bezsenności opadałam z sił. Nie miałam ochoty wstać z łóżka, a co dopiero brać udział w lekcjach. Uznałam, że nie ma to sensu. I tak nie da się nic wyciągnąć z zajęć, kiedy odbywają się zdalnie w domu. Każdy jest zajęty sobą: jeden śpi, drugi robi śniadanie, trzeci spełnia wymyślane przez matkę obowiązki domowe. Przez to na lekcjach panuje chaos, przez piętnaście minut sprawdzana jest obecność, przez kolejne piętnaście zadanie domowe i tak mija połowa lekcji.

Jeden dzień różnicy mi nie robi – pomyślałam. Stwierdziłam, że jedyne, co mogę teraz zrobić, to powrócić do mojego snu. Nagle obudził mnie dzwonek telefonu. Ostrożnie podniosłam przedmiot z szafki nocnej i jednym okiem spojrzałam na wiadomość. To Adam.

„Hej chcesz się dzisiaj spotkać?”

„Jasne, możemy po południu?” – odpisałam.

„Pewnie, spotkajmy się tam, gdzie ostatnio o 17”.

Odłożyłam telefon na miejsce. Ta krótka rozmowa sprawiła, że nie dałam rady zasnąć. Ciągle myślałam o moim dawnym przyjacielu. Od wielu lat nie wyszłam z kimś ot tak. Nigdy nawet nie zostałam zaproszona na spotkanie. Ta myśl wywołała u mnie milion radosnych scenariuszy. Ruszyłam do toalety, przebrałam się i zeszłam na dół zjeść śniadanie. Po posiłku wykonałam lekkie ćwiczenia rozciągające, a następnie nadrobiłam zaległe zadania domowe.

O 16.30 wyszłam z domu i udałam się w umówione wcześniej miejsce. Kiedy czekałam, miałam mieszaną uczuć. Ekscytacja, nostalgia i nuta nerwowości. Gdy przyszedł, nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Wciąż miał ten sam błysk w oku i ten zaraźliwy śmiech, który pierwszy raz dostrzegłam jako dziecko. Uściskaliśmy się i nadrabialiśmy zaległości przy kawie. Miałam wrażenie, że czas w ogóle nie minął. Po godzinie ruszyliśmy w stronę parku, gdzie słuchaliśmy razem muzyki.

– Słuchałeś kiedyś Motley Crue?

– Nie, nigdy. Nie słucham takiej muzyki.

– To musisz dużo nadrobić. – Lekko się uśmiechnął i spojrzał na mnie.

– No co? To klasyk! Czego ty słuchasz?

– Muzyka klasyczna.

Wymieniliśmy się spojrzeniami.

– No co? To klasyk!

Przez dłuższą chwilę spacerowaliśmy w kompletnej ciszy. Nie przeszkadzało nam to kompletnie. Pierwszy raz od tak długiego czasu poczułam z kimś tak bliską więź. Czułam się przy nim komfortowo i bezpiecznie. Mogłam być sobą i nie udawać kompletnie innej osoby. Nie musiałam się dostosowywać do otoczenia.

Kiedy słuchałam muzyki Adama, poczułam więc niepodobną do żadnej innej. Nie mogłam oderwać wzroku od jego przystojnej twarzy, a gdy melodia snuła się echem po parku, czułam się, jakbym śniła. Kiedy usiedliśmy na ławce, aby cieszyć się muzyką grającą w tle, nie mogłam przestać myśleć o wielu formach miłości, których doświadczamy w życiu. Od miłości między przyjaciółmi po miłość między romantycznymi partnerami, każde doświad-

czenie jest wyjątkowe i piękne na swój sposób. Nasza rozmowa w końcu zeszła na temat mojego życia miłosnego i odkryłam, że otwieram się przed Adamem na temat moich własnych zauroczeń i złamanych serc. To był trudny moment, ale czułam, że nasza przyjaźń osiągnęła poziom intymności, który pozwalał na takie dyskusje. Kiedy dzień dobiegał końca i żegnaliśmy się, nie mogłam powstrzymać się od poczucia wdzięczności za czas spędzony z Adamem. Nasze spotkanie przekroczyło moje oczekiwania, pozostawiając mnie szczęśliwą.

– Mam nadzieję, że nie długo się zobaczymy – powiedział.

– Możesz przyjść do mnie, kiedy chcesz – odparłam. – Rzadko goszczę ludzi u siebie, więc taka miła odmiana by mnie uszczęśliwiła.

Adam przybliżył się do mnie. Była przekonana, że chcę zakończyć to spotkanie przyjacielskim uściskiem, ale nieoczekiwanie objął mnie w talii i delikatnie pocałował w usta. Zamurowało mnie. Odstąpiłam o krok i stałam, spoglądając na niego.

– Przepraszam, nie powinienem – powiedział.

– Nie jestem zła, tylko w małym szoku – odparłam.

Jakby tego było mało, zdradziły mnie rumieńce na twarzy, które świadczyły, że nawet mi się to podobało. Po chwili odwzajemniłam uścisk i pocałowałam go w policzek na pożegnanie. Odeszłam od niego i wróciłam do domu. Nie chciało mi się nawet przebierać. Położyłam się na chwilę na łóżku i w mgnieniu oka zasnęłam, myśląc o całym dzisiejszym dniu.

\* \* \*

*Miesiąc później*

Spotykam się z Adamem już od miesiąca. Wciąż mamy zdalne zajęcia, więc jest sporo czasu, żeby się widywać. Nabrałam życia przez ostatni miesiąc. Ale nie było to tylko z powodu Adama. Było to spowodowane wewnętrznymi zmianami, które przeszłam. Po wielu latach udręki i walki o samoakceptację w końcu pokochałam siebie taką, jaką jestem. To nowo odkryte szczęście i spokój ducha promieniowały przeze mnie i znajdowały odzwierciedlenie w każdym aspekcie mojego życia, łącznie z moją relacją z Adamem. Spotka-

nie z nim było błogosławieństwem w nieszczęściu, ponieważ pomógł mi uświadomić sobie moją wartość. Jego miłość i uznanie sprawiły, że poczułam się bardziej pewna siebie i zadowolona z siebie. Nigdy nie oceniał mnie ze względu na moje wady i akceptował mnie jako całość. W końcu zrozumiałam, że nie muszę się zmieniać, żeby być kochaną i akceptowaną przez innych. Jedynym, czego potrzebowałam, było zaakceptowanie siebie, a wszystko inne się ułoży. Kiedy siedziałam naprzeciw Adama podczas jednego z naszych spotkań, nie mogłam powstrzymać się od pocucia wdzięczności za zmiany, które zaszły w moim życiu. Byłam w zgodzie ze sobą, a szczęście, jakie mi towarzyszyło, było optymalne. Zdałam sobie sprawę, że prawdziwe szczęście pochodzi z wnętrza i nie można go znaleźć w dobrach materialnych ani w ludziach.



# Akordy nadziei cz. I

11 marca 2020 rok. Ten dzień wyrócił moje dotychczasowe życie o 180 stopni. Wirus, zwany koronawirusem, już w grudniu poprzedniego roku pojawił się w Chinach, wskutek czego ludzie bardzo łatwo zarażali się od siebie. Tym sposobem choroba rozprzestrzeniła się na całym świecie. W Polsce to właśnie w marcu ogłoszono lockdown.

Jako uczeń pierwszej klasy zielonogórskiego liceum ogólnokształcącego oraz czwartej klasy pierwszego stopnia państwowej szkoły muzycznej nigdy nie podejrzewałem, że w całym kraju ogłoszą nauczanie zdalne. Już następnego dnia, w czwartek, miałem zajęcia online w liceum. Dyrekcja bardzo profesjonalnie zajęła się zorganizowaniem e-lekcji. Każdy nauczyciel mógł wybrać sobie platformę, za pośrednictwem której będzie prowadził zajęcia, dlatego też wszystko przebiegało bardzo sprawnie i bez większych kłopotów. Na początku wszyscy byli bardzo przejęci, ale z biegiem czasu wszyscy, a przynajmniej ja, przywykliśmy do codziennego wstawania o 7.58 i łączenia się na lekcję o 8.00. W gruncie rzeczy każdy nauczyciel opracował swój system prowadzenia lekcji. Każdy z nich był niepowtarzalny, lecz najbardziej odpowiadały mi lekcje matematyki. Pani używała tabletu graficznego, którego ekran nam udostępniała. Tłumaczyła wszystko bardzo rzetelnie i dokładnie. Wtedy właśnie polubiłem matematykę.

Natomiast w szkole muzycznej pojawił się problem praktycznie nie do przeskoczenia. No właśnie, a na czym w ogóle polega nauka w szkole muzycznej? Oprócz zajęć z instrumentu głównego – w moim przypadku jest to obój, który należy do grupy dętych drewnianych – odbywają się obowiązkowe zajęcia teoretyczne: audycje muzyczne (historia muzyki w pigułce) i kształcenie słuchu. Dodatkowo uczniowie uczęszczają na chór lub orkiestrę,

a także uczyć się podstaw gry na fortepianie. Gdy wprowadzono obowiązek e-learningu, szkoła muzyczna przestała funkcjonować i zajęcia, wprowadzić przez krótki czas, nie odbywały się. Dopiero po tygodniu udostępniono wszystkim nauczycielom i uczniom platformę, na której miały się odbywać wszystkie lekcje. Początkowo bardzo niewielu pedagogów potrafiło obsługiwać i prowadzić zajęcia online. W miarę upływu czasu zajęcia teoretyczne odbywały się prawie w identyczny sposób jak stacjonarnie. Czasami był tylko kłopot z połączeniem internetowym. Sprawdziany i kartkówki (tak, w szkole muzycznej też są oceny) najczęściej były w formie e-testów. Nie ukrywam, że często łączyliśmy się telefonicznie z osobami z klasy i rozwiązywaliśmy je razem. Najczęściej pomagałem w testach Karolinie, która uczyła się gry na flecie poprzecznym. Podczas nauczania zdalnego pomagaliśmy sobie wzajemnie. Ja tłumaczyłem jej materiał z kształcenia słuchu, a ona pomagała mi w audycjach muzycznych. Jeszcze przed wybuchem pandemii graliśmy razem w duecie fletowo-obojuwym. Bardzo fajnie nam szło; nie graliśmy trudnych rzeczy, bo dopiero uczyliśmy się gry w zespole kameralnym, ale niestety wirus pokrzyżował nam plany koncertowe. Początkowo próbowaliśmy się łączyć online przez kamerkę, lecz nie był to trafny pomysł. Nie dało się grać równo, w tempie, a ja, grając swoją partię, nie słyszałem, co gra Karolina.

Problemy w szkole muzycznej przeplatały się z coraz większym zmęčeniem wynikającym z uczestniczenia w lekcjach z liceum. Siedzenie przed laptopem po osiem godzin dziennie było bardzo męczące. Nawet na matematyce nie potrafiłem usiedzieć. Czasami po lekcjach miałem piętnaście minut przerwy i od razu zaczynały się zajęcia online ze szkoły muzycznej. Czasami opuszczałem zajęcia albo łączyłem się i odchodziłem od komputera, ponieważ nie potrafiłem usiedzieć następnych dwóch godzin przed ekranem. Moja wada wzroku też nie pozwalała mi na to, gdyż podczas edukacji zdalnej bardzo się pogorszyła. Musiałem często wychodzić na dwór i patrzeć w dal, aby moje oczy mogły odpocząć po intensywnym dniu. Również zacząłem mieć problemy z kręgosłupem na skutek długotrwałego siedzenia przy biurku.

Największym problemem była nauka gry na instrumencie. Przez cały pierwszy miesiąc nauki nie miałem kontaktu z moim nauczycielem. Próbo-

waleń ćwiczyć na instrumencie i grać utwory z poprzednich lat, lecz bez czuwającego nade mną oka bardzo trudno kontrolować samego siebie, zwłaszcza w dziedzinie, jaką jest muzyka. Pod koniec kwietnia dostałem telefon od pani wicedyrektor, że mam skontaktować się z moim pedagogiem. Byłem bardzo zdziwiony, ale też czułem ulgę, że wreszcie będę mógł w miarę normalnie kontynuować swoją naukę. Nic bardziej mylnego. Pierwsza lekcja i w sumie każda następna wyglądały tak samo: ustawiałem laptopa na komodzie, obok pulpit z nutami i łączyliśmy się na wideo rozmowie. Mojego nauczyciela nieustannie zacinano i ciężko było go zrozumieć, jak coś mi tłumaczył, nie mówiąc już o graniu. Większą część lekcji próbował mnie usłyszeć, ponieważ, jak się potem okazało, ja też miałem słabe połączenie z internetem. Lekcje te ani trochę mi się nie podobały. Były one stratą czasu. Cieszyłem się niezmiernie, kiedy z przyczyn losowych musieliśmy zajęcia odwołać. Czasami byłem w stanie sam nie połączyć się na lekcję, bo nie chciałem stać przez czterdzieści pięć minut jak głupi przed laptopem i próbować uporać się z szumami i przerywającym zasięgiem. Innych zajęć, takich jak chór czy orkiestra, nie było. Nauczyciele z marszu wystawiali oceny pozytywne, ponieważ nikt nie miał pomysłu na to, jak realizować orkiestrę zdalnie. A fortepian? Lekcje wyglądały tak samo jak z oboju, jedyna różnica polegała na tym, że odbywały się one już w marcu. Stawiałem telefon na pianinie, łączyliśmy się na kamerkę i grałem proste utwory, które wcześniej nauczycielka wysłała mi do wydrukowania. Była jedna sytuacja, którą pamiętam do dziś. Na jednych z zajęć mojej nauczycielce spadł laptop z fortepianu i przez następne dwa tygodnie nie mogliśmy się „spotykać”, ponieważ urządzenie było w naprawie. Nie miałem powodów do narzekania.

Któregoś kwietniowego dnia, między lekcjami online, do pokoju weszła mama i powiedziała, że ma dla mnie książkę, którą warto przeczytać. Była to *Dżuma* Alberta Camusa. I tak nie miałem co robić podczas zajęć, więc bez dłuższej dyskusji wziąłem egzemplarz i zacząłem czytać. Lektura tak mnie pochłonęła, że skończyłem ją po trzech dniach. Byłem zafascynowany. Książka z XX wieku może być tak aktualna niecałe sto lat później. Tekst obrazował mnóstwo wzorców osobowych i postaw walki ze złem, które pomogły mi



przeżyć pandemię i nie wpadać w panikę. Gdy dowiedziałem się, że książka należy do kanonu lektur szkolnych, byłem wściekły, że mama mi ją podsunęła, gdyż jak można się domyślić, byłem uprzedzony do czytania lektur, ale z drugiej strony byłem zdumiony, że w zestawie lektur obowiązkowych znajduje się publikacja z tak uniwersalnym przesłaniem i jakże na czasie.

Problem był w tym, że byłem dopiero w pierwszej klasie, a *Dżuma* zaplanowana była na klasę czwartą. Z ciekawości zerknąłem, jakie inne książki z klasy maturalnej mógłbym przeczytać. W ciągu następnego miesiąca udało mi się przeczytać *Madame*, *Rok 1984* oraz *Tango*. Bardzo mi się podobały, a najbardziej powieść Libery. Próbowalem czytać inne jego utwory, ale ich nie rozumiałem i szybko się poddałem. Przestałem mieć wtedy jakiegokolwiek chęci do czytania książek i zacząłem oglądać seriale. Od czasu do czasu oglądałem też różne koncerty symfoniczne nagrane przed pandemią, gdyż filharmonia była zamknięta.

Tak wyglądały dni do końca maja, ponieważ na początku czerwca wszyscy mogli wrócić do realizowania zajęć w trybie stacjonarnym. Była to wielka ulga i przez ostatni miesiąc roku szkolnego mogłem chodzić jak uczeń do szkoły muzycznej. Razem z Karoliną zrobiliśmy kilka prób i udało nam się wystąpić na szkolnym koncercie zespołów kameralnych. W drugim tygodniu czerwca zaplanowano egzaminy wstępne do szkoły muzycznej drugiego stopnia, czyli sześciolletniej szkoły średniej. Na początku nie chciałem kontynuować mojej przygody z muzyką i zamierzałem zakończyć naukę na etapie szkoły podstawowej. Wiele osób, a zwłaszcza mój nauczyciel, zachęcało mnie, aby chociaż spróbować. Podeszedłem do tego egzaminu. Polegał on na wykonaniu na instrumencie od dwóch do trzech utworów z akompaniamentem fortepianu. Ponieważ pani pianistka nie mogła się pojawić tamtego dnia w szkole, mój nauczyciel znalazł nagranie akompaniamentu w internecie i podczas egzaminu odtworzył je, abym mógł zagrać. Pamiętam, że grałem jako ostatni ze wszystkich zdających. Przede mną grała Karolina i bardzo dobrze jej poszło. Ja jednak musiałem czekać – tuż przed moim wyjściem na scenę komisja opuściła aulę i poszła do pobliskiej kawiarni po kawę i ciasto. Wtedy poziom mojego stresu wzrósł dwukrotnie, a nogi miałem jak z waty.

Na szczęście nauczyciele szybko wrócili, a ja mogłem na spokojnie zagrać. Uważam, że zagrałem dość przeciętnie. Stać mnie było na więcej, chociaż naturalnie stres robi swoje.

W połowie czerwca w liceum miałem diagnozy sprawdzające moją wiedzę z materiału klasy pierwszej z języka polskiego, matematyki oraz języka angielskiego. Jako jedyny z klasy napisałem test z matematyki bezbłędnie, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać nad rozszerzaniem tego przedmiotu. Niemniej jednak wakacje się rozpoczęły, więc trzeba było na chwilę zapomnieć o szkolnych sprawach, by mój organizm mógł odpocząć.

W lipcu ogłoszono listy przyjętych do szkoły muzycznej. Pamiętam, że bardzo się przejmowałem, ponieważ zależało mi... Skoro się zgłosiłem, to chciałem otrzymać jak najlepsze wyniki. Okazało się, że ja i Karolina zostaliśmy przydzieleni do klasy pierwszej drugiego stopnia, czyli tak, jak oczekiwaliśmy. Innych osób z klasy nie znałem, ale nie miałem zamiaru nikogo poznawać, gdyż chciałem się nacieszyć czasem wolnym. Resztę wakacji spędziłem beztrudnie, nie myśląc o szkołach ani o moich obowiązkach. Dopiero na początku września zacząłem się zastanawiać, co mnie czeka w nowym roku szkolnym.

Bardzo nie chciałem wracać do szkoły, nauki i porannego wstawania. Niestety wakacje upłynęły w mgnieniu oka, a pogoda znacznie się pogorszyła. Na domiar złego już w październiku pandemia się nasiliła i znowu zamknęły szkoły. Tym razem już na dobre. Nauka zdalna trwała do końca kwietnia i system nauczania był taki sam jak w poprzednim roku. W szkole muzycznej miałem nowe przedmioty, więc znowu byliśmy zmuszeni do wzajemnej pomocy. Z Karoliną, tak jak mogliśmy, pomagaliśmy sobie wzajemnie w zadaniach domowych czy sprawdzianach. Nasz zespół niestety musieliśmy rozwiązać, ponieważ Karolina zmieniła instrument na saksofon i miała bardzo mało czasu, gdyż przygotowywała się do egzaminów technicznych w technikum. Przez wirusa zostały nawet odwołane egzaminy półroczne z instrumentu. Nie zanosilo się też na jakąkolwiek poprawę. Dopiero w maju mogliśmy wrócić do szkół, ale niczego to nie zmieniło. Rok był tak samo stracony jak poprzedni. Wielu nauczycieli z liceum udało się na

roczny urlop zdrowotny, w tym nauczycielka matematyki. Byłem już pewny, że chcę rozszerzać matematykę. Wcześniejszymi moimi wyborami były biologia i chemia. Nadszedł czas na złożenie dokumentów do szkoły. Widząc, że szkoła, do której uczęszczałem, nie działa na korzyść ucznia, podjąłem bardzo ryzykowną decyzję. Zmieniłem szkołę, i to nie na byle jaką, ponieważ na szkołę z edukacją domową.

Od września 2021 roku uczyłem się na własną rękę. Bardzo mi to odpowiadało, ponieważ nie było ryzyka, że będę musiał uczyć się online. Żeby zaliczyć rok, musiałem zdać egzaminy klasyfikujące z każdego przedmiotu w placówce szkoły, która była we Wrocławiu. Średnio raz w miesiącu jeździłem pociągiem i zdawałem każdy przedmiot. Dodatkowo szkoła zgodziła się na zmianę rozszerzenia i mogłem uczyć się matematyki. Dwa razy w tygodniu chodziłem na korepetycje, bo bardzo trudno jest się nauczyć matematyki samemu. Na początku bardzo ciężko było mi się zmotywować, żeby samodzielnie siadać do biurka i uczyć się, robić notatki. Z biegiem czasu nauczyłem się odpowiedzialności, a nauka zaczęła sprawiać mi przyjemność. Poznałem nawet kolegę, który był zapisany do tej samej szkoły co ja i mieszkał w Zielonej Górze. Często się spotykaliśmy, żeby uczyć się razem i spędzić czas, grając w gry planszowe. Czasami się zdarzyło, że tego samego dnia jechaliśmy do Wrocławia zaliczyć egzamin z fizyki. Pamiętam, że w sali egzaminacyjnej, w której zdawaliśmy część pisemną, siedliśmy obok siebie i dyskretnie sobie podpowiadaliśmy. Obaj napisaliśmy test prawie bezbłędnie, więc uznaliśmy, że od tej pory będziemy jeździć na egzaminy razem. Niestety następnego razu nauczycielka, która pilnowała porządku w sali, nie pozwoliła nam zająć miejsc przy tym samym biurku i byliśmy zdani na siebie samych. Był to egzamin z języka angielskiego, więc żaden z nas nie miał problemów z zaliczeniem. Tak wyglądał cały rok. Jeśli mieliśmy szczęście i nas nie rozsadzano, pisaliśmy egzamin razem, jeśli było odwrotnie – jakoś sobie radziliśmy. Ostatecznie i ja, i on skończyliśmy rok szkolny z wyróżnieniem.

W szkole muzycznej razem z przyjaciółmi ze starszych klas bardzo nie chcieliśmy, żeby w tym roku szkoła przeszła na edukację online. Prawie się udało. Przez cały styczeń i luty budynek był zamknięty, a zajęcia odbywały

się zdalnie. W marcu natomiast pozwolono nam wrócić do nauczania stacjonarnego. Orkiestra zaczęła normalnie funkcjonować i zagraliśmy pięć koncertów w ciągu roku szkolnego. Lekcje oboju również zaczęły przybierać dawny kształt i nawet egzaminy się odbyły. Wszystko zaczęło wracać do normy. Zaczęłam wtedy dostrzegać drobne plusy pandemii. Bardzo się zżyłam z wieloma osobami ze szkoły muzycznej, a w wyniku tego założyliśmy zespół. Nazwaliśmy się Dyrektorzy Teatru. Nazwa wzięła się od sławnego dzieła Wolfganga Amadeusza Mozarta *Der Schauspieldirektor*. Było nas dziewięć osób: ja i osiem dziewczyn, w tym dwie moje młodsze siostry. Z początku spotykaliśmy się, żeby porozmawiać i spędzić ze sobą czas. Z biegiem czasu zaczęliśmy tworzyć plany na naszą muzyczną przyszłość. Wtedy postanowiliśmy, że zaczniemy koncertować. Każdy z nas umiał grać na jakimś instrumencie, lecz brakowało nam partytur z nutami. Nauczyłem się korzystać z programu do nut i zacząłem aranżować przeróżne utwory muzyki klasycznej i rozrywkowej. Wiele zależało od mojej weny, ale średnio udawało mi się napisać jeden utwór w tydzień. Inspirowałem się moimi doświadczeniami z czasu pandemii i mimo że nie tworzyłem nowych kompozycji, lecz przerabiałem już istniejące, zawsze potrafiłem wyrazić siebie. Mielśmy próby raz na tydzień, raz na dwa tygodnie. Było to uzależnione od wszystkich członków zespołu, gdyż każdy, oprócz mnie, miał dwie szkoły. Najczęściej spotykaliśmy się w weekendy, gdy było więcej czasu. Z pierwszym numerem wystąpiliśmy na koncercie szkolnym. Zagraliśmy piosenkę Beatlesów *Good night*. Cała publiczność była wzruszona, a my osiągnęliśmy swój pierwszy mały sukces.

Dodatkowo na początku roku dyrygent ze szkoły muzycznej zaproponował mi, abym dołączył do Polsko-Niemieckiej Orkiestry Młodzieżowej. Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie i co środę jeździliśmy do Frankfurtu nad Odrą na próbę. Niestety wiązało się to z późnymi powrotami do domu, jednakże ja nie chodziłem do szkoły, więc mogłem spać dłużej. Na drugiej próbie dyrygent z niemieckiej strony spytał mnie, czy znam kogoś, kto grałby na saksofonie, ponieważ dotychczasowy saksofonista musiał opuścić orkiestrę. Od razu zwróciłem się do Karoliny. Oczywiście zgodziła się i na następną próbę przyjechała ze mną do Niemiec. Bardzo dobrze nam się razem grało.

Pierwszy koncert, który odbywał się po drugiej stronie Odry, kazano nam grać w maseczkach i rękawiczkach. Oczywiście było to niewykonalne, więc zagraliśmy koncert, nie używając ich. Po koncercie wybuchła afera. Nie pozwolono nam grać w następnym roku w tamtym miejscu, a orkiestra musiała zapłacić karę. Po koncercie byliśmy bardzo przybici, ale na następnej próbie humory znacznie nam się poprawiły. Graliśmy nowy repertuar, żeby przygotować się do kolejnego wystąpienia, tym razem w Polsce. Niestety Karolina musiała zrezygnować z orkiestry, ponieważ była bardzo zajęta w technikum i miała inne zajęcia, dlatego od kolejnej środy jeździłem na próby sam. Wytwarzałem w orkiestrze do końca roku. Zrezygnowałem ze względu na własny zespół, który prężnie się rozwijał i widziałem jego najbliższą przyszłość. Chciałem się poświęcić temu w 100 procentach.

W wakacje postanowiłem, że rozpocznę kurs na prawo jazdy. Biegałem od lekarza do lekarza, gdyż potrzebowałem odpowiednich zaświadczeń od specjalistów. Na szczęście moja wada wzroku nie dyskwalifikowała mnie z prowadzenia samochodu. Musiałem załatwić również dokumenty w urzędzie i byłem gotowy na pierwsze jazdy. Już podczas pierwszej lekcji wyjechałem na obrzeża miasta. Instruktor zapewniał mnie, że dam radę, ale ja się bardzo stresowałem. Było to bardziej stresujące niż wszystkie egzaminy w szkole muzycznej razem wzięte. Z każdą kolejną lekcją stopniowo przełamywałem swój strach, a pod koniecjazd bez trudu potrafiłem odnaleźć się w ruchu drogowym. Najbardziej irytująca w całym kursie była dezynfekcja auta. Przed każdą lekcją musiałem zdezynfekować kierownicę i wszystkie elementy, których mógł dotyczyć poprzedni kursant. Było to o tyle frustrujące, że traciłem dziesięć minut każdych zajęć. Niemniej jednak postanowiłem wykorzystywać czas kursu jak najlepiej, bo krótko po jego zakończeniu miałem egzamin teoretyczny, a tydzień później praktyczny. Część testową napisałem bezbłędnie. Przyczynił się do tego fakt, że dzień w dzień rozwiązywałem próbne testy, które w gruncie rzeczy złożone są z bardzo podobnych zadań. Trzy dni przed egzaminem praktycznym zachorowałem. Leżałem całe dni w łóżku, aby wyzdrowieć, gdyż czekałem na ten sprawdzian już od kilku tygodni. Nie chciałem na niego czekać kolejny miesiąc. Obowiązywała

również zasada, która mówiła o tym, że osoba chora czy nawet przeziębiona nie może podejść do egzaminu ze względu na bezpieczeństwo egzaminatora. Mimo to poszedłem na egzamin. I zdałem bez żadnego błędu. Tego samego dnia choroba jakby zniknęła. Okazało się, że nie byłem chory; byłem tak zestresowany egzaminem, że mój organizm bardzo intensywnie zareagował. Wszystkie niepewności mnie opuściły a ja mogłem odpocząć i być z siebie dumny.

Te same wakacje były pierwszymi, podczas których nie mówiono ani o pandemii, ani o maseczkach – nie wspominało się o niczym. Nie przeszkodziło to jednak chorobie i cała moja rodzina, włącznie ze mną, zachorowała, najprawdopodobniej na koronawirusa. Przez długie dwa sierpniowe tygodnie musieliśmy siedzieć w domu, żeby nikogo nie narażać na zakażenie. W pierwszym tygodniu miałem temperaturę, a w drugim czułem się już lepiej, lecz musieliśmy odbyć kwarantannę. Czas ten dłużyl się niemiłosiernie. Ułożyłem wszystkie puzzle, jakie znalazłem w szafie, książek nie chciało mi się czytać, a na instrumencie nie miałem siły ćwiczyć, ponieważ mój organizm był bardzo osłabiony. Zacząłem więc wtedy komponować – spróbowałem napisać swój własny utwór. Szczerze mówiąc, za pierwszym razem mi nie wyszło. Dopiero gdy nabrałem wprawy, kolejne kompozycje były o niebo lepsze. W końcu również mi się to znudziło, lecz na szczęście mogłem wyjść już z domu i cieszyć się ostatnimi słonecznymi dniami wakacji.

Klasa maturalna i trzecia klasa szkoły średniej muzycznej. Wrzesień zleciał w mgnieniu oka. Codziennie uczyłem się matematyki i innych maturalnych przedmiotów. W październiku dostałem propozycję wzięcia udziału w projekcie muzycznym jako członek orkiestry. Oczywiście zgodziłem się. Projekt nosił nazwę „Zaduszki symfoniczne”. Graliśmy utwory zmarłych polskich artystów w związku z dniem Wszystkich Świętych. Koncertów było siedem, a ja zdobyłem mnóstwo doświadczenia, grając w zespole.

Nastał grudzień. Zaczął padać śnieg i zbliżały się święta. Razem z moim drugim zespołem postanowiliśmy, że zrobimy świąteczną trasę koncertową. Przez cały listopad opracowywałem różne kolędy i piosenki świąteczne – w sumie wyszło ich około piętnastu. Koleżanka z zespołu zajęła się

umawianiem koncertów w różnych placówkach. Wtedy właśnie pojawił się problem. W niektórych domach kultury i w kilku kościołach powiedzieli, że powinniśmy wystąpić jako osoby zaszczepione na wirusa lub w масечkach. Na nasze nieszczęście połowa z nas nie była zaszczepiona, a w масечkach gra się na instrumencie bardzo niewygodnie. Na skutek tego, zrezygnowaliśmy z trzech koncertów. Nie stanowiło to jednak problemu, ponieważ w okresie świątecznym od grudnia do końca stycznia zagraliśmy czternaście koncertów. Występowaliśmy w domach kultury, domu seniora, kościołach i podczas różnych spotkań oplatkowych.

Tak spędziliśmy cały styczeń. Od tamtego momentu nie przeszliśmy ani razu na nauczanie zdalne. Życie płynęło powoli, dokładnie tak samo jak nauka do matury. Pandemia nie dawała już o sobie znać. Wszystko wracało do normalności.

Mimo tego traktowałem pandemię jako nieszczęście i stratę czasu. Wiedziałem, że muszę płynnie przejść do „starego” życia, ponieważ niedługo czekały mnie studia i nie będzie taryfy ulgowej. Jak twierdził Camus – nie można się poddawać, ale trzeba walczyć o swoje.

## Akordy nadziei cz. II

Miałam wtedy pierwszą lekcję saksofonu, a właściwie konsultację w sprawie mojej nauki. Byłam wtedy jeszcze w klasie czwartej szkoły muzycznej pierwszego stopnia na flecie poprzecznym, jednak chciałam się przygotować do zmiany instrumentu w szkole drugiego stopnia. Dlatego w tym czasie grałam na dwóch. Wydawać by się mogło, że skoro oba instrumenty należą do tej samej grupy, będzie to bardzo proste. Jednak takie nie było.

Przez kolejne dwa miesiące uczyłam się wydobywania dźwięku z ustnika wypożyczonego ze szkoły. W tym samym czasie na flecie zdążyłam zagrać egzamin. Nauczycielka zdecydowanie mi nie odpuszczała. Mówiła, że gdybym ćwiczyła więcej, mogłabym pójść na drugi stopień i nie zmieniać instrumentu, jednak flet zupełnie mnie nie interesował. Radziłam sobie całkiem dobrze do czasu, aż nie zaczęły pojawiać się plotki o nowym wirusie. Podczas ćwiczenia towarzyszyło mi rozkojarzenie, gdyż z tyłu głowy miałam informacje o tym, że w Chinach rozpoczęła się epidemia, a zaraza docierała już do Europy. Niestety obawy się sprawdziły i w moim mieście – Zielonej Górze – pojawił się pierwszy przypadek zakażenia w Polsce. Ludzie się śmiali, ponieważ zaczęły pojawiać się najróżniejsze memy dotyczące tego wydarzenia, na przykład takie, w których Zielona Góra została wykreślona z mapy Polski albo nikt nie chciał poznawać jej mieszkańców, gdy dowiedział się, że ktoś z nich tam mieszkał.

Tego dnia, 11 marca, dyrektor technikum, do którego chodziłam, zrobił apel podczas przerwy. W całej Polsce została ogłoszona nauka zdalna na okres dwóch tygodni. Każdy panikował, zwłaszcza ci, którzy byli w klasie maturalnej. Zadawali sobie pytania, jak ma wyglądać nauka zdalna, kiedy przygotowują się do egzaminu dojrzałości. Na szczęście mnie to nie dotyczy-



ło. Miałam jednak inny problem. Dopiero co zaczęłam uczyć się prawidłowo dmuchać oraz oddychać, aby odpowiednio przystosować się do gry na saksofonie. Miałam wejść na kolejny etap, a teraz czekała mnie dwutygodniowa przerwa, która mogła dość dużo zmienić. Instrumentaliści podczas takich przerw czy mniejszej intensywności ćwiczeń nie stają w miejscu, lecz zaczynają się uwsteczniać, co mnie przerażało.

Następnego dnia z rana dostaliśmy loginy i hasła do wybranych przez szkołę platform i rozpoczęliśmy pierwsze lekcje nauki zdalnej. Nauczyciele od razu mówili, że również nie wiedzą, jak mają się odnaleźć i każdy siebie podnosił na duchu. Dziwnie jest to uczucie, gdy jednego dnia można być na zajęciach stacjonarnych tak, jak to wyglądało do tej pory, a kolejnego dnia być zamkniętym w domu.

W szkole muzycznej nauka również wywróciła się o 180 stopni. Wszystko odbywało się zdalnie – wszystkie zajęcia teoretyczne i instrumentalne. Również inaczej wyglądało to w sytuacji mojej i Mikołaja, kolegi z klasy. Tworzyliśmy razem duet. Grałam na flecie, a on na oboju. Naprawdę dobrze nam szło. Zamierzaliśmy trochę pokoncertować, ale pandemia nam przeszkodziła. W końcu zaczęliśmy się przyzwyczajać do sytuacji i przerwy. Miała trwać tylko dwa tygodnie, lecz bardzo szybko zmieniła się w długie miesiące. Byliśmy do tego zmuszeni, dlatego zaczęliśmy się odnajdywać w takich warunkach. Z Mikołajem staraliśmy się współpracować, jednak było dość ciężko. Rozmawialiśmy przez telefon i graliśmy jednocześnie, ale nie mogliśmy grać równo, ponieważ były opóźnienia podczas połączenia.

Mimo wszystkich problemów dzięki zamknięciu w domu więcej czasu spędzałam z ukochaną starszą siostrą. Ponadto kilka miesięcy przed rozpoczęciem pandemii kupiliśmy dwumiesięcznego psiaka z hodowli, dlatego był to idealny czas na wychowywanie go. Nasza psinka poszła do tak zwanego psiego przedszkola, gdzie uczyła się różnych komend i tego, aby nie rozrabiać. Wtedy też zaprzyjaźniłam się z moją sąsiadką. Gdy ona miała okienko, a ja na przykład WF online, wychodziłyśmy na spacer albo robiłyśmy piknik w ogrodzie. Do czasu. W pewnym momencie służby wprowadziły zakaz wychodzenia. Możliwe było wyjście na spacer z psem lub do sklepu, obo-

wiązkowo w maseczce i najlepiej w rękawiczkach. Było dość ciężko, gdyż każdy stracił poczucie wolności, ponieważ byliśmy dosłownie zamknięci w domach jak w klatkach.

W czasie lockdownu tata kupił mi mój pierwszy saksofon marki Yamaha model YAS 280, idealny dla początkujących. Polecił go mój nauczyciel instrumentu. Do tego dokupiliśmy jeszcze ustnik, stroiki i z czasem kolejne potrzebne rzeczy. Bardzo się cieszyłam z tego powodu, ponieważ czułam, że nie stoję w miejscu. Udawało mi się łączyć z panem Tadeuszem, nauczycielem saksofonu, i z dnia na dzień było coraz lepiej. Pani Basia natomiast, która uczyła mnie gry na flecie, bardzo mnie wspierała w każdej decyzji. Zależało jej na tym, abym grała na instrumencie, który faktycznie mi się podoba, gdyż z fletem nie do końca się polubiłam. Ze swoim mężem, panem Władkiem, prowadziła również zajęcia w Domu Harcerza, na które uczęszczałam już trzeci rok. Pewnego dnia dostałam maila z piosenką do nauczania się i z prośbą nagrania jej. Moi znajomi ze śpiewu również dostali podobną wiadomość. Wywiązaliśmy się z zadania. Wiedzieliśmy, że w planach jest opublikowanie piosenki na serwisie YouTube, jednak nie spodziewaliśmy się takiego efektu. Pan Włodek świetnie zmontował piosenkę wraz z obrazem. Piosenka *Szkoła czeka* zrobiła furorę w internecie i takim oto sposobem zaczęliśmy nagrywać więcej piosenek. Zazwyczaj były to popularne piosenki ze zmienionym tekstem, tak aby pasował do czasów pandemii. Mimo panującej sytuacji śpiewaliśmy wesołe, optymistyczne piosenki. Sprawialiśmy uśmiech tym, którzy nas słuchali. Chociaż tyle mogliśmy zrobić, by wybić się z pandemicznej monotonii.

Jeśli chodzi o zajęcia teoretyczne, na przykład kształcenie słuchu – cóż, ciężko mi z tym szło jeszcze w trybie stacjonarnym. Jednak z pomocą przyszedł Mikołaj, który był ze mną w klasie oraz w zespole. Rozwiązaliśmy zadania na platformie online i dzięki niemu udało mi się uzyskać dobre oceny na świadectwie końcowym z przedmiotów teoretycznych. W zamian ja pomagałam mu w audycjach muzycznych i takim sposobem wzajemnie wymienialiśmy się wiedzą.

Zbliżał się termin egzaminu na drugi stopień. Zagadnienia obejmowały tylko część praktyczną, graną na instrumencie. Żeby się dostać na saksofon, musiałam pokazać swoje umiejętności na flecie, ponieważ to na nim skończyłam pierwszy stopień. Miałam grać przedostatnia w kolejce, po mnie grał już tylko Mikołaj. Gdy weszłam do auli, zaczęłam się nieco stresować. Zależało mi jak na niczym innym, aby wszystko poszło po mojej myśli i żeby końcowy wynik był dla mnie pozytywny. Gdy wyszłam z sali, byłam z siebie dumna jak nigdy dotąd. Czułam, że zagrałam znakomicie, i byłam pewna, że mnie przyjmą. Wtedy też uznałam, że pani Basia dobrze mi radziła, żebym ćwiczyła na flecie do końca. Było widać efekty.

Pod koniec czerwca odbyło się zakończenie roku zarówno w jednej, jak i w drugiej szkole. Na zakończenie pierwszego stopnia szkoły muzycznej pani od kształcenia słuchu zabrała nas na lody i było nam niezmiernie miło. Poza tym mogliśmy wszyscy porozmawiać o tym, jakie mamy dalsze plany. Połowa klasy zdawała na drugi stopień, lecz tylko ja zmieniałam instrument.

Nadeszły wakacje, a wtedy wszyscy zapomnieli o pandemii, tak jakby nie istniała. Rząd zachęcał ludzi do wyjazdów nad morze, wychodzenia z domu i różnych wyjazdów. Było to coś, czego nikt się nie spodziewał, ponieważ liczba zachorowań nie zmalała ani trochę, a strategia walki z wirusem zupełnie się zmieniła.

W lipcu zostały ogłoszone listy przyjętych do średniej szkoły muzycznej. Okazało się, że dostałam się z maksymalną liczbą możliwych do zdobycia punktów. Również Mikołaj się dostał, a reszta osób z naszej klasy, która zdawała ten egzamin, nie dostała się. Tak więc byliśmy we dwójkę zapisani do pierwszej klasy drugiego stopnia. Od tamtej pory mogłam bez stresu odpocząć. Podczas reszty wakacji wyjeżdżałam, trochę ćwiczyłam grę na saksofonie, ale nie miałam za dużo motywacji, gdyż grałam bardzo proste utwory. Na flecie uczyłam się grać cztery lata, wykonywałam trudne etiudy, sonaty i utwory, a na saksofonie zaczynałam od zera, od grania długich dźwięków. Jednak z tyłu głowy miałam myśli, że jednak robię to po coś i jeszcze nadejdzie czas, kiedy okaże się, że było warto. Cieszyłam się z faktu, że mój

nauczyciel wciąż powtarzał, jak bardzo ważny jest oddech i ćwiczenie go. Dodawało mi to więcej siły do działania.

Po wakacjach od września wróciłam normalnie, stacjonarnie, do obu szkół. Nieco się w nich zmieniło, na przykład przy drzwiach znajdowały się termometry do mierzenia temperatury z czoła. Salę do zajęć z języka angielskiego zamieniono na „izolatorium”. Jeżeli ktoś kaszłał czy miał katar, od razu musiał tam iść, a potem wracać do domu, aby nie zarażać reszty. Kiedy ktoś miał alergię, musiał przynosić zaświadczenie od lekarza, żeby niepotrzebnie nie odsyłano go do domu. Na lekcjach siedzieliśmy w niepewności, codziennie na fanpage’u Ministerstwa Zdrowia śledziliśmy wskaźniki zachorowań. Mieliśmy wrażenie, że liczby są celowo zafalszowywane.

Do mojego technikum doszli jak co roku pierwszoklasiści. Chodziliśmy wszyscy do szkoły stacjonarnie do połowy października 2020 roku. Najbardziej było nam szkoda nowych klas, bo miały tylko półtora miesiąca, żeby się poznać. Jak się później okazało, my też doznaliśmy szoku. Dla mojej klasy drugi rok nauki oznaczał egzamin zawodowy, tak samo jak dla naszych rówieśników. Podczas pierwszego roku pandemii nie mieliśmy szansy nauczyć się obsługi programów, z których mieliśmy być sprawdzani. Nasi nauczyciele też byli zestresowani. Egzamin co prawda odbywał się w czerwcu, więc wydawać by się mogło, że mamy jeszcze mnóstwo czasu, jednak trzeba było nauczyć się tak naprawdę całej struktury egzaminu oraz kilku programów. Byłam na profilu technik reklamy, dlatego musieliśmy umieć posługiwać się programami do obróbki dźwięku, wideo, grafiki rastrowej i wektorowej. A dlaczego nie mogliśmy pracować w nich zdalnie? Ponieważ dwa najważniejsze programy były drogie i nie każdy mógł je ściągnąć na swój komputer. Jeśli chodzi o część teoretyczną, to nie było problemu, ponieważ robiliśmy testy online i wszystkiego mogliśmy uczyć się sami. Wiadomo, jak mieliśmy jakikolwiek problem, mogliśmy pytać nauczycieli i we wszystkim nam pomagali, tłumaczyli niezrozumiałe tematy.

Po pewnym czasie równolegle w obu szkołach zasady lekko zaczęły się zmieniać i została wprowadzona możliwość przyjscia na zajęcia raz w tygodniu. Bardzo nam się spodobał ten fakt, ponieważ mogliśmy przychodzić

raz w tygodniu na zajęcia zawodowe. Mogłam normalnie przyjść na zajęcia z saksofonu. Nasza wychowawczyni wpadła na pomysł robienia lekcji tak zwanym blokiem, czyli zjednania wszystkich praktycznych przedmiotów zawodowych jednego dnia. Ułatwiała nam to przygotowanie się do egzaminów zawodowych i wtedy zdanie ich zaczynało się wydawać realne. Na początku naszej pracy było dość ciężko, gdyż w robieniu zadań trzeba było być niezwykle szczegółowym, zwracać uwagę na każde polecenie, parametry kolorów czy wymiary na przykład plakatów lub wizytówek. Było tego naprawdę mnóstwo, w końcu to reklama – bardzo obszerna dziedzina. Kiedy po części nauczyliśmy się obsługi wymaganych programów, zdałam sobie sprawę z tego, że naprawdę mi się to podoba. Mogłam zaprojektować, co tylko chciałam. Dowiedzieliśmy się, że zdanie tego egzaminu najbardziej polega na sprycie. Jeżeli nie da się zrobić zadania jedną metodą, trzeba znaleźć drugą. I takim sposobem przez kilka następnych miesięcy przygotowywaliśmy się do sprawdzianu z naszej wiedzy praktycznej.

Największą zaletą nauki zdalnej było dla mnie to, że lepiej sobie radziłam z matematyką, której nie uważałam za najlepszy przedmiot. Miałam więcej czasu na zrozumienie tematów. Podczas lekcji na komputerze mogłam przeglądać strony, na których wszystko było tłumaczone jeszcze raz i takim sposobem matematyka szła mi dużo lepiej. Na lekcjach w szkole zazwyczaj było mnóstwo pośpiechu i kiedy nie rozumiałam jednego tematu, nie było czasu na ponowne tłumaczenie go.

Kilka miesięcy później, w maju 2021 roku, zaczęłam robić kurs na prawo jazdy. Nie mogłam się już doczekać jazdy samochodem, chociaż pojawiała się lekka obawa przed pierwszą jazdą po ulicy. Podczas pandemii była to naprawdę świetna odskocznia oraz nowe zainteresowanie. Poszłam do szkoły, w której uczyła się również moja siostra. Trafiłam na tego samego instruktora. Pierwsza lekcja wydawała się z początku stresująca, jednak jeździłam najpierw na placu, a później wyjechałam na miasto. Jako początkujący kierowca oczywiście powodowałam za sobą korek, ale nie przejmowałam się tym. Zmiana biegów okazała się prosta i na kolejne zajęcia przychodziłam z uśmiechem i ekscytacją. Ze względu na dużą liczbę zajęć nie miałam możli-

wości jeżdżenia tak często, jakbym chciała. Jednak w czerwcu, czyli na koniec roku szkolnego, to się zmieniło.

W czerwcu nadszedł czas wyczekiwanego egzaminu zawodowego. Towarzyszyło nam mnóstwo nerwów i stresu. Najpierw podeszliśmy do części teoretycznej, podzieleni na trzy grupy, a kilka dni później była część praktyczna. Nie wiem, kto bardziej się denerwował – moja klasa czy nauczyciele. Na całe szczęście wszystko poszło po naszej myśli i byliśmy pierwszym rocznikiem na naszym kierunku, w którym praktykę zdała cała klasa. Nie lada wyzwaniem jest zdać powyżej 75 procent. To jest próg, od którego otrzymywało się ocenę pozytywną. Wystarczyłoby kilka drobnych potknięć czy niedopatrzeń i już trzeba by było podchodzić do egzaminu po raz drugi. Na szczęście nam się wszystko udało.

Podczas wakacji żyłam głównie robieniem prawa jazdy i naprawdę polubiłam jeżdżenie samochodem. Po około piętnastu godzinach jazdy czułam się pewnie za kierownicą. Pobijałam tak zwane rekordy punktów u mojego instruktora, który wymyślił konkurencję wśród zdających. Zdobywało się je za pomocą szczególnej ostrożności na drodze, na przykład dzięki obejrzeniu się pomimo istniejącej sygnalizacji świetlnej, czy coś nie jedzie, uważności na pieszych, rowerzystów i tak dalej. Udało mi się pobić rekord poprzedniego kursanta oraz mojej siostry, z czego oczywiście byłam dumna. Zapisalam się na egzamin teoretyczny. Niestety był to termin, kiedy znajdowałam się nad jeziorem niedaleko Zielonej Góry. Nie miałam kiedy nauczyć się wszystkich pytań, dlatego nie zdałam za pierwszym razem. Za drugim udało mi się napisać bezbłędnie. Miesiąc później nadszedł czas na egzamin praktyczny. Zanim na niego pojechałam, odbyłam lekcję z moim instruktorem, który później zawiózł mnie do ośrodka egzaminowania. Instruktor odprowadził mnie do miejsca, w którym miałam przystąpić do egzaminu. Przybił mi na szczęście żółwika i życzył powodzenia. Dodało mi to mnóstwo otuchy i wszystko przebiegło pomyślnie. Z niedowierzaniem słuchałam, jak egzaminator wypowiadał słowa: „Zdała pani egzamin”.

Byłam z siebie niezwykle dumna, pojechałam do urzędu zapłacić za wydanie dokumentu i przez kolejny tydzień czekałam, aż będę mogła pochwalić

się najbliższym. Zanim się obejrzałam, dokument był do odebrania w urzędzie, od razu po otrzymaniu go ruszyłam w drogę. Jeździłam po mieście dobrych parę godzin. Odwiedzałam znajomych, rodzinę, zabierałam ich na przejażdżki.

Wraz z moją klasą z technikum pojechalśmy na kilka dni na tak zwany plener. Był to wyjazd mający na celu głównie naukę i zadania praktyczne, jednak pierwszym miejscem, jakie odwiedziliśmy, była Praga. Tam spędziliśmy cały dzień, zwiedzając miasto, a wieczorem udaliśmy się do Szklarskiej Poręby. Następnego dnia zaczęliśmy nasze zadania, które na koniec półroczna były oceniane przez nauczycieli przedmiotów zawodowych. Mielśmy zrobić sesję zdjęciową sobie nawzajem, na białym i czarnym tle. Gdy połowa klasy pracowała przy tym zadaniu, reszta miała zajęcia z malowania farbami akrylowymi, co zresztą bardzo mi się podobało, ponieważ lubię to robić. Takim sposobem minęło nam kilka dni. Gdy wróciliśmy z naszych zdjęć, musieliśmy zrobić grafikę w taki sposób, abyśmy byli na innym tle.

Pewnego październikowego dnia Mikołaj zaproponował mi dołączenie do Polsko-Niemieckiej Młodzieżowej Orkiestry, ponieważ odszedł poprzedni saksofonista. Oczywiście zgodziłam się i z chęcią pojechałam na pierwszą próbę. Bardzo mi się spodobała tamtejsza atmosfera i polubiłam ludzi, którzy tam grali. Brałam nawet udział w jednym koncercie, jednak ze względu na brak czasu musiałam opuścić orkiestrę.

Jeśli chodzi o jeżdżenie samochodem, to cóż, po dwóch tygodniach od zdobycia dokumentu miałam wypadek. W moje auto z tyłu uderzył samochód, a w niego inny pojazd. Z początku wszystko wydawało się w porządku, jednak po kilkudziesięciu minutach zaczęły mnie boleć plecy. Pojechałam do szpitala, oczywiście najpierw musiałam się poddać testowi na covid i dopiero po tym mogłam zrobić prześwietlenie, na którym okazało się, że skrzywiłam kręgosłup. Lekarz powiedział, że przez najbliższe dwa tygodnie muszę leżeć w łóżku. Ucieszyłam się, że czeka mnie wolne i będę mogła odpocząć od wielu obowiązków. Jednak byłam zrezygnowana. Zero gry na saksofonie, zero szkoły i jeżdżenia. Przerażała mnie perspektywa tej przerwy, ponieważ z powodu pandemii miałam zaległości z wielu przedmiotów. Na szczęście z pomocą

przyszli mi przyjaciele. Przychodzili do mnie po szkole i przynosili notatki, tłumaczyli niezrozumiałe tematy oraz pomagali mi z różnymi rzeczami.

Jedynym moim zmartwieniem był saksofon. Po dłuższych ćwiczeniach wróciłam do pełni kondycji. Można by rzec, że pandemia się skończyła, pomimo noszenia maseczek. Praktycznie nie było jej widać. Najbardziej cieszy mnie fakt, że choroba nie dotknęła mnie i moich bliskich oraz że z czasem wróciliśmy do normalnego życia.





# Nowy wymiar rzeczywistości

Wiosna 2020 roku przyniosła ze sobą zmiany, których nikt się nie spodziewał. Gdyby ktoś nam powiedział, że na długi czas zamkną się przed nami drzwi restauracji, teatru czy nawet naszej ulubionej kawiarni, pewnie uznalibyśmy to za absurd. Jednak pandemia COVID-19 rzuciła nas w nową rzeczywistość, w której codzienne życie nabrało zupełnie nowego wymiaru. Pierwsze miesiące pandemii to były dni pełne niepewności. Zamykane szkoły oznaczały, że dzieci musiały nagle przystosować się do nauki zdalnej, a rodzice stawali się nauczycielami, próbując równocześnie pracować z domu. Sklepy i placówki użyteczności publicznej były ograniczane, a zakupy stały się ekscytującą i często stresującą wyprawą, na którą wyruszaliśmy w масечkach i rękawiczkach. Wszyscy uczyliśmy się nowych zwyczajów, takich jak częste mycie rąk, zachowanie dystansu społecznego i unikanie tłocznych miejsc. Nasze codzienne rutyny zmieniły się nie do poznania, a wieczory spędzane na telekonferencjach stały się nową normą. Dzięki technologii mogliśmy pozostawać w kontakcie z rodziną i przyjaciółmi, choć odległość między nami wydawała się jeszcze większa. Często spędzaliśmy w naszych domach więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej. Niemożność uczestniczenia w świecie rzeczywistym zmusiła nas do częstego przebywania w życiu internetowym.

Mając zaledwie piętnaście lat, musiałam zmierzyć się z nową rzeczywistością, w której zaczęła się nowa era internetu. W czasie pandemii życie w mediach i spędzanie czasu na grach komputerowych stało się dla mnie codziennością. Moje imię to Antonina i byłam jednym z wielu, którzy zna-

leżli schronienie w wirtualnym świecie, gdy rzeczywistość stała się nieco zbyt przytłaczająca. Ale zacznę moją historię od początku.

Słońce dopiero zaczynało się budzić, oświetlając swoimi promieniami głośnie już ulice miasta. Był to początek marca, więc na zewnątrz było już widać przebryski wiosny. Wstałam jeszcze zaspana, by przygotować się na nowy dzień w szkole. Jak zwykle prawie zaspalam, więc jedyne, na co miałam czas, to włożenie rzeczy, które leżały już na podłodze. Wzięłam pod pachę plecak, włożyłam buty i biegiem ruszyłam z domu na autobus. Już na pierwszej lekcji dowiedzieliśmy się o pilnym spotkaniu w szkolnej auli, które miało się odbyć na długiej przerwie. Uczniowie podejrzewali, że może chodzić o kwarantannę, bo w internecie krążyły już informacje na temat zamknięcia szkół. Wszyscy uczniowie na czas udali się w umówione miejsce. W sali było tłoczno i duszno. Wokół panował niepokój, a uczniowie dyskutowali na temat powodu spotkania. W końcu do sali przyszła pani dyrektor. Obok niej stanął wicedyrektor.

– Proszę już o ciszę – powiedziała przerażona dyrektorka do stojącego na scenie mikrofonu.

Na sali momentalnie zapanowała cisza, a jedyne, co było słychać, to ciche szepty paru uczniów. Po kilku sekundach ponownie odezwała się pani dyrektor.

– Drodzy uczniowie, informuję, że decyzją ministra edukacji narodowej od jutra przez okres najbliższych dwóch tygodni zajęcia w naszej szkole zostają zawieszone. Jest to spowodowane wprowadzeniem ogólnopolskiej kwarantanny. O wszelkich zmianach będziemy was informować poprzez dziennik Librus.

Nagle na sali zapanował chaos. Było jeszcze głośniejsze niż przed przyjściem dyrektorki do auli.

Wiele osób było przerażonych, jednak ja byłam szczęśliwa.

– No to co, dwa tygodnie wolnego – powiedziałam.

Jedna z moich koleżanek, Amelia, poklepała mnie po ramieniu i powiedziała:

– Przynajmniej już nie musisz szukać wymówek, żeby nie przyjść do szkoły.

Do rozmowy wtrąciła się Zuzia:

– I nie będziesz musiała tłumaczyć się nauczycielom, dlaczego znowu zaspalaś – zaśmiała się.

Wyszliśmy wszystkie razem z auli i udałyśmy się do parku znajdującego się przed szkołą. Zadzwoiłam do taty z prośbą o zawieszenie mnie do domu i resztę dnia spędziłam przy komputerze.

Początek kwarantanny z mojej perspektywy wydawał się wspaniały. Mogłam całe dni spędzać przy komputerze i nie musiałam się o nic martwić. Jednak moi rodzice czuli się przytłoczeni. Moja mama, nauczycielka, siedziała ze mną i moimi młodszymi braćmi w domu, jednak wciąż wykonywała swoje codzienne obowiązki. Mimo wszystkich obostrzeń i restrykcji wciąż musiała wychodzić z domu, by zrobić potrzebne zakupy. Z kolei mój tata, który prowadzi firmę, miał codzienny kontakt z paroma klientami. To był dla niego trudny okres, ponieważ podczas kwarantanny spadły mu zyski i ledwo udawało mu się utrzymać firmę. A ja? Nie przejmowałam się niczym. Grałam w swoje ulubione gry na komputerze i rozwijałam swoje artystyczne pasje. Nie miałam żadnych obowiązków oprócz tych w domu, kiedy musiałam powyciągać naczynia ze zmywarki czy powycierać kurze. To było bardzo dziwne uczucie, kiedy wszyscy wokół panikowali, rozmawiali wyłącznie o obecnej sytuacji w kraju i na świecie, a ja czułam spokój. Jedynie bałam się o rodziców, którzy praktycznie codziennie wychodzili z domu. Martwiłam się o to, że mogą się zarazić. Na nasze szczęście pierwszy tydzień kwarantanny przebiegł bezproblemowo.

Po tygodniu siedzenia w domu dostałam od pani dyrektor informację w dzienniku elektronicznym, że zajęcia będą odbywać się zdalnie, ponieważ nie jest to jednak wiadome, kiedy wrócimy do szkoły. Dostaliśmy cały plan działania, powiedziano nam, na jakich zasadach i na jakiej platformie będą się odbywać zajęcia. Jeszcze tego samego dnia nauczyciele zasypywali nas wiadomościami na Librusie z linkami do aplikacji, na której mieli prowadzić lekcje. Następnego dnia dostaliśmy pierwszy link do naszych zajęć prowa-

dzonych zdalnie. Był to język polski. Przez pierwsze parę dni ani nauczyciele, ani uczniowie nie wiedzieli, co się tak naprawdę dzieje. Siedzieliśmy przed komputerami, widząc jedynie nauczyciela, który stara się prowadzić zajęcia tak jak dawniej. Wiele nie posiadało odpowiedniego sprzętu do prowadzenia zajęć i niektórych nauczycieli było ciężko zrozumieć przez szum mikrofonu lub wiecznie zacinający się internet. Nauka w tym okresie była trudna dla obu stron. Było to coś nowego dla wszystkich i ciężko było się nam w to wszystko wprowadzić. Jednak ja uważałam to za czas, w którym moje życie było prostsze. Już od samego początku wiedziałam, co będę robić podczas zajęć. Mój budzik z godziny 6 przestawił się na 8, a na większości zajęć spałam lub grałam ze znajomymi w gry.

Tygodnie kwarantanny zamieniały się w miesiące, a miesiące w lata. W ten sposób zostałam zmuszona do nauki zdalnej przez trzy lata. Z biegiem czasu nauczyciele zaczęli biegle poruszać się w świecie internetowym, a z powodu przedłużającej się kwarantanny narodowej zdecydowali się przeprowadzać sprawdziany zdalnie. O ile sprawdzanie wiedzy zdalnie mi się podobało, bo wciąż z łatwością można było ściągać, o tyle mniej satysfakcjonujące okazało się to, że niektórzy nauczyciele zaczęli wymagać włączania kamerek na zajęciach. Niestety musiałam skończyć ze spaniem na lekcjach. Granie również okazało się trudniejsze, ponieważ nie mogłam rozmawiać ze znajomymi podczas grania, kiedy byłam widoczna na kamerce. Nie przykładałam się do nauki, skupiłam się na rozwijaniu swoich pasji i umiejętności. Poznałam więcej nowych dla mnie gier, a co za tym idzie – znajomych. Szkoła była dla mnie w pewnym momencie ostatnim priorytetem. Moi nowi znajomi i gry byli dla mnie najważniejszą wartością.

Spółeczna izolacja sprawiła, że spotkania towarzyskie przeszły na drugi plan. Z tego powodu media społecznościowe stały się moim głównym źródłem kontaktu z innymi ludźmi. Codziennie przeglądałam różnego rodzaju media społecznościowe, aby dowiedzieć się, jak moi znajomi radzą sobie z izolacją, a także aby podzielić się swoimi przemyśleniami. Było to miejsce, gdzie mogłam pozostać w kontakcie z przyjaciółmi i rodziną, choć tylko w wirtualnym świecie. Wspólnie z przyjaciółmi z różnych zakątków świata

graliśmy w popularne gry online. To była nie tylko zabawa, lecz także sposób na zachowanie więzi i spędzanie czasu razem, choć wirtualnie. Media i gry komputerowe były dla mnie zarówno ucieczką od rzeczywistości, jak i narzędziem do nawiązywania nowych kontaktów i znajdowania wsparcia innych.

Odkąd tylko pamiętam, bardzo interesowałam się komputerami. Zawsze mnie ciekawiło, co znajdowało się w tej wielkiej metalowej puszcze. Zaczęłam grać w gry, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem. Były to zwykłe gry przeglądarkowe. Włączenie takiej prostej gry sprawiało dziecku ogromną radość. Były łatwo dostępne dla każdego i nie potrzebowały dobrego sprzętu do rozgrywki. Obudziło to we mnie ogromną pasję do gier, która trwa do dziś. Zainteresowanie komputerami w trakcie kwarantanny jeszcze bardziej się rozbudziło, ponieważ miałam więcej czasu na programy rozrywkowe.

Jedną z gier, które najlepiej wspominam, jest *League of Legends* (LoL). To popularna gra komputerowa z gatunku MOBA (Multiplayer Online Battle Arena). Gracze tworzą drużyny i rywalizują ze sobą na wirtualnej arenie, kontrolując postacie z różnorodnymi umiejętnościami i cechami. Podstawowym celem gry jest zniszczenie struktur przeciwnika, głównie Nexusa, znajdującego się w bazie wrogiej drużyny. Rozgrywka odbywa się na mapie podzielonej na trzy główne aleje: top, mid i bot, z lasem między nimi. Każda drużyna składa się z pięciu graczy, z których każdy kontroluje jedną postać, znaną jako bohater lub champion. Każdy z championów ma unikalne umiejętności, a gracze rozwijają ich moce i zdolności podczas trwania meczu. Aby osiągnąć zwycięstwo, gracze muszą efektywnie współpracować, koordynować strategię, wykorzystywać swoje umiejętności oraz odpowiednio reagować na akcje przeciwników. Gra oferuje również system przedmiotów, który umożliwia ulepszanie postaci podczas meczu poprzez zakup różnych bonusów. *League of Legends* w czasie pierwszych miesięcy kwarantanny odgrywała dla mnie ogromną rolę. Wielokrotnie spóźniałam się na zajęcia, bo musiałam dokończyć mecz lub po prostu o nich zapominałam. Była to również gra, przy której się najbardziej denerwowałam. Raz, kiedy moja drużyna przegrywała, rzuciłam telefonem, który się popsuł, więc musiałam oddać go do naprawy. Straciłam przy tej grze najwięcej pieniędzy, klawiatur i nerwów. Mimo tego,

że włączenie kolejnego meczu najczęściej kończyło się u mnie negatywnymi emocjami lub zepsuciem czegoś, wciąż w to grałam. Wielokrotnie sobie mówiłam, że to koniec, że więcej w to nie zagram, jednak wystarczyła tylko jedna nudna lekcja lub pytanie znajomego o to, czy gram, i bez wahania wchodziłam do gry. Było to bolesne i szkodliwe dla mojego zdrowia psychicznego, ale euforia, która towarzyszyła mi podczas wygranych gier, była nie do opisanego. Jednak prawdziwe ukojenie przynosiła mi rozgrywka w *Minecraft*.

Była to chyba jedyna gra, która nie doprowadzała mnie do szału. *Minecraft* oferuje wiele możliwości: budowanie domów, miast, eksplorację podziemnych jaskiń, walkę z potworami, hodowlę zwierząt, rolnictwo, rzemiosło, handel i wiele innych aktywności. To ogromny, otwarty świat, który gracze mogą kształtować według własnych pomysłów i kreatywności. W głównej mierze skupiałam się na budownictwie. Razem z wieloma moimi znajomymi posiadałam własny serwer, na którym budowaliśmy różnego rodzaju struktury. Gra w *Minecraft* podczas zajęć była jak plaster na jeszcze świeżą ranę. Niezależnie od tego, jak bardzo nieciekawą była lekcja, jak bardzo zła czy smutna byłam, ta gra mnie uspokajała, wyciszała. Mogłam porozmawiać z moimi przyjaciółmi i się odprężyć, odkrywając przy tym szersze horyzonty mojej kreatywności. Często kiedy kładłam się spać, nie mogłam doczekać się kolejnego dnia, tylko ze względu na to, że z przyjaciółmi będę mogła dalej budować moją wielką osadę. Oczywiście było parę przykrych sytuacji, takich jak wybuch jednego z domków... Jednak nie załamywałam się przy tym tak bardzo jak przy LoL-u.

Jednak najwięcej szczęścia sprawiała mi gra, którą odkryłam całkowicie przypadkiem i która odmieniła całe moje życie. *FiveM* to modyfikacja do gry *Grand Theft Auto V*, która umożliwia tworzenie niestandardowych serwerów multiplayer. Pozwala graczom na dostosowywanie rozgrywki, dodawanie własnych zasobów, skryptów i modyfikacji oraz tworzenie unikalnych trybów gry, które różnią się od oryginalnego *GTA Online*. Ten mod pozwala społecznościom na stworzenie własnych światów *GTA V* z własnymi zasadami, trybami rozgrywki i funkcjami, co przyciąga zarówno graczy, jak i twórców modyfikacji. Rozgrywka polega na odgrywaniu prawdziwego życia, będąc

w grze. Każdy może wybrać swoją własną ścieżkę kariery, typ osobowości swojej postaci i zachowanie. Można być, kimkolwiek się tylko chce: kryminalistą, policjantem, medykiem. Można nawet prowadzić własną działalność lub mieć profesję drwala, górnika czy bezdomnego. Początki były dla mnie trudne. Gra posiada wiele elementów i regulaminów, które nie są przyjazne nowym graczom. Trzeba się ściśle trzymać określonych zasad roleplay'u. Jako początkowy gracz nie rozumiałam wielu aspektów gry. Serwer, na którym zaczęłam rozgrywkę, nazywał się „City of Stars”. Myślałam, że to jest zwykła gra z czatem głosowym, dlatego już od samego początku złamałam wiele powszechnych zasad, które tam panowały. Nie można było używać określeń, które sugerowały, że to jest gra. Używanie takich stwierdzeń, jak AFK (nieaktywność gracza przy komputerze) było karalne. Jako nowy gracz używałam takich określeń i nie rozumiałam poprawnej rozgrywki. Poznałam jednego administratora serwera, który dokładnie wytłumaczył mi, jak funkcjonuje rozgrywka na serwerze. Dzięki temu miałam większą przyjemność i wiedzę podczas gry. Poznałam tam coraz więcej osób i zaczęłam swoją pierwszą pracę w organizacji. Byłam kryminalistą i moje zadanie polegało na obrabowywaniu banków i jubilerów oraz strzelaninach z innymi gangami i policjantami. Po czasie dostałam propozycję pracy w szpitalu od ówczesnego dyrektora, na którą się zgodziłam. Porzuciłam całkowicie moje życie kryminalne na rzecz pomocy ludności. Zaczęłam awansować na coraz to wyższe stanowiska, dzięki czemu mogłam sobie pozwolić na lepszy komfort życia przez lepsze zarobki. Znalazłam też swoją miłość, z którą stworzyłam rodzinę. Złożyłam też wniosek o administrację, który został rozpatrzony pozytywnie. Od tego momentu nie była to już zwykła rozgrywka, ponieważ spadły na mnie obowiązki pilnowania porządku na serwerze. Zaczęłam się bardziej interesować całą modyfikacją gry. Chciałam się przyczynić do rozwoju serwera i podniesienia komfortu rozgrywki graczy. Wraz ze znajomym zajmowałam się pisaniem kodów i skryptów do gry. Czasami było to frustrujące, zwłaszcza gdy testowany przez nas skrypt nie działał. Były momenty, w których siedzieliśmy od rana do późnej nocy, programując i testując działanie serwera.



Dzięki mojemu zaangażowaniu w społeczność serwera awansowałam do coraz to wyższych rangi administracji. Z każdą wyższą rangą dostawałam coraz więcej obowiązków i przyjmowałam na siebie coraz więcej odpowiedzialności. Jeśli chodzi o samą grę, zostałam dyrektorem szpitala, co było wielkim wyzwaniem. Musiałam bardzo dobrze znać się na medycynie i operowaniu pacjentów. Każdy krok operacji musiałam pisać na czacie, mówić, co robię, jakie leki i w jakich ilościach podaję. Operacje były przeróżne. Raz musiałam po prostu wyciągnąć nabój z uda, co było mało skomplikowaną procedurą, a czasami pacjenci rzucali mi ogromne wyzwanie. Niektóre operacje były ciężkie, na przykład liczne złamania czy amputacje. Jednak im więcej czasu spędzałam, operując graczy, tym więcej się uczyłam. Opanowałam medycynę praktycznie do perfekcji i byłam w stanie wykonać każdą operację z dokładnymi opisami. Bycie dyrektorem szpitala to nie tylko operowanie. To również prowadzenie dokumentacji i kontrola nad nią. Każda wypłata, którą przekazywałam swoim pracownikom, musiała zostać odnotowana. Było również mnóstwo dokumentów, które musiałam wypełniać. Praca dyrektora szpitala to nie była jedyna rzecz, którą robiłam. Prowadziłam normalne życie, mając już męża i dziecko, wychodziłam ze znajomymi na imprezy lub jeździłam po mieście. Miałam ogrom aktywności poza pracą.

Była to gra, przy której spędzałam większość czasu. Wiele osób poznanych na tym serwerze do tej pory jest moimi dobrymi przyjaciółmi, a sama gra nauczyła mnie wielu nowych umiejętności, chociażby tych medycznych. Często na zajęciach pisałam kody lub pilnowałam porządku na serwerze. Sprawiało mi ogromne szczęście, gdy mogłam pomagać innym lub dla czystej satysfakcji karać graczy za niepoprawne zachowanie. Było to bardzo ciekawe doświadczenie. Działo się dużo śmiesznych, ale i przykrych rzeczy. Mimo wszystko jest to gra, która bardzo mnie odmieniła. Gdy pomyślę o czasach COVID-19, to FiveM jest moją pierwszą myślą. Zawsze będę mieć sentyment do tej gry przez to, że poznałam tam wiele wspaniałych osób i naprawdę dobrze się bawiłam, należąc do tej społeczności.

Zmiana wydawała się nieunikniona. Podczas gdy świat stopniowo wracał do normalności, zrozumiałam, że to, co przeżyłam podczas pandemii, na

zawsze pozostanie we mnie. Moje spojrzenie na granie uległo przemianie – nie był to już tylko sposób na zabawę czy ucieczkę od rzeczywistości. Stało się towarzyskim mostem łączącym mnie z ludźmi z całego świata, z którymi dzieliłam nie tylko fascynację grami, lecz także radość, wsparcie i solidarność w trudnych chwilach.

Podjęcie decyzji o sięgnięciu po kontroler, by zagrać w grę, stało się symbolem więzi i siły ludzkiej wspólnoty. Pozwoliło mi to zrozumieć, że nawet w najciemniejszych chwilach, gdy świat zdaje się tracić równowagę, istnieje coś, co potrafi nas połączyć – nasza pasja, nasze zainteresowania, nasza ludzka natura pragnąca kontaktu i zrozumienia. To doświadczenie zmieniło moje spojrzenie na świat. Teraz, gdy na ulicach znowu zagościł hałas, a życie zaczęło pulsować swoim normalnym rytmem, czuję w sobie wyjątkową wdzięczność za to, co przeżyłam podczas tych trudnych czasów. Grając, odkryłam nie tylko nowe światy w wirtualnej rzeczywistości, lecz także siebie – swoją siłę, determinację i umiejętność niesienia wsparcia innym.

Pandemia odmieniła moje życie, ale granie w tym czasie pozostawiło we mnie coś trwałego. To nie była tylko odskocznia od rzeczywistości. To było źródło siły i nadziei, które wciąż bije we mnie, pomagając mi pokonywać każdą trudność i doceniać każdą chwilę, którą mam okazję spędzić z innymi ludźmi, dzieląc pasję do gier i życia.

Nigdy nie zapomnę tego okresu, bo ukształtował on nową mnie, z nowymi doświadczeniami i spojrzeniem na przyszłość. W tej wielkiej światowej tragedii odnalazłam swój największy komfort i mimo panującego chaosu czułam się naprawdę szczęśliwa. Jestem pewna, że te czasy już nie wrócą, ale wspomnienia, które ze sobą niosę, zostaną ze mną już na zawsze.



# Strach

Pamiętam, że to był styczeń 2020 roku, początek drugiej dekady XXI wieku. Wtedy media na całym świecie, również w kraju, w którym obecnie żyję, obiegrała wieść o epidemii dotąd nieznanego wirusa w Wuhan w Chinach. Przypominał małą czerwoną kulkę z wyrastającymi z niej pręcikami – z racji ułożenia tych pręcików na „ciele” wirusa nazwano go koronawirusem. Objawy, o jakich wspomniano, były podobne do objawów grypy, jak na przykład: gorączka, kaszel lub katar. Stopniowo odkrywano też nowe, które nie kojarzą się z definicją grypy – utratę węchu i smaku, czyli takie, przez które ludzie nie przechodzą podczas chorowania na naszą „polską” gripę.

Dla mnie było zaskakujące to, że na tę wirusową chorobę umierało coraz więcej osób, głównie starszych oraz cierpiących na inne przewlekłe choroby. Co prawda trzymano je na kwarantannie, w zamkniętym obszarze, do którego można było wchodzić jedynie w kombinezonie zabezpieczającym osobę przed zarażeniem się wirusem – lecz i tak nie powstrzymywało to fali zakażeń. Na pasku informacyjnym liczba w ciągu zaledwie kilku dni urosła od stu przez dwieście aż do tysiąca i dalej!

Najstraszniejszą rzeczą było to, że można było się zarazić wirusem zarówno przez drogę powietrzną, jak i dotyk. Tak, **dotyk**. Do dziś (czy to tylko ja tak mam?) nie wiem do końca, jak wygląda mechanizm zarażania się wirusem poprzez dotyk. Czy on przykleja się do powierzchni ciała i wędruje aż do dróg oddechowych poprzez nos lub usta? Czy jest on aż tak mały, że wnika przez tkanki skóry i idzie prosto do układu krwionośnego? Nie wiem, nie skorzystałem z internetowych źródeł na ten temat.

Wkrótce ten wirus zaczął się rozprzestrzeniać dosłownie po całym świecie, na różne kontynenty dzięki popularnym środkom transportu, jak na przy-

kład samolot. Modliłem się, żeby ta zaraza nie dotarła do Polski. Wystarczyło zamknąć granicę kraju, przestrzeń powietrzną, nie wpuszczać transportów spoza granicy, by nie powtórzyć losu krajów Europy Zachodniej, gdzie już się pojawiły pierwsze zakażenia. Na próżno, naturalną koleją rzeczy Polskę też miała osiągnąć ta choroba, paraliżująca gospodarkę i zamykająca ludzi w domach.

Przenosimy się do pamiętnego dnia 4 marca tego roku, kiedy to w Polsce pojawił się w końcu pierwszy przypadek zakażenia. Wykryto go u mieszkańca województwa lubuskiego, którego przewieziono do szpitala w Zielonej Górze.

– To niemożliwe! Przecież mieszkam blisko Zielonej Góry. – Ta wiadomość wprowdziła mnie w osłupienie.

W moim liceum, do którego zacząłem uczęszczać od września, w sali od matematyki (gdzie uczyła nas wychowawczyni) zwołano nadzwyczajny apel, dotyczący między innymi przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Należało czekać na odpowiedni komunikat od władz, jak ta sytuacja się rozwinie i co będzie trzeba zrobić.

W następnych dniach do organizmów kilkunastu kolejnych ludzi wniknęła ta kulka z wyrastającymi koronkami. Podawano tę informację w mediach. Wszędzie pojawiły się w końcu przypadki, w których kulka aż tak bardzo namieszała w organizmie człowieka, że w końcu system odpornościowy pokazał białą flagę i człowiek poszedł na mimowolny wieczny odpoczynek.

Liczby szły w górę każdego dnia. Myślę, że znaczącym czynnikiem powodującym większe liczby zakażeń było to, że człowiek nie potrafił dostrzec gołym okiem, czy jest on nosicielem wirusa, czy ma świadomość zarażania innych kontaktem i jakie ma objawy, jeśli jakieś posiadał (chorobę wywołaną przez COVID-19 można przejść bezobjawowo, jeśli twój organizm jest wystarczająco mocny), chociaż do tego można wliczyć również niezdarność w kontaktach społecznych i nieprzestrzeganie reguł.

Dość obrzydliwą, nieprzyjemną, lecz też jedyną istniejącą metodą wykrycia tego wirusa było **wsadzenie sobie długaśnego, dwuczęściowego patyczka głęboko do nosa, aż w zatoki, żeby wyciągnąć z nich jakieś gluty, które**

podobno mają pomóc w wykryciu obecności koronawirusa w organizmie, formalnie zwane pobraniem wymazu. Przepraszam za takie słownictwo, ale nie rozumiem, dlaczego ludzkość musiała wybrać akurat TĘ metodę, a nie jakąś inną, mniej nieprzyjemną. Zakażeń mogło być w sumie o wiele, wiele więcej, jeśli ludzie podobno zakażeni odmówiliby tej metody wykrywania choroby.

Wracając do szkoły, muszę powiedzieć, że kiedy zakażeń w całym kraju przybyło jeszcze więcej, na początku większość moich koleżanek i kolegów miała bardziej wyluzowane podejście do całej sytuacji. Może nawet traktowali to jako żart. Nie wiem. Ponad trzy lata temu ktoś z naszej grupy (mogła to być nawet pani wychowawczyni) wstawił na Messengerze link do artykułu, rzekomo mówiącego o wprowadzeniu obostrzeń na terenie kraju w związku z pandemią (już nie epidemią!), który okazał się fałszywy. Po otworzeniu wiadomości ukazywał się goryl pokazujący środkowy palec.

Pod koniec miesiąca nastąpiło coś, czego nie dało się już uniknąć w kraju, gdzie odnotowano setki zakażeń – rząd wydał rozporządzenie, w którym ogłoszono, że przebywanie obok siebie w odległości mniejszej niż dwa metry nie jest już bezpieczne, i zalecono, sami wiecie, **pozostanie w domach**, utrzymanie wszędzie czystości i dezynfekcję, w tym mycie rąk **bardzo dokładnie** przez trzydzieści sekund oraz noszenie masek zakrywających nos i usta – pamiętny symbol tych mrocznych czasów.

Jako że nauka stacjonarna nie była możliwa, jeśli sala nie była przystosowana do tego, żeby pomieścić wszystkich uczniów siedzących w odległości dwóch metrów od siebie, wymyślono rewolucyjny sposób, który był dla mnie jednocześnie darem i przekleństwem – naukę zdalną. Koncept wydawał się w miarę dobry i przemyślany – umożliwiał porozumiewanie się nauczycieli i uczniów na odległość, uczestnicy odzywali się za pomocą mikrofonu lub pisali na czacie, można było udostępnić swoją prezentację i pokazać ją całej grupie. Mógłbym wymieniać zalety tego całego przedsięwzięcia, ale istnieją też jego wady. Uczniowie musieli godzinami siedzieć przed ekranem komputera, przez co wzrok się męczył i utrudniona była koncentracja. Do tego dochodziła słaba jakość sieci, trudno było się zobaczyć na kamerce i usłyszeć.

Stale się coś zawieszało i opóźniało, jakby nie mogli sobie sprawić lepszego sprzętu oraz połączenia internetowego.

Według mnie to trochę niezdrowo tak siedzieć w samotności w swoim pokoju na lekcjach prowadzonych na ekranie komputera. Lepiej byłoby spędzać ten sam czas w sali lekcyjnej obok żywych i ukochanych kolegów i koleżanek, gdzie jest pełnia skupienia, gdyż wszystkie telefony na lekcji są schowane, a kontakty z innymi osobami są bezpośrednie.

Kiedy zamknięto nas w domach, najpierw pomyślałem, że przynajmniej nie muszę już wychodzić na zewnątrz, by nie narazić się na szkodliwego wirusa. Nawet w szkole będę czuł się bezpiecznie i może w końcu zrealizuję swoją pasję, na którą nie miałem wcześniej czasu. Problem w tym, że jaka to pasja – grać w łatwe gry i oglądać różne filmiki na komputerze i telefonie lub oglądać telewizję.

Jakoś dotychczas miałem mało kolegów i koleżanek. Jestem osobą introwertyczną, typem samotnika – tak zresztą nie żyłem przyszłościowo, opierałem się na stwierdzeniu, że jak będzie, tak będzie. Mam w domu młodszą siostrę, dwoje kochających rodziców i babcię – takie towarzystwo mnie wychowywało, wspierało, zabawiało i... klóciło się ze mną o różne sprawy. Inni mieli różne przygody, zainteresowania, hobby, wychodzili często na zewnątrz i spotykali się ze sobą, rozmawiali na Messengerze... Tylko ja oprócz odrabiania zadań domowych i pisania wypracowań na język polski bardzo się leniłem.

Zdarzało się, że w domu na lekcjach zdalnych nudziłem się jeszcze bardziej niż na tych samych lekcjach w szkole. Często nawet nie słuchałem, co mówił nauczyciel, i w tym samym czasie przeglądałem różne strony i oglądałem filmy na YouTube. Każdy dzień wyglądał tak samo powtarzalnie i nudno, jak poprzedni. Pamiętam, gdy wszyscy na lekcji się nie odzywali ze względu na wyczerpanie tymi zajęciami oraz nudę. Wtedy pani od języka polskiego mówiła: „Miśki, nie śpijmy”.

Może się to wydawać ironią, ale wiedza, która miała do mnie dotrzeć właśnie przez spotkania klasowe na Google Meet, w większości przelatowała nad głową przez wcześniej wspomniany brak skupienia oraz (co może dotyczyć

jedynie mnie) robienie małej ilości notatek w zeszytach: co się wydarzyło na lekcji, jaki to był temat, jakieś obliczenia z matmy, zagadnienia na przyszłą lekcję, co pojawi się na następnym sprawdzianie itd. Moja głowa sobie ubzduriała, że wszystko, czego się dzisiaj nauczyłem, będę pamiętać, więc nie muszę pisać tych samych i tak oczywistych rzeczy w zeszycie, bo po co. Ze sprawdzianu z polskiego dostałem dwóję, bo mój umysł stał się biblioteką szkolnej wiedzy. Moja głupota. Moja wina. Moja bardzo wielka wina.

Z wiadomości dowiadaliśmy się, że wirus zarażał oraz zabijał coraz więcej i więcej osób, zarówno w Polsce, jak i na całym świecie. Udokumentowano przypadki zarazy, pomimo znacznych obostrzeń, uniemożliwiających dalsze rozprzestrzenianie się małego zagrożenia.

Skoro mój pogląd na temat wirusa był już dość negatywny i wywoływał we mnie strach, świat widocznie chciał, żebym bał się jeszcze bardziej, bo wymyślił mutacje wirusa, które miały wywoływać gorsze i silniejsze objawy. Należały do nich też później zidentyfikowane i znane warianty, czyli Alfa, Beta, Gamma, Delta i Omikron. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle świat wymyślił wirusy, skoro ich jedynym celem jest przynoszenie chorób i cierpienia żyjącym stworzeniom. One nie są nawet organizmami żywymi, nie odżywiają się, nie mają świadomości swoich czynów, nie komunikują się z innymi osobnikami, wykonują tylko czynności zaprogramowane w ich RNA. Innymi słowy – Ziemia stworzyła swoje mikroroboty.

Tymczasem tamtego roku do szkoły wróciłem jedynie na zakończenie roku, w lipcu wyjechałem na wakacje nad morze, inaczej już wyglądające niż kilka lat temu dzięki (jakże by inaczej) zasadom higieny. W tym samym czasie były też wybory prezydenckie, podczas których do stanowiska komisji stały bardzo długie kolejki ludzi (nie przestrzegali zasady dystansu społecznego!). Potem ogłoszono wyniki – wygrała nie ta osoba, przy której nazwisku moi rodzice postawili krzyżyk (ja nie mogłem jeszcze głosować, bo byłem wtedy niepełnoletni).

Po powrocie do szkoły we wrześniu cieszyłem się, że wróciłem do normalności – na próżno, bo niestety stoczyłem się na samo dno z nauką pomimo lekcji zdalnych. Szczególnie lubiłem uczyć się polskiego, lecz na moim



Librusie znajdowało się coraz więcej dwójek i trójek, co wynikało z mojej wcześniej wspomnianej ignorancji. I niespodzianka – od listopada wróciły zdalne (hura!).

W następnym roku pojawiła się nadzieja na pokonanie tej choroby raz na zawsze, w końcu trafiły do nas szczepionki. Ja się trochę boję szczepienia, bo wbija się igłę tak głęboko w ramię, jak to widziałem w telewizji. Jest to naturalny instynkt, ale mama powiedziała mi:

– To nie boli tak bardzo, poczujesz tylko takie uszczyknięcie.

Istnieje grupa ludzi, którzy sprzeciwiają się wszelkim szczepionkom, bo uważają, że powodują one różne nieciekawe skutki uboczne. Jak wiadomo, źle postępują. Odmówienie szczepionki w jakże trudnych czasach zarazy to jest nieodpowiedzialny pomysł i nawet takim osobom przyniosło to śmierć. Dlatego zgłosiłem się na te szczepienia, by mieć to już za sobą. W sumie, tak jak mówiła mama, prawie nie bolało, z wyjątkiem jakichś drobnych skutków ubocznych.

Niestety gdy wirus zaczął mutować, czyli pojawiły się te wszystkie delty i omikrony, to szczepionki nie były już kompatybilne i dlatego ludzie zaczęli przychodzić nie tylko po trzecią, lecz także czwartą dawkę szczepionki. Mnie wystarczyła trzecia dawka.

Po jakimś czasie, jak to naturalnie się dzieje, wszystko zaczynało wracać do normy. Inaczej mówiąc, tak późnym rokiem 2021 zaczęła się odwilż. Zniesiono dotychczasowe obostrzenia, w tym obowiązek noszenia tej piekielnej maseczki (trudno się w niej oddychało). Premiery kinowe, które były z racji pandemii przekładane lub w ogóle nie miały miejsca, teraz przebiegały bez zakłóceń. Ludzie mogli się zbierać w wielkie tłumy, gdyż już nie obawiali się zarażenia. Nawet stacje informacyjne stopniowo przestawały informować o nowych przypadkach koronawirusa (w szczytowym okresie były już liczone w dwóch tysiącach przypadkach dziennie), a skupiały się bardziej na aktualnych tematach politycznych i innych pomniejszych sprawach.

Również nauka zdalna odchodziła w niepamięć – ostatni raz była przed feriami zimowymi w 2022 roku, a czwartą klasę przechodziliśmy bez prze-

szkód. W pewnym momencie świat znalazł się w takim samym stanie, jak sprzed początku 2020 roku – jakby nic się nie wydarzyło.

Jaki wpływ wywarł na mnie ten cały okres zamknięcia w czterech ścianach i siedzenia beczynnie, w oczekiwaniu na powrót do normalności? Co w tym okresie osiągnąłem, czego się nauczyłem? Nauczyłem się tego, że uczenie się w samotności w pustym pokoju, kiedy jest się wpatrzonym w jaskrawy ekran komputera, nie jest zdrowe i bezpieczne, jeśli się temu bliżej przyjrzeć. Mało tego, nauczyłem się też oszukiwać na zajęciach, o czym nie było mowy na lekcjach stacjonarnych. Podobno patrzeć na czyjś sprawdzian i przepisywanie z niego odpowiedzi było niedopuszczalne, a korzystanie z internetowej encyklopedii w przypadku sprawdzianu zdalnego z biologii przy wyłączonej kamery nagle było w porządku, o ile nauczyciel o tym nie wiedział.

Co do mnie, to cały ten okres mnie lekko zmienił. Przestałem bać się wirusa, gdyż nie należałem do grupy największego ryzyka ani nie miałem żadnych chorób towarzyszących. Dzięki tej nauce zdalnej poczułem prawdziwą tęsknotę za szkołą jako taką i pragnąłem się uczyć jak nigdy, by zdobyć jak najlepsze oceny na koniec roku.

Inaczej było z kościołem. Kiedyś chodziłem na msze święte co niedzielę, jak miałem to w zwyczaju, od kiedy chodziłem do katolickiej szkoły podstawowej. Gdy nastał czas pandemii, przestałem chodzić do kościoła ze względu na maski i dystans społeczny i do tej pory do niego nie wróciłem (tak dawno nie byłem u spowiedzi, wybac mi, dobry Boże). Obecnie nie chodzę tam z powodów politycznych, które szkoda wymieniać w tej książce. To jest dla mnie jeden z takich okresów, w którym nic już nie będzie takie samo.

Obecnie ten mroczny czas pozostaje już tylko nieprzyjemnym wspomnieniem. Ukończyłem czwartą klasę stacjonarnie bez żadnych przeszkód, nawet dostałem czerwony pasek na świadectwie, co jest dla mnie niespotykane. Mogę już bez przeszkód chodzić po różnych sklepach, restauracjach i innych otwartych przestrzeniach bez obawy o własne zdrowie i bez konieczności noszenia maski. Dostałem się na uniwersytet, wybierając kierunek dziennikarstwo. W sumie trochę się pogorszyłem w nauce, ale i tak wytrzymałem do końca.

Mimo tego, że pandemia się skończyła, sam wirus wbrew wszelkim przekonaniom nie zniknął. Jakiś czas temu usłyszałem informację, że w naszym kraju kilka lat po pandemii jest notowanych więcej przypadków koronawirusa i ta liczba ciągle wzrasta.

W liceum czytaliśmy książkę pod tytułem *Dżuma*, w której poruszony został podobny temat zamknięcia, odizolowania społeczeństwa przed śmiertelną chorobą – w tym przypadku tytułową dżumą. Przedstawione są w niej historie ludzi, którym zaraza przeszkodziła w realizowaniu celów oraz zmieniła ich życie i nastawienie do świata. Zarówno my, jak i polonistka zauważyliśmy tam ukrytą aluzję do swoich przeżyć z okresu pandemii – zamknięcie, samotność, niespełniona chęć spotykania się z innymi ludźmi – wszystko tutaj jest.

Mam nadzieję, że te czasy już nigdy nie wrócą. Człowiek ewolucyjnie jest istotą w miarę socjalną, niepotrafiącą przetrwać bez komunikowania się z resztą społeczeństwa, i takie ograniczenia bardziej mu szkodzą, niż przynoszą korzyści. Ponadto żyje się w ciągłym strachu, bo człowiek nie ma pojęcia, co się z nim stanie, gdy wyjdzie na zewnątrz. Przynajmniej ten cały okres pandemii nauczył mnie też, że należy dokładnie myć ręce, bo wcześniej robiłem to byle jak.

## Zamknięci w codzienności

Od wielu tygodni światowe media obiegały coraz to nowsze informacje dotyczące tajemniczego wirusa, który miał stanowić niemałe zagrożenie dla ludzkiego zdrowia i życia. Do tej pory większość ludzi z niepokojem śledziła medialne wiadomości, słuchając o wydarzeniach w sąsiednich krajach. Aż do piątku 20 marca 2020 roku. Właśnie wtedy okazało się, że tajemniczy wirus dotarł także do Polski. To ten dzień zapoczątkował okres nieustających zmian w życiu każdego z nas, w tym w moim. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak wiele się zmieni. Mimo napiętej atmosfery w mediach nikt by się nie spodziewał, jak bardzo zaistniała sytuacja wpłynie na naszą codzienność. Wskutek ogłoszonej przez rząd pandemii trzeba było nauczyć się żyć w nowej rzeczywistości. Do tamtego dnia większość z nas skupiała się na swoich obowiązkach i poddawała rutynie, nie śmiąc myśleć, że cokolwiek mogłoby doprowadzić do utraty tego stanu.

Od dnia ogłoszenia zagrożenia epidemiologicznego nic nie było takie samo, w żadnej z dotychczasowych dziedzin życia. Pierwsze tygodnie tej nowej sytuacji niosły za sobą strach i niepewność, co będzie dalej. Wszyscy byli zdezorientowani i nie wiedzieli, jak należałoby się zachować, zwłaszcza gdy każdy dzień przynosił nowe, odgórnie narzucane obostrzenia związane z funkcjonowaniem państwa na różnych płaszczyznach. Ulice, kiedyś tętniące życiem, nagle opustoszały. W mieście nastąpiła niespotykana dotąd cisza. Ludzie zamknęli się w swoich domach, starając się chronić przed nowym wrogiem. Wypływające codziennie, z każdego możliwego źródła, dane

o nowych zakażeniach sprawiały, że wielu z nas od tamtego dnia zaczynało obawiać się świata zewnętrznego.

Ten feralny marcowy piątek zaczął się od komunikatu rządu, mówiącego o zawieszeniu zajęć szkolnych w trybie stacjonarnym oraz przejściu większości zakładów pracy na system zdalny. Początkowo nawet się ucieszyłam. Próbowałam zobaczyć pozytywne strony zaistniałej sytuacji. Pomyślałam, że teraz będę miała więcej wolnego czasu, a przy tym będzie łatwiej chronić zdrowie, zarówno swoje, jak i reszty domowników. Myślałam, że przy tej okazji będę mogła nadrobić zaległy serial czy książkę albo zająć się rzeczami, które ciągle odkładałam na później, tłumacząc to brakiem czasu. Szybko jednak okazało się, że nowa sytuacja zaczęła być o wiele bardziej przytłaczająca niż korzystna. Nie tego się spodziewałam. Każdego dnia robiłam to samo, o tych samych porach, z tym samym poczuciem, że w moim życiu już nic się nie zmienia. Moja codzienność stała się przykrą rutyną. Cały dzień opierał się na nauce i pracy za pośrednictwem komputera. Resztę czasu zaczęłam spędzać na prozaicznych czynnościach, takich jak przeglądanie błahych filmików w internecie. Codzienne wyzwania stawały się coraz bardziej monotonne, a moje cele przestawały mieć znaczenie. W tamtej chwili wszystko wydawało mi się bezsensowne.

Od dnia ogłoszenia rządowego komunikatu wszyscy członkowie mojej rodziny, wskutek przejścia na zdalny tryb pracy, pozostali w domu. Sądziłam, że to może być dobra okazja, aby spędzić ze sobą więcej czasu. W końcu teraz żadne z nas nie musiało się nigdzie śpieszyć, a ilość obowiązków nagle znacznie się zmniejszyła. Nadzwyczajne okoliczności sprawiały, że wszyscy zmieniliśmy swoje dotychczasowe przyzwyczajenia. Faktycznie na początku miałam wrażenie, że nasze relacje się zmieniają. Pozostając w domu przez pierwsze dni, wszyscy staraliśmy się być dla siebie wsparciem, zwłaszcza mając świadomość, jakie niecodzienne wydarzenie nas tu doprowadziło. Wszyscy wiedzieli, że decyzja o takim systemie pracy nie została podjęta przypadkowo, co potęgowało gromadzące się w każdym z nas uczucie niepokoju. Pierwsze dni w zamknięciu spędzaliśmy na dyskusjach, zadając sobie pytanie, co będzie dalej, i wymieniając spostrzeżenia na temat aktualnej

sytuacji. Jednak z czasem zarówno ja, jak i reszta mojej rodziny powoli przyzwyczailiśmy się do nowej rzeczywistości. Każdego dnia rano, chwilę po przebudzeniu, każdy zasiadał przed ekranem swojego komputera, wpatrując się w niego przez następne kilka godzin. Podczas wspólnie spędzanych chwil większość naszych rozmów opierała się na wymianie zdań odnośnie do trudności związanych z korzystaniem z nowych technologii, do których wcześniej żadne z nas nie było przyzwyczajone, oraz do suchych faktów na temat aktualnych wydarzeń w kraju. Na samym początku pandemii ciekawość związana z wirusem i jego konsekwencjami napędzała tego typu rozmowy. Dyskutowaliśmy na temat szczepionek, które były w trakcie badań, wierząc, że nauka wyzwoli nas ze szponów nieznanego wirusa. Był to gorący temat, który z upływem dni zamienił się w beznamiętnie powielane wiadomości. Niestety wraz z upływem czasu i stale przedłużającego się lockdownu temat koronawirusa spowszedniał. Przyzwyczajenie do myśli, że trwa pandemia i trzeba stosować się do obostrzeń, sprawiło, że liczba zakażeń w rozmowach zmieniła się z osobistych tragedii w statystykę.

W międzyczasie przyzwyczajaliśmy się do nowego systemu pracy i nauki. Przestrzeń prywatna, w której do tej pory można było odnaleźć spokój, w jednej chwili stała się także miejscem pracy. Na samym początku wiązało się to z niemalym stresem, bo trzeba było okiełznać nieużywane dotąd funkcje. Niejednokrotnie denerwowałam się na wolno pracujący internet lub nie mogłam połączyć się z działaniem komunikatorów wideo, z którymi wcześniej nie miałam do czynienia. Szybko jednak okazało się, że taki sposób pracy był zarówno dosyć prosty, jak i nudny. Codzienne godziny spędzone przed monitorem zaczynały być męczące i sprawiały trudność w skupieniu się. Zajęcia polegały głównie na słuchaniu, najczęściej w pizamie i z kubkiem herbaty. Moja aktywność ograniczała się do krótkich odpowiedzi, a jednocześnie uważałam, aby przypadkiem nie włączyć mikrofonu, podczas gdy mówił ktoś inny. Obecność na zajęciach poprzez kamerkę internetową dawała mi nowe, nieoczekiwane możliwości. Nie będę ukrywać, że zdarzało mi się zostawić włączony ekran komputera, wyłączając przy tym kamerkę i mikrofon, stwarzając pozory obecności. Nierzadko, gdy w tle było słychać

lekcję na przykład matematyki, ja zajmowałam się czymś zupełnie innym. Gotowałam obiad, brałam prysznic albo malowałam paznokcie. Wydawałoby się, że to świetny sposób na nudne lekcje, jednak mimo mojej niechęci do wspomnianej matematyki z czasem zatęskniłam za zajęciami, na których mogłabym usiąść we wspólnej ławce z koleżanką, analizować zadanie przy tablicy, a nie tylko na ekranie laptopa. Wymagało to czasu, aby się przyzwyczaić i nauczyć pracy oraz skupienia w nowych warunkach.

Dotychczas uważałam, że życie polega na zmienności. Wierzyłam, że każdy z nas może kształtować swoje życie takim, jakiego pragnie. Myślałam, że wszystko zależy ode mnie i mam na wszystko wpływ. Jednak tamten okres udowodnił mi, że niekoniecznie tak jest. Lockdown pokazał, że być może nie jestem tak niezależna, jak sądziłam, i będę musiała się dostosować do pewnych okoliczności. Do tej pory byłam osobą aktywną, ceniącą sobie ruch, możliwość podróżowania, spędzania czasu z przyjaciółmi. Rzadko doświadczałam uczucia nudy, bo w moim dotychczasowym życiu raczej go nie było. Zawsze coś się działo. Mój ówczesny szczegółowo zaplanowany dzień się zmienił. Miałam dużo wolnego czasu, z którym nie wiedziałam, co zrobić. Przestałam zwracać uwagę na kolejność czynności, do których wcześniej byłam przyzwyczajona. Było mi wszystko jedno, co, gdzie i kiedy. Snułam się po domu w poczuciu bezsilności. Okazało się, że nie zdawałam sobie sprawy, jak ważne są w życiu te pozornie małe rzeczy składające się na przebieg mojego dnia, jak poranny trening, wyjście do kina czy obiad w restauracji. Teraz dni zaczęły się rozmywać, zacierając między sobą granice. Wielomiesięczny czas pandemii stanowił dla mnie próbę, której nigdy przedtem nie doświadczyłam. Mimo iż uwielbiam wyzwania, to okazało się najtrudniejsze ze wszystkich.

Pozornie świetna okazja do poprawy relacji rodzinnych okazała się utrapieniem. Z pewnością nie pomagały rozmowy o liczbie zakażonych i zmarłych oraz nowych, coraz radykalniejszych obostrzeniach. Takie odizolowanie od świata zewnętrznego i nagle zamknięcie w czterech ścianach sprawiło, że zwyczajnie nasze towarzystwo zaczynało nas wzajemnie męczyć. Coraz częściej dochodziło do nieporozumień wynikających przede wszystkim z gro-

madzącej się w nas frustracji. Każdy dzień, od rana do nocy, spędzaliśmy w tym samym gronie, przesiąknięci strachem i negatywnymi informacjami ze strony mediów. Nic dziwnego, że nasze relacje zaczęły tak wyglądać. Wszyscy byliśmy zmuszeni zrezygnować z dotychczasowego życia. Od teraz spędzaliśmy każdy dzień razem, znosząc wzajemnie swoje zachowania, na które być może do tej pory nie zwracaliśmy uwagi, albo wręcz których nie mieliśmy okazji widzieć w ciągu zabieganego dnia. W końcu pierwszy raz nadarzyła się okazja, aby cała rodzina spędzała tak dużo czasu wyłącznie w swoim towarzystwie. Do tej pory uważałam, że i tak dużo ze sobą przebywaliśmy, ale zawsze przeplatało się to ze spotkaniami z przyjaciółmi, znajomymi czy poświęceniem czasu na własne aktywności. To wspólne spędzanie czasu przestało cieszyć, a wręcz często prowadziło do spięć wynikających ze wzajemnego zirytowania. Pojawiały się też te najgorsze dni, czyli momenty, gdy ktoś z domowników po prostu miał zły humor. Wtedy zazwyczaj w domu panowała cisza, każdy jeszcze bardziej skupiał się na swoim świecie osadzonym za ekranem komputera, nie chcąc wchodzić w drogę innym i wywoływać niepotrzebnych starć. Nie ma w tym nic dziwnego. W tych okolicznościach sama bardzo często bywałam sfrustrowana tym, że nagle wszystkie moje plany się posypały, a rzeczywistość wygląda tak, a nie inaczej. Trudno było o pozytywne emocje, zwłaszcza na początku pandemii.

Wskutek lockdownu wszystkie ośrodki publiczne zostały zamknięte. Byłam skazana na zamknięcie w czterech ścianach z tłumionymi emocjami, których nawet nie mogłam odreagować, chociażby przez aktywność fizyczną. Siłownie, baseny, kluby fitness, a przez pewien czas nawet lasy – wszystkie te miejsca były niedostępne. Nie było dokąd uciec. Mimo mieszkania pełnego ludzi zaczynałam odczuwać niewytłumaczalną pustkę. Moje życie nie było takie jak przed 20 marca, co odbierało mi radość z niego. Wolne wieczory czy weekendy szybko przestały cieszyć, a zaczęły jedynie przytłaczać. Mimo dobrych relacji w rodzinie przestawaliśmy się sobą interesować. Każdy wiedział wszystko o drugiej osobie, co odbierało możliwość dyskusji. Osobiście uważam, że najważniejszym powodem takich odczuć było nasze stałe przebywanie we własnym gronie, nikt z nas nie spotykał się z innymi ludźmi,



bliskimi czy przyjaciółmi. Ograniczaliśmy się do rozmów telefonicznych z nimi, ale te rozmowy także niewiele wносиły. Nikt nie wychodził do kina na premierę filmu, o którym mógłby opowiedzieć, nie wracał z nowej restauracji, którą mógłby polecić, ani z pracy, w której mogłoby się wydarzyć coś śmiesznego, czym zechciałby się pochwalić. Te rozmowy niczego nie zmieniały. Wielokrotnie miałam wrażenie, że wszystko zostało już powiedziane. Brak nowych wydarzeń i wspólnych doświadczeń powodował, że rozmowy stawały się coraz płytsze lub ograniczały się tylko do tematu pandemii. Czas lockdownu nieublaganie się dłużył, odbierając przyjemność z życia.

Spotkania towarzyskie, które przedtem były nieodłącznym elementem mojego życia, stały się praktycznie niemożliwe. Bardzo trudno było mi zrezygnować z prawdziwego kontaktu z przyjaciółmi na rzecz tego za pośrednictwem smartfona czy kamerki w laptopie. To nieporównywalne. Rozmowy telefoniczne nie były w stanie zastąpić kontaktu twarzą w twarz, przez co uważam, że ucierpiała część moich relacji.

W miarę upływu czasu coraz bardziej tęskniłam za beztróskim wyjściem na zewnątrz i spędzeniem czasu z innymi ludźmi. Brakowało mi spotkania z przyjaciółką w naszej ulubionej kawiarni, wyjścia do kina czy całodniowego wypadu do galerii handlowej. Brak różnorodności w aktywnościach społecznych sprawiał, że odczuwałam coraz większą bezsilność. Utrzymywałam kontakt z najbliższymi mi osobami, spoza rodziny, ale usilnie chciałam wyjść na zewnątrz i obcować z ludźmi tak jak do tej pory. Nawet z tymi spotkanymi przypadkiem. W tym dziwnym czasie tliło się we mnie sporo sprzecznych emocji. Z jednej strony bardzo chciałam móc korzystać z życia jak do tej pory i nie musieć się bać każdego usłyszanego kichnięcia, z drugiej jednak miałam świadomość, że powinnam zachowywać zalecany dystans, unikać kontaktu fizycznego i nosić масечkę. Tym samym ograniczając interakcje społeczne z obcymi do minimum, zwłaszcza chcąc szanować granice tych, którzy boją się zachorowania znacznie bardziej, będąc na przykład w grupie ryzyka. Cała ta sytuacja związana z koronawirusem sprawiała, że bolało mnie, jak bardzo zanika kontakt międzyludzki. Nie było miejsca nawet na delikatny uśmiech posłany do drugiej osoby, bo należało mieć масечkę, przez którą nic by się

nie przedarło. W tamtym czasie ludzie widzieli w sobie wzajemnie zagrożenie, co napędzało negatywny nastrój i tym samym prowadziło do poczucia społecznej izolacji. Jako osoba ceniąca sobie stały kontakt z ludźmi, lubiąca poznawać nowe osoby, bardzo mocno odczułam znużenie w moim życiu poprzez właśnie brak tego typu nowych doświadczeń.

Pamiętam, jak trudno było mi się przyzwyczaić do myśli, że cały mój dzień będzie musiał opierać się wyłącznie na aktywnościach w domu i mojej własnej kreatywności. Jak wspominałam, większość miejsc publicznych została tymczasowo zamknięta lub znacznie ograniczyła dostęp. Nielatwo było znaleźć satysfakcjonujące zajęcie na czas wolny. Niestety nieporównywalne jest wyjście do teatru z oglądaniem transmisji ani wyjście na kolację do klimatycznej restauracji z jedzeniem odebranych od dostawcy w progu drzwi. Nie wspomnę już o możliwości podróżowania i odkrywania nowych miejsc. Dla mnie, jako osoby uwielbiającej podróże i możliwość poznawania nowych kultur, było to bardzo przykre. Musiałam ograniczyć się do krótkich wycieczek po okolicy, ale i tego nie mogłam w pełni realizować, ponieważ do wielu miejsc, takich jak muzea czy wystawy, dostęp był utrudniony. Mogłam obejrzeć coś jedynie z zewnątrz. Z kolei dłuższe podróże nie były możliwe. Zwłaszcza przez pierwsze miesiące najbardziej rygorystycznych obostrzeń. Czas lockdownu zatrzymał niemalże każdą branżę. W związku z tym musiałam przez większość czasu pozostawać we własnym mieszkaniu, nie kombinując z próbą ucieczki, ponieważ nie było takiej możliwości. Miało to negatywny wpływ na moją psychikę. Na długie miesiące zaniknęło planowanie podróży i wyczekiwanie na różne wydarzenia. Szkoda, ponieważ taka myśl, w moim przypadku, często pozwalała z większą motywacją pokonywać kolejne dni w oczekiwaniu na to jedno zdarzenie lub planowany wyjazd. W tamtym okresie każdy marzył o powrocie do znanej nam normalności i tego wyczekiwał. Niestety nikt nie wiedział, jak długo trzeba będzie czekać.

W tych niecodziennych okolicznościach myślę, że nie byłam jedyną, która miała poczucie utraty kontroli nad swoim życiem. Niepewna sytuacja w Polsce i na świecie sprawiała, że zaczynałam zauważać brak perspektyw na przyszłość. Niczego nie wyczekiwałam i przestałam snuć plany związane z moją

własną przyszłością. Nagle wszystko wydało mi się tak bardzo odległe, że nie zamartwiałam się ukończeniem szkoły, wynikami egzaminów, szukaniem pracy czy mieszkania. Pandemia zachwiała dotychczasowym kalendarzem na tyle, że niemalże do samego końca nie było wiadomo, jak będzie wyglądać zakończenie roku szkolnego. Naprawdę wiele się pod tym względem zmieniło. Przez to przestałam się zadreć terminami i byciem w pośpiechu, ale jednocześnie zwątpiłam, czy jest jakikolwiek sens, by planować, co będzie później. Co kilka dni słyszałam w mediach różne, często sprzeczne ze sobą informacje i prognozy, jak długo może jeszcze potrwać aktualny stan i jak będzie się zmieniał. Przyszłość była na tyle niepewna, że kompletnie zatraciłam się w codzienności, która już niczym nie cieszyła.

Czas wielomiesięcznej pandemii, wchodzące nowe ustawy i obostrzenia sprawiały, że zanikała wizja normalnej przyszłości. Patrząc wstecz, nie poznaję siebie z tamtego okresu. Dzień za dniem coraz bardziej przybliżały mnie do końca szkoły i zaczynałam mieć coraz mniej obowiązków związanych z nauką. Skutkowało to tym, że moja lista zajęć i obowiązków w ciągu dnia mocno się zmniejszyła. Szkolne obowiązki stanowiły namiastkę wspomnień czasów sprzed 20 marca, a gdy i one zniknęły, zanikały też moje chęci do działania. Przestałam czuć potrzebę jakiegokolwiek aktywności. Rzeczy, które wcześniej mnie interesowały, nagle stały się mniej interesujące. Zaczęło mnie nudzić codzienne oglądanie filmów, długie surfowanie w sieci albo wielogodzinne słuchanie muzyki. Wtedy zdałam sobie sprawę, że o wiele bardziej doceniałam ten okres, kiedy twierdziłam, że nie mam czasu na różne rzeczy. To tak jak spędzanie czasu z innymi ludźmi. Gdy codziennie spotykałam się z przyjaciółmi, nie doceniałam tych spotkań tak bardzo, jak w chwili, kiedy ich zabrakło. Podobnie, kiedy w końcu spotykałam się z rodzicami w domu, po całym dniu spędzonym na zewnątrz lub na załatwianiu własnych spraw. Wszyscy o wiele chętniej i z większą uwagą ze sobą rozmawialiśmy, mając przyjemność z tego spotkania i ciesząc się, że mogło do niego dojść, w natłoku własnych obowiązków i pracy.

Okres lockdownu w trakcie pandemii COVID-19 przebiegał w różny sposób, zależnie od aktualnie panującego obostrzenia ustanowionego przez rząd.

Wraz z upływem czasu udało mi się dotrzeć do momentu, gdy te najbardziej rygorystyczne zakazy były stopniowo znoszone. Po kilku tygodniach całkowitego zamknięcia nadeszły dni, kiedy oddano nam chociażby możliwość spaceru po lesie. Choć była to pozornie niewielka zmiana, to jednak nieśmiało dawała szansę na powrót do takiej rzeczywistości, jaką wszyscy zapamiętaliśmy i za jaką tęskniliśmy. W obliczu całkowitego odizolowania uczucie monotonii zagościło w naszym życiu na bardzo długie tygodnie i miesiące. Dla mnie było bardzo mocno odczuwalne i stało się jedną z pierwszych rzeczy, z jaką kojarzy mi się ten okres. Teraz, trzy lata od tego wydarzenia, uważam, że to doświadczenie, mimo że trudne, było potrzebne. Takie zatrzymanie w czasie i życie w marazmie codzienności pokazało mi, że należy aktywnie korzystać z tego, co życie oferuje, i doceniać każdy szczegół codzienności. Nigdy nie wiadomo, czy nie zostanie nam ona nagle odebrana. Zrozumiałam, że niczego nie można brać jako pewnik, a życie i świat są przewrotne. Poczucie bezsilności, stagnacji i znudzenia, którego doświadczałam przez znaczną część roku 2020, uświadomiły mi swój ogromny wpływ na moje samopoczucie i sposób postrzegania świata. Jeszcze bardziej doceniłam miejsce, w którym jestem, i obiecałam sobie korzystać z życia najbardziej, jak tylko się da. Dziś, mimo mojej głębokiej refleksji na ten temat, mam nadzieję, że już nie będę musiała doświadczać tego typu sytuacji.



# Historia kołem się toczy

Pamiętam bardzo wyraźnie, jakby to było wczoraj. Siedziałam w kawiarni z moją przyjaciółką Amelią, obgadując osoby z naszych klas licealnych, gdy dostałyśmy informację od wychowawców, z której wyraźnie wynikało, że z powodu rozwijającej się pandemii postanowiono zamknąć szkoły na okres dwóch tygodni. W tamtym momencie cieszyłyśmy się jak głupie, myśląc, że dostałyśmy bez powodu dodatkowe dni upragnionego wolnego. To było w marcu 2020 roku. Obie przypuszczałyśmy, że na tym się skończy i wrócimy do normalnego życia jakby nigdy nic. Jednak dane nam dwa tygodnie zmieniły się w dwa miesiące, dwa miesiące w cztery, cztery w osiem, aż w końcu zrobił się koniec roku 2021, a pierwsza i druga klasa liceum przeleciały, jakby nigdy ich nie było.

Pamiętam, że powrót do szkoły dla niektórych był ogromną radością, swego rodzaju wybawieniem od monotonii samotnych dni, które pozbawione ciągłego kontaktu z drugim człowiekiem były jak ciężki bagaż na ich ramionach. Dla mnie powrót do szkoły wydawał się naruszeniem pewnej bariery. Przechodząc przez próg drzwi mojego, dawnego już, liceum, czułam się, jakbym wkraczała w rzeczywistość stworzoną z myślą o kimś innym. Jakbym śniła nie swój sen. Jakbym grała w grę, nie będąc zarejestrowanym graczem. Jakbym była intruzem w życiu społecznym ludzi z mojego otoczenia.

Wszystko ma swój powód. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Więc wróć do początku. Jestem osobą introwertyczną. Cenię sobie ciszę, spokój i brak nadmiernego towarzystwa. Nie jestem gadatliwa, a jak już zacznę o czymś

mówić, to czuję się, jakbym była słuchana bardziej na siłę niż z zainteresowania tym, co mam do powiedzenia. Moje wyobcowanie nie miało początku w pandemii, chociaż nie można powiedzieć, że nie odegrała ona kluczowej roli w jego pogłębieniu.

Od najmłodszych lat byłam albo sama, albo w bardzo niewielkim gronie ludzi, składającym się zazwyczaj z nie więcej niż trzech osób. Nie chodziłam do żłobka, ponieważ moja mama, przerażona tym, jak wyglądała tam opieka nad dziećmi, poprosiła o pomoc babcię, która z ogromną radością brała mnie do siebie dzień w dzień przez trzy lata, podczas gdy rodzice chodzili do pracy.

W przedszkolu niby miałam przyjaciółki „Niby”. Były to trzy dziewczynki, które cieszyły się zainteresowaniem innych dzieci, ponieważ wszystkim wydawały się „fajne”. Problem z ich przyjaźnią pojawiał się jednak wtedy, kiedy postawione przed wyborem zabawy ze mną bądź z kimś bardziej interesującym wybierały kogoś innego. Byłam dla nich kołem ratunkowym, po które sięgały, kiedy nie było innego dziecka, chcącego bawić się w to, co one wymyśliły. Przypominały sobie o mnie też w momencie, gdy trzeba było kogoś obarczyć winą za złamanie zasad ustalonych przez opiekujące się nami przedszkolanki.

Pamiętam, jak zapytały mnie, do jakiej szkoły pójdę od września, a ja zdeorientowana nie wiedziałam, co im odpowiedzieć. Następnego dnia po zapytaniu rodziców dowiedziałam się, że swoją drogę szkolną zacznę dopiero w kolejnym roku, ponadto w innej szkole podstawowej niż one.

– Ty będziesz gdzie indziej niż my i do tego zaczynasz później – powiedziała Zuzia, jedna z moich „przyjaciółek” – więc my nie chcemy mieć pod górkę dlatego, że nie będziemy miały koleżanek. Od dzisiaj przyjaźnimy się z nimi. – Mówiąc to, wskazała na pewną grupkę dziewczynek. Chwilę potem wszystkie trzy obróciły się i poszły w stronę nowo wybranych koleżanek.

Kiedy w końcu poszłam do szkoły podstawowej, próbowałam zakolegować się z otaczającymi mnie dziećmi. Jednak niezależnie od tego, w której klasie byłam, zawsze miałam miano koleżanki „na doczepkę”, która stawała się istotna, kiedy kogoś nie było w szkole albo jeśli miałam skończone jakieś zadanie domowe, którego inni nie zrobili. Większość czasu spędzałam

sama na korytarzu, jedząc drugie śniadanie i czekając, aż ktoś podejdzie ze mną porozmawiać. To jednak nie zdarzało się za często. Nie byłam nielubiana bądź, co gorsza, wyśmiewana, ale nie miałam znajomych, z którymi mogłabym spędzać przerwy między lekcjami, więc przez większość czasu spędzałam je sama.

Sytuacja ta zmieniła się, gdy zaczęłam chodzić do gimnazjum. Znalazłam tam grupkę znajomych, którzy z czasem stali się moimi przyjaciółmi. Pierwszy raz w życiu miałam wtedy z kim rozmawiać, żartować i spędzać wolny czas. Wtedy też poznałam Amelię, z którą dogadywałam się najlepiej i utrzymałam kontakt również przez okres trwania liceum. W gimnazjum zaczęło się jednak ujawniać moje wyobcowanie. Jako jedyna z grupy nie lubiłam spotykać się poza szkołą, jako jedyna śpieszyłam się do domu po skończonych lekcjach, jako jedyna nie cieszyłam się na wycieczki, wyjścia czy spotkania klasowe, na wieść o których wszyscy inni głośno chwalili pomysłodawcę przedsięwzięcia. Zaczęłam bać się szkoły, ludzi i interakcji z moim otoczeniem.

Moje przekonania przeniosły się ze mną do liceum, które okazało się dużym wyzwaniem. Uczęszczanie do szkoły średniej zaczęłam z taką samą niechęcią do placówek edukacyjnych, z jaką skończyłam gimnazjum. Wraz z rozwijającą się pandemią, w połowie pierwszej klasy, wbrew temu, jak tragiczna zaczynała być sytuacja, jako jedna z niewielu cieszyłam się na myśl o rozwijającej się zaradzie, ponieważ wraz z rosnącą liczbą zakażeń rosły szanse na zamknięcie szkół. Kiedy w końcu nastąpił ten wyczekiwany przeze mnie moment, byłam niezwykle szczęśliwa. Radość sprawiała mi świadomość, że wstanę w poniedziałek i nie będę musiała tracić cennej energii na interakcje z ludźmi, którzy nie wnosili nic do mojego życia. Było to dla mnie spełnienie szkolnych marzeń.

Uczęszczanie na lekcje przestało mi sprawiać problem, ponieważ mogłam brać w nich udział z bezpiecznego dla mnie pokoju. Moje oceny i samopoczucie znacznie się poprawiły. Jednak relacje z rówieśnikami, które dzięki szkole były mimowolnie utrzymywane, zaczęły być trudne w pielęgnowaniu.



Po skończeniu liceum mogę otwarcie stwierdzić, że znajomości i kontakt z ludźmi to jedno z niewielu dobrych rzeczy idących w parze z całym procesem edukacji szkolnej. Przed pandemią, na samym początku szkoły średniej, nie byłam tego świadoma, nawet zarzekałam się, że to tylko strata czasu i nerwów. Nie było dla mnie ważne, czy mam znajomych ze szkoły.

– Tyle lat stałam na korytarzach sama, że teraz to już nie ma znaczenia – myślałam, patrząc na wiadomości z grupy klasowej, które zignorowałam, tak jak wszystkie poprzednie. Dostawałam propozycje wyjścia na miasto, do kawiarni czy kina, ale wszystkie odrzucałam.

– Jest pandemia, ja się wolę nie narażać. – Był to jedyny argument, którym mogłam wytłumaczyć swoje zachowanie przed moimi znajomymi. Odpowiadałam tak na każdą nawet najmniejszą sugestię spotkania się w grupie. Nie umiałam się przyznać, że najzwyczajniej w świecie boję się wyjść z domu, że mój pokój stał się jedyną bezpieczną dla mnie przestrzenią.

Wiadomości o pandemii z każdym dniem wyglądały coraz gorzej. Słyszac każdego rana, ile setek ludzi zmarło dzień wcześniej, zaczynałam się bać, nie tylko interakcji międzyludzkich. Nauczyciele na lekcjach online też nie szczędzili detali w opowiadaniach o swoich chorych krewnych, którzy przez COVID-19 nie byli w stanie wzięć oddechu i leżeli w łóżkach bez pomocy, ponieważ w szpitalu nie było miejsca. Bałam się nie tylko o siebie, lecz także o moich bliskich, którzy mieli bezpośredni kontakt z ludźmi zarażonymi. Strach doprowadził do tego, że wycofałam się z życia, które pomimo pandemii płynęło wartko dookoła mnie. Okłamywałam każdego, kto zapytał, czy chciałabym z nim wyjść po lekcjach.

– Nie mogę wyjść dzisiaj, mam akurat sprawy do załatwienia – mówiłam, licząc, że osoba pytająca nie będzie drążyć tematu.

Podczas całego zdalnego nauczania zdarzało się, że nie widziałam drugiego człowieka całymi dniami, a niektórych z moich rówieśników nawet tygodniami. Ograniczałam się do wychodzenia z pokoju tylko w przypadku jakiejś naglącej potrzeby, a nawet wtedy, jeśli ktoś był w domu, musiałam mieć na sobie maseczkę ochronną. Pilnowałam się, żeby nie dotknąć przypadkiem czegoś, co mogło mieć kontakt ze światem zewnętrznym, światem

poza moim domem. Wracając do małej oazy, którą był mój pokój, myłam i odkazyłam ręce do momentu, w którym zaczynały boleć mnie od nadmiernego tarcia. Wszystko to tylko po to, aby dojść do kuchni.

Wyjście z domu było dla mnie kolejnym ogromnym przedsięwzięciem. Żeby postawić stopę za progiem moich drzwi wejściowych, musiałam przygotować się tak, jakbym szykowała się do wizyty na oddziale zakaźnym w szpitalu. Musiałam budować przed sobą szczelną barierę, której nikt nie mógłby przebić, żeby czuć się bezpiecznie, w miejscu, które uważałam za zagrażające mojemu życiu.

Czułam, że to, jak się zachowuję, zakrawa na szaleństwo. Sama zastanawiałam się, czy przypadkiem nie nakręcam błędnego koła w mojej głowie ciągłym myśleniem, że jeśli zachoruję, to umrę. Czułam, że takie nastawienie do życia w pandemii jest błędne, jednak ilekroć zaczynałam tłumaczyć sobie, że nie jest tak źle, jak mi się wydaje, dostawałam kolejne potwierdzenie, że jednak jest tak źle, i moja paranoja tylko bardziej się pogłębiała. Pewnie nie ja jedna zadawałam sobie pytania: dlaczego tak jest? Dlaczego to musi się dziać? Odpowiedzi jednak nigdy nie było.

Chwilę przed rozpoczęciem drugiej klasy liceum dostaliśmy wiadomość, że od września jednak wracamy do szkoły, ponieważ sytuacja pandemiczna poprawia się z dnia na dzień. Niestety przez moją obsesję na punkcie koronawirusa nie wierzyłam nikomu, kto twierdził, że COVID-19 powoli się kończy. Byłam przekonana, że gdy tylko wrócimy do szkoły, ludzie zrozumieją, jak bardzo się mylili, i odeślą nas z powrotem do domu po paru dniach. Tak się nie stało. Nie chodziliśmy do szkoły długo, ponieważ koniec końców w połowie października znów zamknęli szkoły, jednak dla mnie było to zdecydowanie za długo. Na jednej z lekcji angielskiego pokłóciłam się z nauczycielem, który poinformował nas, że wprowadzą naukę hybrydową zamiast zdalnej.

– Mam dla was wiadomość – powiedział pan Lotkiewicz. – Nie jest to jeszcze opublikowana informacja, ale dostaliśmy zgodę od dyrektora na przekazanie jej wszystkim uczniom – ciągnął dalej, budując zbędne napięcie. – Od przyszłego tygodnia szkoła wchodzi w system hybrydowy – powiedział,

a ja poczułam się, jakby ktoś wylał na mnie kubel zimnej wody. – To znaczy, że drugie klasy będą przychodziły do szkoły na zmianę z pierwszymi – skończył, tak zadowolony z siebie, jakby wykonał jakieś nadzwyczajne zadanie.

– Ale jak to hybrydowy! – wykrzyczałam, zanim zdążyłam pomyśleć o tym, co robię. – Przepraszam, chodzi mi tylko o to, że przecież znowu dużo ludzi zaczęło chorować – powiedziałam, próbując jakoś uspokoić nerwy i wytłumaczyć swój wybuch. – Nie rozumiem, dlaczego szkoła nie robi zdalnych? – zapytałam z nadzieją, że pan Lotkiewicz tylko się przejęczył.

– Nie wiem dlaczego, nie do mnie należy kierować to pytanie, tylko do dyrektora, który o tym decyduje – odpowiedział mi pan Lotkiewicz spokojnie, chociaż w jego głosie dało się słyszeć cień irytacji.

– Ale ja nie chcę chodzić hybrydowo, to jakaś głupota! – wykrzyczałam jak obrażone dziecko, któremu zabrali zabawkę.

– Nie do mnie takie pretensje, ja się tym nie zajmuję, tylko przekazuję informacje – powiedział pan Lotkiewicz, a ja wiedziałam, że jeśli powiem coś jeszcze, to skończę u dyrektora. Gdy tylko zadzwonił dzwonek, wybiegłam z klasy i wróciłam zdenerwowana do domu, całkowicie zapominając o reszcie lekcji.

– System hybrydowy jest lepszy niż nic – mówiłam głośno do siebie w drodze do domu – ale ja nie chcę tam chodzić! To dla mnie za dużo interakcji i wychodzenia z domu! – Byłam bliska łez na myśl, że szkoła w trybie zwykłym jednak się nie skończy. Dobra, będzie okej, po prostu nie pójdę. Tak, zostanę tam, gdzie jest bezpiecznie – próbowałam się uspokoić. Byłam gotowa uciekać z co drugiego tygodnia szkoły, byle tylko zostać w moim pokoju, gdzie nic mi nie groziło.

Po dwóch tygodniach ze względu na dużą liczbę zachorowań z zajęć hybrydowych zrobiły się zdalne. Była to jedna z najlepszych rzeczy, jaka mogła mi się wtedy zdarzyć. Moja radość niestety nie trwała tak długo, ponieważ parę dni później okazało się, że nie czuję ani smaku, ani żadnego zapachu. Spełniło się to, czego w tamtym momencie bałam się bardziej niż kontaktu z ludźmi. Zachorowałam na COVID-19 i zdałam sobie sprawę, że nawet w moim pokoju nie byłam bezpieczna.

Panika, jaka opanowała moje myślenie, była czymś, z czym jeszcze w życiu się nie spotkałam. Budziłam się rano wdzięczna za to, że mogę jeszcze oddychać, a spać chodziłam, mając nadzieję, że w nocy nie zabraknie mi oddechu. Dzisiaj jestem w stanie powiedzieć, że dramatyzowałam, robiłam z igły widły, jak mówi przysłowie. Na tamten moment był to dla mnie jedyny sposób, w jaki umiałam zareagować. Byłam tak odizolowana od społeczeństwa, że wszystko, co odchodziło od norm obecnych w moim pokoju, było dla mnie przerażające.

Wstyd jest mi się przyznać, ale nie przechodziłam zakażenia koronawirusem tak źle, jak mogłoby się wydawać. Prawdę mówiąc, nie miałam żadnych innych objawów poza brakiem smaku i węchu. Jednak samo bycie chorym wiązało się dla mnie z tragedią i oznaczało coś strasznego. Wylbrzymianie czegoś, co nie dotyczyło mnie tak mocno, jak wielu innych ludzi na świecie, było dla mnie mechanizmem obronnym, którym usprawiedliwiałam to, że się boję, nie choroby, ale społeczeństwa. Uświadamiałam to sobie kawałek po kawałeczku każdego dnia. Trochę minęło, zanim faktycznie zrozumiałam, że może jednak to z moim myśleniem jest coś nie tak, a nie ze wszystkimi dookoła. Kolejną długą chwilę zajęło mi pogodzenie się z faktem, że muszę zmienić swoje podejście do otaczającego mnie świata, jeśli chcę, żeby było inaczej.

Początki były trudne. Nie umiałam przekonać samej siebie, że wyjście z pokoju nie wiąże się z czymś złym, tragicznym i niebezpiecznym. Trudno było mi zrozumieć, że ludzie nie są przeciwko mnie. Choć brzmi to absurdalnie, byłam przekonana, że ludzie na ulicy mnie nienawidzą. Nawet jeśli mnie nie znają. Największy problem miałam jednak z otworzeniem się na moich znajomych, którzy w którymś momencie przestali mnie pytać, czy chciałabym z nimi wyjść, bo byli przekonani, że odpowiedź i tak będzie brzmiała „nie”. Pamiętam, kiedy zadzwoniłam do Amelii, która tak jak inni przestała pisać do mnie z ofertą spotkania, i myślałam, że mi nie uwierzy albo pomyśli, że się z niej nabijam. Jej reakcja była jednak zupełnie inna, niż się spodziewałam.

– Halo? – usłyszałam w słuchawce głos Amelii. – No myślałam, że już nigdy do mnie nie zadzwonisz, ciągle tylko pisesz i pisesz, a jak dzwonię, to nie odbierasz – zaczęła, zanim miałam możliwość chociażby się przywitać.

– Co ty robisz całe dni sama w domu? – zapytała.

– Nie musisz od razu zaczynać od takich pretensji – zaczęłam się bronić, chociaż wiedziałam, że nie miała nic złego na myśli. – Dzwonię, żeby zapytać, czy chciałabyś się spotkać na dniach – powiedziałam w końcu to, czego bałam się od ponad roku.

– Ty? – powiedziała z niedowierzaniem Amelia.

– Ja – odpowiedziałam żartobliwie, próbując wyrwać ją ze zdziwienia.

– Ty chcesz się spotkać? – słysząc głos Amelii, prawie że widziałam jej minę. Wytrzeszczone oczy i otwarta buzia, tak wyobrażałam sobie jej wygląd w tym momencie.

– Nieżle, nie? – zapytałam pół żartem, pół serio.

– Powiem ci, że spodziewałam się wszystkiego, tylko nie tego – powiedziała. – Oczywiście, że chcę się spotkać! Tak dawno cię nie widziałam, że prawie zapomniałam, jak wyglądasz – oznajmiła radośnie.

– To kiedy by ci najbardziej pasowało? – zapytałam, bo wiedziałam, że ma na pewno bardziej zajęty grafik niż ja.

– Kochana, z tobą to ja się mogę spotkać o każdej porze dnia i nocy! – ekscytacja Amelii zaczęła mnie powoli przytłaczać, a w mojej głowie pojawiały się różne czarne scenariusze.

– To może jutro? Jakoś około 12.00? – zapytałam, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Jasne! Przy fontannie? – zapytała.

– Przy fontannie – odparłam twierdząco.

– To co? Umówione? – bardziej powiedziała, niż zapytała Amelia, już i tak znając odpowiedź.

– Tak – potwierdziłam. – Słuchaj, muszę kończyć, bo jadę z mamą do babci, ale widzimy się jutro – powiedziałam w pośpiechu, jakbym faktycznie musiała zaraz gdzieś wyjść.

– Dobra, to do jutra! Pa, pa! – pożegnała się ze mną Amelia z taką radością w głosie, jakby wygrała loterię, i rozłączyła się.

Byłam z siebie bardzo dumna, że pomimo mojego strachu i niechęci do wyjścia z domu udało mi się chociażby umówić z nią na spotkanie. Był to dla mnie bardzo duży, choć stresujący krok.

Następnego dnia od samego rana starałam nastawiać się pozytywnie na wyjście do miasta, w którego centrum dawno mnie nie było. Cieszyłam się na spotkanie z Amelią, nawet bardziej, niż myślałam, ale i tak, zakładając buty, zaczynałam myśleć, czy aby na pewno jest to dobry pomysł. „Najtrudniejszy zawsze jest początek” – tak mówiłam sobie zawsze, gdy trudno było mi się do czegoś zabrać. Kiedy wyszłam z domu i dojechałam bezpiecznie na wyznaczone miejsce naszego spotkania, zdałam sobie sprawę, że ja też potrzebuję kontaktu z rówieśnikami, że nieważne, jak bardzo bym się tego wypierała, to też lubię spotkać się ze znajomymi.

– Hej! – powiedziałam, gdy zobaczyłam moją najlepszą przyjaciółkę.

– Ojeju, jesteś! Już się bałam, że nie dojedziesz albo że coś się stało – przejęła się Amelia.

– Przepraszam, autobus mi się spóźnił, więc nie zdążyłam na przesiadkę i musiałam iść pieszo. Tak się zestresowałam tym wszystkim, że zapomniałam ci napisać – powiedziałam, przypominając sobie, że faktycznie miałam powiadomić Amelię, że będę trochę później.

– Najważniejsze, że już jesteś. Cała i zdrowa – zapewniła mnie Amelia.  
– A teraz chodź, nasza ulubiona kawiarnia ma ponoć jakieś nowe menu i coś mi się wydaje, że ich pistacjowy sernik będzie przepyszny – powiedziała z ogromnym uśmiechem na twarzy, chwyciła mnie pod rękę i pociągnęła w stronę kawiarni.

Pamiętam, jak podczas spaceru przez centrum miasta wróciły mi wspomnienia z gimnazjum, z czasów, kiedy wszędzie chodziłyśmy razem. Nie byłam wtedy zwolenniczką kontaktów międzyludzkich, ale nie byłam też tak odizolowana, jak w liceum w czasach pandemii.

– Nieźle cię potraktowała ta pandemia – powiedziała zaczepnie Amelia, gdy już usiadłyśmy w lokalu. – Zawsze wiedziałam, że nie lubisz ludzi, ale

nie wiedziałam, że aż tak bardzo – mówiła dalej, patrząc na kartę deserów i napojów, jakie kawiarnia miała do zaoferowania.

– Po prostu bałam się zachorować, dlatego nie chciałam wychodzić – odpowiedziałam, próbując wytłumaczyć swoje zachowanie.

– Nie, kochana, nie zamydlisz mi oczu tym wymyślaniem – spojrzała na mnie znad menu. – Ktoś inny może i by się nabrał, ale ja znam cię na tyle dobrze, że wiem, kiedy coś kręcisz. – Odłożyła kartę dań na stolik kawowy i spojrzała mi prosto w oczy. – Powiedz mi, co się stało? – Na jej twarzy pojawił się wyraz troski i zmartwienia.

– Boję się – powiedziałam. – Boję się, że kiedy wyjdę, to coś mi się stanie, boję się rozmawiać z ludźmi, boję się, że wszyscy mnie nienawidzą – wyznałam to, co przez ostatnie półtora roku zatruwało mi głowę. – Boję się wszystkiego, co mnie otacza – dokończyłam.

– Oj, kochana... – Amelia przysunęła krzesło bliżej mojego. – Mogłaś mi powiedzieć – mówiąc to, chwyciła mnie za rękę.

– Nie rozumiesz, tego też się bałam – zaczęłam się tłumaczyć. – Bałam się, że jeśli ci powiem, to mnie znienawidzisz za to, że nie chcę się z tobą spotykać – powiedziałam. – Z nikim nie chcę się spotykać – sprostowałam, ponieważ poczułam, że jeśli tego nie zrobię, Amelia mogłaby mnie źle zrozumieć.

– Teraz już wiesz, że tego nie zrobię, więc możesz spać spokojnie – powiedziała Amelia, obejmując mnie.

– Wiem i dziękuję, że nie jesteś na mnie zła. Trochę ci ignorowałam przez te ostatnie parę miesięcy – powiedziałam, spuszczaając głowę.

– To akurat prawda. – Amelia popatrzyła na mnie gniewnym wzrokiem. – Ale to już jest za nami, więc nie ma co do tego wracać. – Przetawiała krzesło na miejsce. – Co ty na to, żeby zamówić coś dobrego i wspominać? – zapytała, pokazując mi wszystkie opcje ciasta, jakie kawiarnia miała do zaoferowania.

Po zamówieniu wybranych przez nas deserów zaczęłyśmy wspominać czasy gimnazjum, dzień, kiedy pierwszy raz się poznałyśmy, nasze pierw-

sze wspólne wyjścia, początek pandemii i to, jak wszystko wpłynęło na nas i otaczające nas środowisko.

– Słuchaj, a może poszłabyś do psychologa pogadać o swoim lęku. Może by ci to pomogło? – powiedziała nagle Amelia.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – zapytałam niepewnie. W końcu psycholog to nieznajoma osoba, z którą powinnam podzielić się intymnymi detalami swojego życia. Była to koncepcja, która wtedy wydawała mi się bardzo trudna do zaakceptowania.

– Myślę, że mogłoby ci to troszkę pomóc w rozwiązaniu niektórych problemów – powiedziała Amelia, patrząc na mnie w sposób, który miał mi uświadomić, że to ona ma rację, a ja mówię przez pryzmat lęku i niechęci.

– Może i tak... Może powinnam spróbować z kimś o tym porozmawiać – przyznałam jej rację, ponieważ po zastanowieniu uznałam, że to, co mówiła, było słuszne.

– Mogę ci nawet kogoś polecić, jeśli będziesz chciała, ale to potem, nie ma co się smucić. Nacieszmy się tym pięknie wyglądającym ciastem, zanim zniknie – powiedziała, patrząc na apetyczne desery, które kelner przyniósł nam chwilę wcześniej.

Pamiętam, że wzięłam sobie do serca jej słowa i zaraz po tym, jak wróciłam do domu, zaczęłam szukać psychologów, którzy mi odpowiadali. Po krótkim przeglądzie internetu wybrałam panią psycholog, która sprawiała wrażenie kompetentnej, ale zarazem sympatycznej, i umówiłam się na wizytę. Uzupełniałam wtedy swoje dane kontaktowe z myślą, że może ona pomoże mi wyjść z izolacji i wygrać z demonami, które obudziła we mnie pandemia.

Kiedy przyszedł dzień mojej pierwszej wizyty u pani Roneckiej, myślałam, że nie będę miała odwagi wejść do gabinetu i opowiedzieć jej o tym, co w nocy nie daje mi spać. Jednak w momencie, w którym pani psycholog wychyliła się zza drzwi i spojrzała na mnie swoimi delikatnymi, zielonymi oczami, poczułam się bezpiecznie.

– Co panią dzisiaj do mnie sprowadza? – zapytała pani Ronecka, kiedy usiadłam już wygodnie na beżowym fotelu w jej małym gabinecie.



– Przyszłam, ponieważ mam problem z ludźmi... – zaczęłam nieśmiało, a pani Ronecka kiwnęła ręką, aby pokazać mi, że mam kontynuować. – Boję się ludzi i boję się pandemii – powiedziałam w wielkim skrócie.

– A czy mogłaby pani nieco sprecyzować, co jest problemem? – dopytała pani psycholog, próbując zachęcić mnie do rozmowy.

– Problemem jest moja izolacja od reszty społeczeństwa – przyznałam w końcu. – Stawiam przed sobą wielki mur i nie pozwalam nikomu go zburzyć, a pandemia to wszystko tylko pogłębiła – wypowiedziałam w końcu na głos sedno mojego problemu.

– A w jaki sposób to wszystko się zaczęło, mogłaby mi pani opowiedzieć? Nic nie dzieje się bez przyczyny – ciągnęła rozmowę pani Ronecka.

– Zacznę od początku... – mówiąc to, starałam się przytoczyć w myślach wszystko, co się stało przez cały okres pandemii, a nawet wcześniej.

Pomimo upływającego czasu, który mógłby zatrzeć niektóre wspomnienia, pamiętam wszystko bardzo wyraźnie. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

## Spis treści

---

|                                                                          |     |
|--------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Wszystko płynie</b> (Maciej Bizukoje)                                 | 5   |
| <b>Pandemiczna miłość</b> (Franciszek Waga)                              | 11  |
| <b>Strata</b> (Julia Imbierska)                                          | 21  |
| <b>Droga do odkupienia</b> (Aleksandra Pruszyńska)                       | 33  |
| <b>Człowiek myśli, Pan Bóg kreśli</b> (Yevhenii Zotov)                   | 41  |
| <b>Drogi pamiętniku</b> (Alina Jankowska)                                | 49  |
| <b>Marzenia</b> (Mateusz Kłudka)                                         | 55  |
| <b>Szereg zmian</b> (Gabriela Bogucka)                                   | 69  |
| <b>Przyjaźń jako lekarstwo</b> (Julia Rogala)                            | 87  |
| <b>Wiatr zmian</b> (Nikodem Czyż)                                        | 99  |
| <b>Nauka w masce</b> (Tanya Kravchenko)                                  | 105 |
| <b>Droga do celu</b> (Maja Zawieja)                                      | 113 |
| <b>W czterech ścianach</b> (Emilia Czekajło)                             | 131 |
| <b>Zawirusowana przyjaźń</b> (Hanna Konarska i Igor Wyszyński)           | 139 |
| <b>Szarość codzienności z odrobiną piękną sztuki</b> (Anastazja Siwicka) | 161 |
| <b>Kres niczego</b> (Piotr Dalik)                                        | 165 |
| <b>Nowy początek</b> (Marta Zarębska)                                    | 171 |
| <b>Akordy nadziei cz. I</b> (Mikołaj Szoltek)                            | 181 |

|                                                         |     |
|---------------------------------------------------------|-----|
| <b>Akordy nadziei cz. II</b> (Karolina Waleńska)        | 191 |
| <b>Nowy wymiar rzeczywistości</b> (Antonina Kruk)       | 201 |
| <b>Strach</b> (Dawid Zawali)                            | 211 |
| <b>Zamknięci w codzienności</b> (Martyna Pawlak)        | 219 |
| <b>Historia kołem się toczy</b> (Aleksandra Sokołowska) | 229 |

Publikacja „Rok 2020” to zbiór 23 wspomnień spisanych przez studentów kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna Uniwersytetu Zielonogórskiego – wspomnień, które stanowią dla odbiorców niezwykle świadectwo epoki. W niektórych przypadkach zostajemy zaproszeni do zapoznania się z historiami wyrwanymi żywcem z pamiętnika („z pamiętnika niekiedy zagubionego studenta”, jak to określił jeden z autorów), w którym prywatne historie opisywane są bez pomijania bolesnych czy wstydliwych szczegółów. Niejednokrotnie mamy do czynienia ze wspomnieniami tak osobistymi, że można się zastanawiać, na ile to dokument, a na ile fikcja literacka... Czy konieczny był aż taki ekshibicjonizm? – można by zapytać. Cóż, pozostaje odpowiedzieć, że pewnie tak. Niewątpliwie spisywanie, traumatycznych nieraz, wspomnień ma wartość terapeutyczną. Zresztą i czytający może przeżyć swoiste katharsis. (...)

Czytanie o początkach pandemii może być przytłaczające. Nie jest to łatwa lektura, która bawi i wzrusza, ale traumatyczne wspomnienie, które może otworzyć własne, nieraz niezabliźnione, rany. Jest to pozycja bardzo istotna, która mogłaby stać się wręcz bestsellerem na rynku – historie opisane w „Roku 2020” to bowiem dokument historyczny. Przeżyć, które opisują młodzi ludzie, nie da się wymazać. Już teraz mają one niebagatelną wartość, co będzie, gdy minie jeszcze więcej czasu od pamiętnego roku? Mówi się, że pandemia zebrała żniwo. I nie ma się na myśli jedynie ofiar systemu, ludzi, którzy pozostawieni bez opieki lekarskiej, zmarli z powodu choroby. Ofiarami są także wszyscy ci, którzy stracili pracę, zamknęli firmę i wreszcie młodzi ludzie, którzy w 2020 roku rozpoczynali liceum, najlepszy okres życia, jak to im wcześniej przedstawiano. Julka, Franek, Tosia, Mikołaj, Maja i wszyscy pozostali twórcy, a zarazem bohaterowie publikacji, która powstała w wyniku zebrania ich wspomnień.

[fragment recenzji dr Katarzyny Cudzych-Budniak]

**ISBN 978-83-7842-554-0**